



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

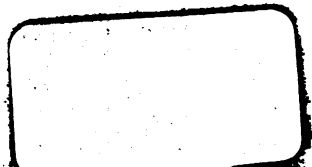
Prosimy również o:

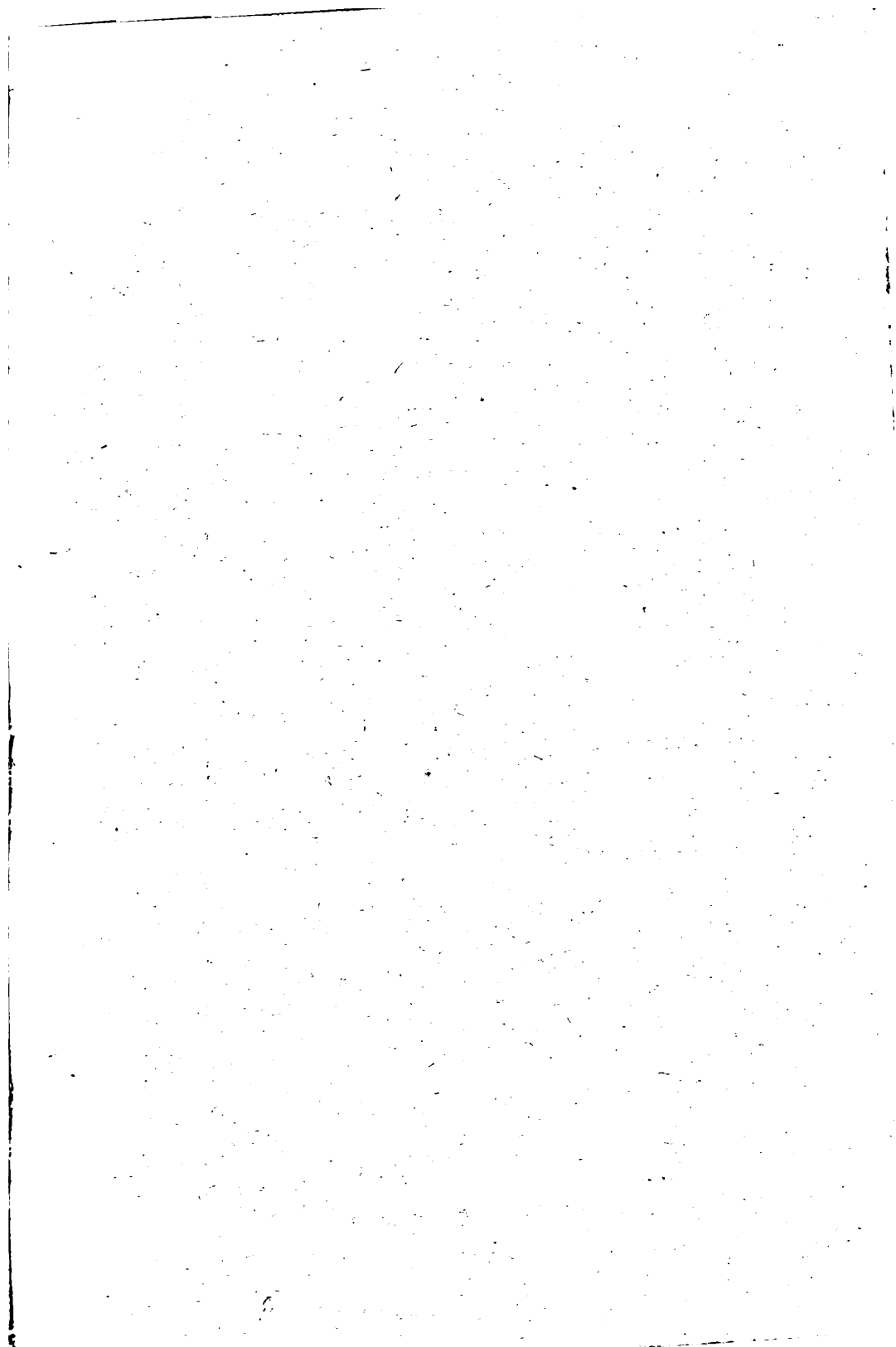
- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

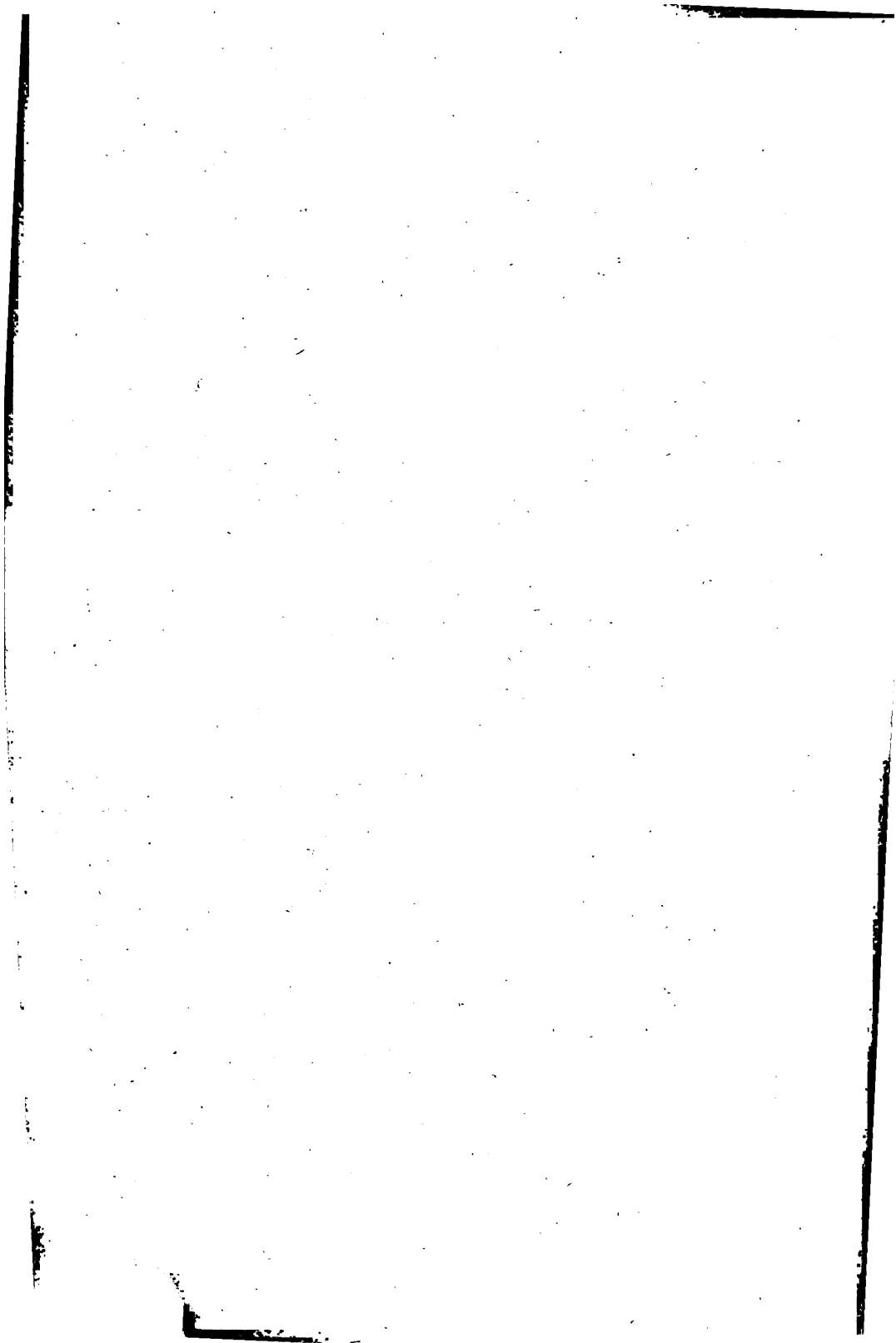
Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>









KAZIMIERZ JAROCHOWSKI.

LITERATURA POZNAŃSKA

W PIERWSZEJ POŁOWIE

BIEŻĄCEGO STULECIA.

WYDANIE DRUGIE.



POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO.

Czcionkami N. Kamińskiego i Spółki w Poznaniu.

1884.

120P

Skład główny w Księgarni
T. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA

PG 7362
PG 73
1884



U1143789

LITERATURA POZNAŃSKA

w pierwszej połowie bieżącego stulecia.

Przystępując do objętego powyższym tytułem zadania nie od rzeczy, sądźmy, zdać sprawę z jego genezy. Myśl skreślenia historycznego szkicu literatury poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia, wywołały prelekcje profesorów Uniwersytetu krakowskiego w Poznaniu, poświęcone udziałowi Wielkopolski w zbiorowej literaturze polskiej. W krytykę owych występów nie mamy zamiaru się wdawać. Nie będziemy się więc zastanawiali, o ile wykłady te były dokładne, o ile mogły być dokładniejszymi; o ile ze stanowiska szkoły historyczno-politycznej, do której się obaj profesorowie zaliczają, były lub nie były tendencyjnemi; wszystko to niechaj będzie rzeczą nie wchodzącą w zakres niniejszego szkicu. Przeciwnie natomiast, niechaj będzie wolno wyrazić wdzięczność i uznanie tak jednemu, jak drugiemu z profesorów Jagiellońskiej wszechnicy, iż wystąpieniem swem dali inicjatywę rozpatrywaniom i poszukiwaniom w dziejach oświaty i życia umysłowego Wielkopolski, rozpatrywaniom i poszukiwaniom, które w pierwszym rzędzie powinny były być rzeczą i obowiązkiem badaczy i pracowników miejscowych. Nic naturalniejszego, jak że i obecne wspomnienia czy zapiski z dziejów literatury i życia umysłowego poznańskiego wystawią się tu i owdzie na zarzut niedokładności, że mimo najlepszej woli i starania przedstawią szczyrby, których krytyczne oko za pomocą szczegółowszych jeszcze badań i poszu-

kiwań dopatry. Mniejsza o to. Właśnie przez taką wzajemną krytykę, przez taką wzajemną kontrolę, przez takie wzajemne dopełnianie i uzupełnianie szczerb i niedokładności wytwarza się dziejowa całość i prawda, gotuje pożądaną materjał do przyszłego gmachu dziejów duchowej pracy i umysłowej działalności narodowej, na których tle, jeżeli świecą, dostrzegalnie i pamiętnie pierwszorzędne gwiazdy, skromniejsi owi i mali a przecież nie bezużyteczni jej uczestnicy także na ocalenie wdowiego grosza swego udziału i dobrej woli od *niepamięci* zasługują. Koniecznością, zwłaszcza schwycić fizyonomię owej epoki, jej ludzi, walk, zatargów, prądów, kiedy jeszcze pamięć *jéj* i *ich* obecna i przytomna, kiedy stoją jeszcze przed oczyma naszymi barwnie i żywo rozmaici jej reprezentanci, walecznicy czy pracownicy. Obowiązek taki niepodobny do spełnienia względem odleglejszych epok dziejów naszej narodowej oświaty staje się tem natarczywszym, tem konieczniejszym wobec epoki niezamierchłej jeszcze, niezatartej zupełnie w pamięci dzisiaj, wskazanej przecież na zapomnienie, jeżeli się rysów *jéj* zawczasu według żyjących wzorów nie schwyci i nie ocali. Tak historii politycznej, jak historii literatury i oświaty zadaniem odtwarzać żywe postacie wraz z żywą *ich*, czy to polityczną, czy wojenną, czy umysłową działalnością, wśród warunków i okoliczności współczesnych. Czyż podobna obraz taki stworzyć, nie znając fizyonomii cielesnej i duchowej głównych występować na nim mających postaci, nie znając gruntu, na którym stąpali, tła i otoczenia, wśród którego żyli? Za kilkanaście, za kilkadziesiąt lat staną się wszyscy owi mali czy wielcy reprezentanci naszego umysłowego życia, istnie jak zasuszone motyle w kolekcji skrzętnego naturalisty abecadłowemi pozycjami bibliograficznego spisu jakiego przyszłego p. Estreichera. Związek *ich* żywy i codzienny z otaczającym społeczeństwem, *ich* prace i zasługi dla niego, *ich* wpływ na nie, rezultat *ich* działalności w zbiorowym tegoż społeczeństwa duchowym i moralnym rozwoju zginą za to i przepadną dla świadomości generacyi późniejszych. Ocalmy tedy jak umiemy i jak pamięć-

tamy od niepamięci i zapomnienia, co na pamięć i na wspomnienie zasługuje. Jestto nie najmniej ważna karta współczesnych dziejów naszej *wielkopolskiej* dzielnicy, stanowiąca nie najmniej ważną stronicę współczesnych *narodowych* dziejów.

Na samym wstępie naszego zadania przedstawiają nam się pewne zagadnienia nie mniej geograficzno-politycznego, jeźli tak wolno powiedzieć, jak moralno-duchowego znaczenia.

Gdzież, zapytalibyśmy, skoro mowa o *literaturze poznańskiej*, jój geograficzno-polityczne granice? Według pojęć geograficzno-politycznych dawnej Polski należał Poznań wraz ze swem województwem, nie inaczej od samejże Warszawy i Mazowsza do *provincyi Wielkopolskiej*; zaliczał się do niej wraz z Warszawą i Mazowszem na sejmach Rzpltej, sądził na jednej i tejże samej kadencji trybunałskiej w Piotrkowie. Upadek politycznej niepodległości w r. 1795, chwilowe odrodzenie przez kreacyą Księztwa Warszawskiego, nie zmieniło pod tym względem stanu rzeczy. Czy panowanie pruskie od r. 1795 do 1806, czy to Księztwo Warszawskie od roku 1806 do 1815 pozostało Poznań i Warszawę w jednych zawsze i tych samych politycznych granicach. Wobec absorbującego w sobie wszelkie siły i zasoby narodowe centralnego ogniska, jakim była Warszawa, trudno tedy nieco pociągnąć granicę, któraby dla pokątnego ubocza, jakim był naówczas Poznań, pozostawiała *jemu* wyłącznie osobną, jakąś, łatwą do wyróżnienia dziedzinę umysłowego i literackiego życia.

Z tą wątpliwością geograficzno-politycznego znaczenia łączy się tuż druga, jak co dopiero powiedziano, natury moralno-duchowej. Literatura *polska* przedstawia obraz nierozdzielnej całości i spójni. Mickiewicz, Słowacki i Krasiński są równie wieszczami litewskich zaścianków, jak mazowieckich równin, czy kujawskiej gleby; Lelewel nauczycielem ojczystych dziejów czy to dla Wilna i Krzemieńca, czy dla Warszawy, Poznania i Lwowa. Nie dość na tem, nie istnieje ani dla Poznańskiego, ani dla Wielkopolski nawet szczęśliwy przywilej, jakim się cieszą Litwa, Ukraina i Ruś Czerwona, zaszczyt

i przywilój figurowania nazwą osobnej jakiejś, oryginalnie wyróżniającej się *szkoły* w ogólnym obrazie literatury polskiej. Niema i nie może być mowy o *szkole* poznańskiej czy wielkopolskiej, jak jest mowa o szkole litewskiej, ukraińskiej, czerwono-ruskiej. Druga więc i pod tym względem trudność zakreślenia *Poznańskiemu* ściśle jakichś oznaczonych granic na obszarze ogólnej literatury polskiej.

Wyznacza je przecież i zakreśla w sposób bardzo często charakterystyczny fakt, z którym się wszelkim objawom życia naszego publicznego i umysłowego liczyć przychodzi, fakt naszego *politycznego położenia*. Swoboda i możność funkcjonowania naszego narodowego życia mają się w odwrotnym stosunku do siły zawisłego nad niem, zewnętrznego ucisku. Różnemi czasy cieszą się różne części i strony Polski możliwością swobodniejszego od innych oddechu. Kolej owa obiega bardzo rozmaicie. Za Pawła i Aleksandra przyszła na Polskę pod panowaniem rosyjskiem; później, dużo później, na Polskę pod berłem pruskim, dzisiaj na Galicyą.... Od tych przemian i kolei zależy swoboda objawów ducha i żywotności narodowej na zewnątrz, tym też przyczynom zewnętrznej, przypadkowej natury zawdzięcza i *Poznańskie*, że przez kilkanaście lat, w ciągu pierwszej połowy bieżącego stulecia, znalazło się na świeczniku umysłowego życia narodowego. Epokę tę obejmują lata od r. 1834 do 1848.... Dokładność historyczna wymaga cofnąć się jednakże w przeszłość nieco odleglejszą, rozpocząć dla lepszego zrozumienia całości rzecz od pierwszej inwazyi pruskiej w r. 1793, pozbierać, ocalić od zapomnienia, ująć w jeden wspólny obraz szczegóły i pojawy umysłowości i działalności naukowo-literackiej, z jakimi nam się od téj daty czy to na bruku poznańskim, czy to na obszarze Poznańskiego spotykać przychodzi. Warszawa, jak już wyżej powiedziano, absorbuje, prawda, jako wielkie centralne ognisko główne siły, zasoby i powagi umysłowości narodowej. Jest jednakże zbyt odległą, aby absorbowiała *wszystko*. Rozpatrzmy się w skromnych, zaledwie dostrzegalnych, skąpych i szczupłych objawach umysłowego

życia poznańskiej miejscowości, choćby dla tego, aby się przekonać, jak słabe były początki tego, co później w innych czasach i wśród odmiennych warunków doczekało się tyle bujnego rozkwitu. W poszukiwaniu takim, w trzymaniu podobnem zaledwie domacalny puls umysłowego życia na ubogiej *poznańskiej* widowni, staje się rzeczą nieuniknioną ciągle niemal zwrot i pogląd na równoczesne przemiany wojenno-politycznej dziedziny. Oddziaływanie drugich na pierwsze jest zbyt widoczne, zbyt bijące w oczy, abyśmy konieczności zwrócenia nań uwagi uniknąć mogli.

Rzecz nasza rozpoczyna się z tragiczną datą r. 1793, datą tragiczną, nie mniej na zachodzie jak na wschodzie Europy, tam zadekretowaniem na śmierć niewinnego monarchy, tu zadekretowaniem na śmierć przez monarchiczny sofizm niewinnego narodu. Dnia 6 Stycznia 1793 wychodzi tak zwana *deklaracja* króla pruskiego Fryderyka Wilhelma II, zagarniająca dla Prus większą część województw wielkopolskich pod pozorem przytłumienia panującego w Polsce jakobińskiego ducha. W te tropy za tą *deklaracją* przekracza około 20 Stycznia piętnastotysięczny korpus feldmarszałka Möllendorfa granice Wielkopolski dwoma kolumnami jedną, od Kargowy, drugą, od Międzyrzecza. Zajmująca całą przestrzeń zagrożonych województw, rozrzucona po ich obszarze, słaba, licząca zaledwie 6,000 ludzi dywizya wielkopolska generała Arnolda Byszewskiego, odebrała z Warszawy rozkaz nie stawiania nigdzie oporu, cofania się wszędzie przed nadchodzącymi Prusakami na odwachy, następnie koncentrowania się w okolicy Łowicza i Sochaczewa. W dwóch miejscach tylko przyszło do starcia. W Sierakowie stawiała słaby opór chorągiew kawaleryi narodowej Kwileckiego, kasztelanica Przemęskiego; w Kargowie poległ po bohaterskiej obronie d. 22 Stycznia na czele kilkudziesięciu żołnierzy z pułku piechoty Brodowskiego, waleczny kapitan Więckowski. Dnia 30 Stycznia 1793 w środę rano, wkroczył feldmarszałek Möllendorf do Poznania. Pułk piechoty Raczyńskiego generała wielkopolskiego, ustąpił do Kur-

nika; pruskie panowanie rozpoczęło się nad Poznaniem i Poznaniem.

Charakterystycznym znamieniem owej epoki nie tylko w Poznaniu, ale w całej Polsce, nie tylko w Polsce ale w całej Europie, pozostanie dziwna jakaś rezygnacja wobec choćby najgwałtowniejszych przemian, szczególna umiejętność znalezienia się i zastosowania pośród najrozmaitszych położań i okoliczności. Zajęta przez wojska pruskie, odsądzona przez tak zwane „*publicandum*“ króla pruskiego z dnia 25 Marca 1793 r. od prawa używania własnego języka we wszystkich sprawach i czynnościach urzędowych Wielkopolska jest pod tym względem dziwnie i smutnie charakterystycznym przykładem. Nie upłynęły jeszcze dwa lata od istnego kultu dla ustawy 3go Maja, od uroczystości na rzecz tyle zbawienną polityczno-społeczną reformy, którą i Poznań w swych murach okazał i głośno święcić nie omieszkał, kiedy nastąpiła inwazyja pruska. Że się jęj Poznańskie zbrojnie nie opierało, zwłaszcza po nieszczęśliwym końcu kampanii r. 1792, wśród spowodowanego nim upadku ducha, rozumiemy. Co jednakże mniej zrozumiałem i mniej pojętem, to owa popularność, nie chcielibyśmy powiedzieć entuzjasm, otaczający ze strony miejscowej ludności osobę naczelnego dowódcy najeźdźczej armii, sędziwego feldmarszałka Möllendorfa. Ów stary, siwowłosy, ujmujący pozorną łagodnością, przebiegły rzeczywiście, wyłamany w sztukach intrygi politycznej Möllendorf, był istotnie *popularnym* pośród poznańskiej ludności, która zapomniała, że te siwe włosy, ta słodka powierzchowność, te uprzejme wyrazy, są tylko obliczoną, na lep łatwowiernych maską. Ileż razy zdarzyło nam się słyszeć z ust sędziwych uczestników owej epoki pochwalne sądy o starym Möllendorfie: „Co to za słodki, co to za miły człowiek był ów Möllendorf! Robił doprawdy wrażenie poczciwego księżyny.“ A tymczasem zajmował żołnierz pruski kraj i miasto, armaty stały gotowe na rynku poznańskim, by z rozkazu „*siwowłosowego księżyny*“ obrócić wszystko w perzynę w razie choćby najłżejszego opo ru.

Mniejsza jednakże jeszcze o ów naiwny entuzjam dla osoby reprezentanta siły zbrojnej nieprzyjacielskiej. Gorsze i bardziej dla uczciwej dumy narodowej upokorzące widowisko przedstawia akt homagiálny w Poznaniu z dnia 8 Maja 1793 roku. W dniu owym, w dniu wybranym jakby na ironię, *patrona* Polski, stanęło w murach Poznania 1500 deputatów szlacheckich, 700 deputatów miejskich, by nasamprzód uroczystością w kościele farnym, następnie świetnym balem w pałacu Gurowskich uczcić fakt przejścia Wielkopolski pod panowanie pruskie. Straszna, ponura moralnie i politycznie chwila. Golgota współczesnego sejmu Grodzieńskiego odbywa się wśród bezprzykładnej, rozpasanej hulanki zgromadzonego licznie w Grodnie wielkiego świata polskiego. Dni następujące tuż po Maciejowicach i szturmie Pragi wypełnia Lwów niemniej jaskrawym rozkoszowaniem. Przerwa Kościuszkowskiego powstania, w którym nawiasowo powiedziawszy i Poznańskie czynny bierze udział, stanowi tylko przemijający epizod bez głębszego na moralne usposobienie narodu wrażenia. Nastąpiła katastrofa r. 1795, zginęła niepodległość polityczna Polski; Poznańskie wraz z Warszawą znalazło się pod wspólnym berłem króla pruskiego. Naturalnie, narzuca się tu pytanie, jak podobne wstrząśnienie, obalające *polityczny* organizm nie wypierającego się ani nadziei, ani życia narodu, oddziaływało na jego ducha i na jego objawy, pomiędzy którymi literatura pierwsze zajmuje miejsce.

W odpowiedzi na to zapytanie, nie dość ograniczyć się na nasz zakątek poznański, należy przeciwnie wyjrzeć zeń na cały obszar Polski. Obraz, jaki się tu odsłania, przedstawia zarazem widowisko uderzającej sprzeczności między rzeczywistością, między tragiczną dolą narodu a tem, co się nazywa oficjalną literaturą owej epoki. Duch narodu obudził się wprawdzie z długiej drzemki epoki panowania Sasów, ale przebudzenie się owo dostrzegalne tylko w dziedzinie orężnego czynu lub sejmowej rozprawy; co najwięcej w literaturze politycznej owej epoki, w owych niezliczonych broszurach poprze-

dzających bądź to, bądź towarzyszących aktowi 3go Maja. Literatura piękna, literatura popularna pomiędzy ówczesną publicznością, najwybitniejsi jój reprezentanci, najgłówniejsze imiona, czyż są echem i oddźwiękiem narodowych nadziei, czyż przodują narodowi w jego dodatnim kierunku? Niechaj znamion tych, komu wola, dopatruje się w koryfeuszach literatury polskiej z drugiej połowy XVIII wieku, we wszystkich owych, choćby idealizowanych dzisiaj przez Kraszewskiego Krasieckich, Trembeckich, Naruszewiczach, Książninach. Jednemu Karpińskiemu tylko wrywają się *Zale Sarmaty* nad grobem Zygmunta Augusta a biskup Zenopolitański Albertandy nie uważa za rzecz niegodną siebie odprawiać z rozkazu Buxhövdena exekwii za powieszonych w Warszawie Kossakowskich i Massalskich. Literatura oficjalna, patentowana, gładka, znajdująca się w ręku czytającej publiczności, nie jest wyrazem usposobienia duszy i dążeń narodowych. Usposobienie owo, dusza i dążenia narodowe nie znalazły sobie wówczas jeszcze formy godnej swojej treści. Przypomnijmy sobie szorstki wiersz Jasińskiego bohatera Pragi na exekwie odbytej w Warszawie za Ludwika XVIgo, *Pamiętniki Kilińskiego*, pieśni i piosneczki narodowe z epoki powstania Kościuszkowskiego, wreszcie odezwy i akta urzędowe samegoż Kościuszki: Jakiż ich język, jakaż ich forma, jakżeż im trudno przemówić do narodu słowy i stylem odpowiednim zarowi uczucia i wielkości sprawy, w imię których przemawiają! Ogród Szczęsnego posiada swego gładkiego stylistę-poetę, niepodległość kraju znajduje swęgo głównego „literata“ w czynie Kościuszki... Spiewać czułości Dafnów i Filid, oburzać się na porywających Stanisława Augusta konfederatów, opisywać czary Zofijówki, na wszystko to starczy literatury Stanisławowskiej; zdobyć się na Tyrteuszowe dźwięki dla waleczników narodowej niepodległości, dla kosynierów Racławickich, nie była zdolną. Bądźmy jednakże wyrozumiali a oddajmy każdemu, co mu się należy. Literatura owa miała i spełniła w swoim rodzaju bardzo ważne zadanie. Oczyszcila język pol-

ski z barbaryzmów i makaronizmów epoki saskiej, wróciła mu rodzimą formę, zbudowała dom godny przyjąć uczciwie reprezentantów późniejszej epoki, która nietylko językiem i formą umiała być narodową.

Po tej koniecznej w interesie naszego przedmiotu wycieczce na pole ogólnej literatury polskiej, wróćmy do naszej miejscowej poznańskiej w chwili bolesnego przesilenia z dotychczasowego stanu niepodległości na stan niewoli. Rozpatrzywszy się w warunkach ówczesnego położenia politycznego i społecznego, rozpatrzywszy się, jak to co dopiero uczyniliśmy, w charakterze ogólnym literatury polskiej, czyż możemy się spodziewać, aby *Poznańskie* właśnie z całej Polski było mogło i było chciało w dziedzinie życia umysłowego wzbiec się po nad poziom ogółu, dać wyraz uczuciu narodowemu, stworzyć literaturę odzwierciedlającą jego głębie, nadzieje i żale? Podobnej pretensji nie rośmy naturalnie do Poznańskiego a przedewszystkiem nie rośmy do Poznańskiego, jakim było w smutnych chwilach r. 1793 i 1795. Miało wprawdzie wysoko zasłużonych około nauki i sprawy narodowej synów: miało Stanisława Staszycę, zrodzonego w Pile; miało braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich urodzonych w Żninie; miało księdza Onufrego Kopczyńskiego zrodzonego w Czerniejewie; ale z wszystkich tych widzimy jednego Kopczyńskiego tylko z odosobnioną swą naukową działalnością, trzymającego się rodzinnego zakątka, kiedy trzej pierwsi żyją i działają na przemian w Krakowie, Warszawie lub Wilnie. Na miejscu pustki literackiej, pustki naukowej, które aby użyczyć, niema ani odpowiednich ludzi, ani odpowiednich okoliczności, ani, co najważniejsza odpowiedniego moralno-politycznego gruntu. Potrąciliśmy już o stan moralny Polski wogóle wspominając Grodno z roku 1793, Lwów z roku 1795. Nie od rzeczy zwrócić się w szczególności raz jeszcze do usposobienia i stanu moralnego w samemże Poznańskim po roku 1795. Nie zapominajmy, że Poznańskie stanowi naówczas część tak zwanych Prus Południowych, których sama nazwa już wiele ze siebie i przez

siebie mówi. Przypomnijmy sobie Warszawę z owej epoki, przypomnijmy sobie orgie ówczesnej młodzieży, Kapuańskie leże księcia Józefa, który je swego czasu ku czci własnej i narodu umiał bohatersko zamienić na zimne łoże dna Elstery; ów przydługi odpoczynek narodowej społeczności po nerwowem wytężeniu lat 1791, 1792 i 1794, wszystko to wśród materyalnie dobrego bytu, wśród wzgardliwej pobłażliwości nowych panów kraju, wśród roju emigracyi francuzkiej wyzyskującej polską próżność i polskie kieszenie, — a będziemy mieli mniej-więcej prawdziwe wyobrażenie o stanie moralno-umysłowym Poznańskiego. Najbogatszy obywatel ówczesny Poznańskiego, hr. Melchior Szóldrski woli wprawdzie przenieść penaty swe do Warszawy, żywić i bawić dawną, kraju stolicę, ale zostaje przecież i na miejscu, i na skromnym bruku Poznania nieszczupły procent szlachty idącej w wierne ślady Warszawy. Nie ma prawie w Poznańskiem miasteczka, któreby nie wyprawiało swych karnawałowych re-dut; nie ma prawie zamożniejszego domu, któryby się nie cieszył posiadaniem swego rozbitka kondeuszowej armii; nie przeminie miesiąc, by jakiś emigrant Francuz czy emigrantka Francuzka nie ogłaszali bądź to założenia osobnego pensjonatu, bądź nauki konwersacyi i dobrych manier. Zabawa, łatwość kredytu, dobry byt materyalny, *czasy mlekiem i miodem płynące!* *Używać* i raz jeszcze *używać*, otóż wspólne, zbiorowe hasło owej epoki. Jeżeli komu i czemu, to z pewnością obcym rządóm, w pierwszej zwłaszcza chwili swój egzystencyi, może być tylko pożądanem podobne usposobienie podbitych. Rząd pruski żywi też próżność szlachty, otwiera jój pochopnie szeregi służby wojskowej, wspiera i zachęca przez swych urzędników materyalny kierunek. Raz po raz pokaże się młody monarcha pruski wraz z piękną małżonką Ludwiką, w murach miasta Poznania, przejeżdżając do Warszawy, sypnie orderami, obdarzy „mieszkańców Prus Południowych“ osobnym munderem obywatelskim, który może naturalnie być tylko gustownym, „bo sama królowa Ludwika wzór do niego obierała.“ Zabiegi te

nie padają na opoczystą glebę. Szlachta używa i bawi się, wykrzykuje wiwaty królowi Fryderykowi Wilhelmowi III, podpisuje się ile razy może niemieckim predykatem szlachectwa *von*, choćby nawet w korespondencji i ogłoszeniach polskich, cieszy się odbierając od rządu pochwały za sadzenie owocowych drzewek po publicznych drogach, zbiera z dobrej woli składki na pomniki dla zmarłych dygnitarzy pruskich jak np. prezesa regencji pruskiej Steudenera, przedstawia obraz bezmyślni i martwoty. Spoglądając nań, przypominają się mimo woli słowa wieszczki:

„Nasz naród, jak lawa,
Z wierzchu zimna i twarda, sucha i plugawa,
Lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi,
Plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi!“

Niedostrzegalną „*głębią ową*“ wskazują synowie idący z błogosławieństwem matek, z woreczkiem ojczystej ziemi na piersiach do legionów nad Ren, Pad i Dunaj; owe echa pieśni *Jeszcze Polska nie zginęła*, literatury legionowej Godebskiego, Tymowskiego dochodzące do kraju, odzywające się siłą, głosu sumienia wśród upajającego szału zabaw, używania i truciznowo słodkiego dobrego bytu materialnego.

Owa Mickiewiczowa *głębia narodowa*, istniejąca na prawdę, niezaprzeczalnej rzeczywistości, pozostała przecież przez ciąg Prus Południowych istotnie niedostrzegalną oku *głębią*. *Z wierzchu* widzimy ciągle tylko „lawę zimną i twardą, suchą i plugawą.“ Że zaś ową skorupę Poznańskiemu trudno przebić i dobić się możliwości odzyskania narodowego głosu w dziedzinie duchowej, jest nie najmniej ważną tego przyczyną, stan ówczesnego wychowania publicznego. Historia polityczna nasza i literatura nie są w wątpliwości, jak ważne stanowisko w dziejach oświaty narodowej XIX wieku przyznać i przeznaczyć Wilnu i Krzemieńcowi, jak dobroczynnymi ogniskami narodowego światła były oba te i wszelkie inne, podobne im zakłady naukowe. Prusy Południowe, w szczególności Poznańskie, nie

mogą się żadną podobną instytucją poszczycić. Stan wychowania publicznego w Poznańskiem w epoce Prus Południowych przedstawia obraz dziwnego zaniedbania, co nawet przyznaje dość bezogródkowo zacny radzca pruski Klewitz, w dziełku swem wydanem pod tytułem: *Historja i obraz edukacji publicznej w Prusach Południowych*. Oświata ta skoszlawiona i zaniedbana, nie jest ani polską, ani niemiecką. W Poznaniu istnieje w stanie zniemczenia, dawne, założone w roku 1773 gimnazjum pod dyrekcją ucziwego i uczonego zkadinađ pedagoga Wolframa. Nadto istnieje w Piotrkowie pod dyrekcją niejakiego Józef von Pomian Skoraszewskiego tak nazwane *Collegium Nobilium*, w składzie swym i ładzie najwierniejszy specymen chorób swjéj epoki. Istnieje dalej w miasteczku Pakości pod dyrekcją słynnego swego czasu księdza Karola Surowieckiego, zwiedzana dość licznie szkoła poreformacka; istnieje wreszcie na południu Poznańskiego, tuż nad granicą szląską, w miasteczku Rydzynie, nierównie liczniej uczęszczana szkoła popijarska, pod dyrekcją pamiętnego starszym generacyom poznańskim księdza rektora Ignacego Przybylskiego. Ks. rektor Przybylski, później dyrektor gimnazjum w Poznaniu zmarły jako dyrektor szkoły wojewódzkiej w Kaliszu, pedagog niesłychanej surowości, miał tę wielką wobec młodzi zastugę, iż ją wśród trudnych okoliczności, wśród przykrych stosunków prowadził w kierunku narodowym, iż nie pozwolił zamierać polskiej myśli pośród powierzonych pieczy swej uczniów. Sam tego najlepszy złożył dowód, witając przy zmianie roku 1806 wojska francuzkie patryotycznem kazaniem, towarzysząc jako kapelan trzeciemu legionowi nowoutworzonych wojsk polskich pod Tczew, uczestnicząc z rzewnym entuzjazmem w obchodzie uroczystego przyjęcia w Poznaniu wracającego w Sierpniu r. 1814 pod wodzą generała Sokolnickiego z Francji do Polski żołnierza polskiego. > Jako jedyny, wyższy od wspomnianych co dopiero zakład naukowy, figuruje naówczas dla młodzieży Prus Południowych tak zwana akademja we Frankfurcie nad Odrą, przeniesiona później w r. 1810 do Berlina... Wśród podobnego usposobienia polityczno-

moralnego, wśród podobnych stosunków publicznych, wśród podobnego stanu wychowania publicznego, nie mogła naturalnie na gruncie ówczesnym poznańskim wyrosć literatura będąca wyrazem narodowego ducha i narodowych potrzeb a ciesząca się jakąkolwiek wartością. Cokolwiek bądź przecież, zróbmy lustracyą tych szczupłych objawów życia literackiego i naukowego, jakie podówczas znachodzimy w Poznaniu i w Poznańskim... W epoce Prus Południowych, zauważmy na wstępie, posiada miasto Poznań *jedną* drukarnię, tak zwaną nadworną, drukarnię Deckera, dalej dwie księgarnie. Bogumiła Wilhelma Korna, nabytą później przez Kühna i drugą Krzysztofowicza. Za pośrednictwem tych to księgarni i firm wydawniczych zaopatruje się publiczność polska Poznania i Poznańskiego w płody literatury własnej i zagranicznej, cieszy się widokiem rzadkich wydawnictw na bruku własnym. Nie wielką to wszystko ma wartość, nie wielką dalej tego liczba, ale uczynmy, cokolwiek bądź, w imię dokładności, ówczesnej literatury poznańskiej bibliograficzny przegląd. Na wstępie naszego „*katalogu*“, jeżeli tak wolno powiedzieć, niechaj nam wolno będzie zaznaczyć, że miejscowa, książkowa literatura poznańska owej epoki, nie reprezentuje i nie odbija ani stylistycznych i poprawność *formy* głównie mających na celu intencji literatury Stanisławowskiej wogóle, ani też z drugiej strony nie usiłuje choćby odlegle tylko, być objawem owej narodowej „*głębi*“, o jakiej wspomnieliśmy wyżej. Z wyjątkiem pocziwych ogólników generałowej Węgorzewskiej *O wychowaniu*, dziełka wydanego w Poznaniu roku 1799, z wyjątkiem dalej ogłoszonej nakładem poznańskiej księgarni Krzysztofowicza w tymże roku *Historji Hiszpańskiej za panowania Maurów* księdza Gałęckiego, ograniczają się wszelkie ówczesne wydawnictwa poznańskie na dziełka mniejszej objętości, bądź to treści religijnej, bądź dążności najbezpośredniej praktycznej, mające na celu obeznać społeczność poznańską, z nowemi stosunkami i prawami, jakie nad nią, zawisły. Pod tym ostatnim względem odpowiada owa litera-

tura wcale nieźle *chwilowemu* duchowi czasu. Jeżeli Korn w r. 1796 ogłasza *Przekład życia Jezusa Chrystusa przez Abbé St. Real z francuzkiego*, jeżeli Krzysztofowicz poleca publiczności dziełko wydane we Lwowie *Bóg najczystsza miłością*, jeżeli księgarnia Korna wydaje przełożone z języka francuzkiego *Zasady moralne i myśli różne dla ludu*, obfitszy nierównie zasób publikacyi treści praktyczno-ekonomicznej. A więc spotykamy się z wydawnictwami miejscowemi, czy to księgarni Krzysztofowicza, czy Kühna lub Korna, jak n. p. *Kalendarzem polskim dla Prus Południowych*, *Przekładem Landrechtu pruskiego* na język polski adwokata Stawiarskiego lub Meiera, *Dniem Św. Jana w Poznaniu* P. Schwartza *Systemem pożyczki mającym być ustanowionym dla Prus Południowych*, *Nauką dla wieśniaków o chorobie płuc między bydłem grasującej* i z mnóstwem innych rzeczy tejże samej treści i dążności. Z wyjątkiem wspomnianej już wyżej *Historji Maurów* księdza Gałęckiego, dziełka generałowej Węgorzewskiej *O wychowaniu*, zapowiedzianych a niedrukowanych *Uwag nad panowaniem Stanisława Augusta* i *Słownika sławnych Polaków przy końcu XVIII wieku* niejakiegó Zawadzkiego, nie dostarcza nam książkowa literatura poznańska między r. 1793 a 1806 dowodu, aby usiłowania regeneracyjne około podniesienia literatury ojczystej, zawdzięczające swe istnienie bądź to prądowi minionej epoki Stanisława Augusta, bądź chwalebnej chęci zabezpieczenia językowi i oświacie polskiej *przyszłości*, były na gruncie poznańskim znalazły uwagi godne naśladowania. Ma wprawdzie wówczas, jak powiedziano wyżej, Poznańskie swoich ludzi w literaturze zbiorowej polskiej, ma swych Kopeczyńskich, Staszyców, Śniadeckich, ale czego nie ma, mimo istnienia i działania od r. 1800 Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, to literatury miejscowej poważniejszych rozmiarów. Nie można jednakże zaprzeczyć, sądząc z czasopism, tradycyi, opowiadań owej epoki, aby społeczność ówczesna południowo-pruska była miała pozostać wśród wiru używania życia i kierunku materyalistycznego

całkiem obojętną na wpływ budzące się w Warszawie literacko-naukowego ruchu. Widzimy pośród niej dwa przeciwne, niekiedy uzupełniające się prądy, *jeden* wpływu współczesnej literatury francuzkiej, *drugi* polskiej. *Pierwszej* arsenałem staje się księgarnia Kühna, *drugiej* Krzysztofowicza. Kühn zakłada czytelnia, książek, rozsyła co chwila swe katalogi nowości francuzkich, zamieszcza po francuzku swe *Avis aux amateurs de la littérature française*, prenumeratę na czasopismo francuzkie *Décade philosophique*, donosi o romansie francuzkim *Valérie ou lettres de Gustave de Linar à Ernest de G.*, nie wspominając o innych. Księgarnia Krzysztofowicza przeciwnie bierze sobie za przedmiot swej praktyki literaturę polską, wydaje od czasu do czasu, jak już powiedziano wyżej, przekłady polskie dzieł literatur obcych, ogłasza w r. 1802 prenumeratę 90 złotową na pięć tomów *Wyboru pisarzy polskich* Mostowskiego mających zawierać dwa tomy Kochanowskiego z dodatkiem *Sielanek Szymonowicza*, dwa tomy *Historji Polskiej* Naruszewicza, jeden tom różnych poezji z czasów nowszych, następnie na *Wybór piękných dzieł muzycznych*, *Pieśni Elsnera i na dzieła Niemcewicza*. Niechaj suche te zapiski bibliograficzne będą, o ile to być może, miarą interesu ówczesnej publiczności poznańskiej dla literatury ojczystej... Niedokładnością według nas, byłoby chcieć zapominać w pobieżnym tym szkicu literatury poznańskiej z epoki Pruss Południowych o współczesnej, *miejscowej* literaturze niemieckiej, zwłaszcza, że *ona* właśnie, nie nosząc, jak się to później dzieje, cechy jakiejbądź dla żywiołu polskiego nienawiści, zawiera najdrogocenniejsze materiały i skazówki statystyczne do dziejów ówczesnego stanu ekonomicznego, moralnego i intelektualnego kraju. Wzmianka ta tem więcej może zasługuje na usprawiedliwienie, iż niektóre z tych publikacyi, jak n. p. słynnego swego czasu Zerboniego di Sposetti *Niektóre myśli o oświeceniu ogólnem Pruss Południowych* (r. 1800), jak assessora Schwartza *Dzień świętego Jana* (roku 1801), jak radcy Klewitza



4143789

działo *Historya i obraz edukacji publicznej w Prussach Południowych* (r. 1805) doczekały się następnie przekładu na język polski. Dzieło Klewitza mianowicie z wszystkich wspomnianych co dopiero, zasługuje na baczną uwagę i stanowi cenny materiał do dziejów ówczesnego wychowania publicznego w Prussach Południowych.... Nie mniejszą w swoim rodzaju pod względem ówczesnych stosunków ekonomicznych kraju wartość ma wydane w Poznaniu r. 1802 dzieło radcy celnego Struenseego pod tytułem: *Blikke auf Südpreussen vor und nach dem Jahre 1793*. Za rzecz zaś najwyższej wagi pod względem statystycznym uważać należy trzechtomowe, wydane r. 1804 dzieło radcy Holschego pod tytułem: *Geographie und Statistik von Süd-West-und Neu-Ostpreussen*. Jest to do dziś dnia najcenniejszy podręcznik społeczno-ekonomicznych stosunków kraju polskiego w bolesnej chwili przejścia jego pod panowanie pruskie. Nie wolno nam wreszcie w tej nomenklaturze literatury niemieckiej, dotyczącej stanu i stosunków *Pruss Południowych* pominąć wydanego w Berlinie roku 1800 przez Zerboniego di Sposetti i Helda, tępionego następnie i surowo zakazanego, opłacającego się wydawcom i autorom kilkoletniem, fortaczem więzieniem dziełka: *Das schwarze Buch*, dziełka odstaniającego skandaliczny frymark skonfiskowanemi w Prussach Południowych dobrami starościńskimi i kościelnymi, jakiego się dopuszczali pruscy ministrowie dla spraw Szląska i Pruss Południowych Hoym i Goldbeck na rzecz nie tylko już faworytów dworu, ale całego bezmianowego tłumu najrozmaitszych wyzyskiwaczy i awanturników niemieckich...

Otóż to krótki, pobieżny, szczupły z natury rzeczy i przedmiotu szkic literatury *książkowej* w Poznańskim z epoki Pruss Południowych. Obficie od niej nieco, choć niekoniecznie w sposób zadowalniający pretensje i wymagania ducha narodowego, przedstawia się ówczesna polska *publicystyka* w Poznańskim, do której nam się z kolei rzeczy zwrócić wypada.

Do r. 1796 nie mają Poznań i Poznańskie żadnego wła-

120

snego czasopisma. W r. 1795 zaczyna dopiero Decker, właściciel tak zwanej nadwornej drukarni, wydawać w Poznaniu dwa razy tygodniowo, *in quarto*, na grubym papierze, zwietrzalymi czcionkami niemiecką *Süd-Preussische Zeitung*. Z dniem 1 Stycznia 1796 podejmuje tenże sam przedsiębiorca wydawnictwo polskiej *Gazety Pruss Południowych*, wychodzącej podobnie *in quarto*, podobnie dwa razy tygodniowo, wśród podobnych typograficznych warunków, co jej koleżanka niemiecka. Organ ten trwa nieprzerwanie od dnia 1 Stycznia 1796 do dnia 3 Listopada 1806, odkąd się zamienia na *Gazetę Poznańską*.

Gazeta Pruss Południowych pozostanie jednym z najciekawszych pomników naszej porozbiorowej publicystyki. Jest własnością przedsiębiorcy niemieckiego, jest dalej organem rządowym, znajduje się nadto pod cenzurą rządową wykonywaną dla ówczesnej literatury poznańskiej przez Pana Brudzewskiego, *konsyliarza wojskowego i ekonomicznego*, język jej dziwnie niemowlęcy i nieurobiony, naiwno-śmieszny. Przytoczmy jego maleńkie, charakterystyczne próbki:

„Pewny cesarski pułkownik“, mówi *Gazeta Pruss Południowych* pod *Rozmaitościami*, „znajdujący się w niewoli francuskiej we Włoszech, który miał sposobność dobrze poznać generała *Buonaparte*, czyni następujący opis jego: Buonaparte zdaje się mieć więcej odwagi, niż talentów; posiada dokładnie sztukę fechtowania i swego nie chybi. Generał Massena jest jego prawą ręką w każdym przedsięwzięciu, nadgradza jego niedostatek w wiadomościach *indźnieryi*, układa mu plany, które *potym* Buonaparte przyprowadza do skutku na czele swoich żołnierzy“.... *Gazeta Pruss Południowych* zawiera nasamprzód tak zwane *Zalecenia urzędowe*, następnie *Wiadomości polityczne*, na końcu inseraty i *annonse*. Stósownie do kierunku materyjalno-ekonomicznego, w jaki rząd ówczesny pruski społeczność polską wepchnąć usiłuje, by, jak Żydzi wśród tłustych garnków niewoli egipskiej zapomniiała utraconej ojczyzny, zawiera też *Gazeta Pruss Południowych* ru-

brykę tak zwanych *Wiadomości agronomicznych*, niekiedy *Myśli Rozmaitych* lub *Rozmaitości*, gdzie napotykamy anegdotki o Cezarze i Fryderyku W., o Wolterze i o Karolu W., o Barbarossie i Karolu V. Mimo to nie przestaniemy nazywać i uważać *Gazety Pruss Południowych*, jak co dopiero powiedziano, za jeden z najciekawszych pomników naszej porzobierowej publicystyki. Kto ją przejrzy, świstek po świstku, kto począwszy od wstępnych owych *Zaleceń urzędowych* aż do ostatniej stronnicy inseratów i prywatnych treści ogłoszeń zlustrowuje ją i przeczyta, złoży sobie mimowolnie i mimowiednie obraz moralno-polityczny ówczesnej społeczności polskiej. Z owych listów gończych za uczestnikami powstania Kościuszkowego, z owych ogłoszeń komisji likwidacyjnej długów Rzeczypospolitej i króla Stanisława Augusta, z owych opisów entuzjastycznych pobytu młodej królewskiej pary pruskiej w murach miasta Poznania i recepcyi szlacheckich, z owych ogłoszeń redut i zabaw po miastach i miasteczkach poznańskich, z owych annonsów guwernerów i guwernantek francuzkich, z owych inseratów szlachty podpisującej się niemieckim predykatem szlactwa *von* a dopytującej się naiwnie o zbiegłe sługi czy znikłych członków rodziny, — wychyla się dla bacniejszego spostrzegacza z dziwną, wiernością prawdziwa fizyonomia ówczesnego społeczeństwa poznańskiego. Wychyla się zaś z tą większą, wiernością, że jak zobowiązana unikać wszelkiej jednostronności sprawiedliwość historyczna wyznac nakazuje, w późniejszych zwłaszcza latach istnienia *Gazety Pruss Południowych*, przenika do jej łamów skąpo i niezręcznie może, ale niewątpliwie, jakoby głos bardzo głęboko schowanego sumienia i uczucia narodowego. Tu rozpromieniająca oblicza wiadomość o przybyciu „Imci Pana Bogusławskiego z towarzystwem komedyantów polskich do Poznania“; tam troskliwie i pocziwie utrzymywana po r. 1800 kronika posiedzeń i publikacyi Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego; gdzieindziej znów wiadomość o przejeździe „generała Kościuszki“ ze Sztokholmu do Londynu, o pobycie

Niemcewicz w Elisabeth-Town w Ameryce, lub o walkach generał-leytnanta Dąbrowskiego we Włoszech i Kniaziewiczą nad Dunajem⁶; tam znów o działaniach „polskiego grafa Michała Ogińskiego⁶ w Konstantynopolu i Wołoszczyźnie lub o obecności „oficerów polskich w obozie tureckim rebelizanta Passawana-Oglu.“ W taką to wymowną całość, na tak bijący prawdą w oczy obraz składa się owa różnobarwna, rozmaita aż do popsucia oka mozaika szczegółów zapelniających szare łamy *Gazety Pruss Południowych*... Idźmy dalej, trzymając się porządku chronologicznego. We dwa lata po ukazaniu się pierwszego numeru *Gazety Pruss Południowych*, spotykamy się z próbą nowego czasopisma polskiego w Poznaniu, zawdzięczającego swą krótką egzystencją inicjatywie księcia poetów polskich epoki Stanisławowej, niewiadomo co większemu, czy poecie, czy Sybarycie, arcybiskupowi Ignacemu Krasickiemu. Pismo to noszące tytuł: *Co tydzień*, wychodziło luźnemi numerami przez lata 1798 i 1799, zawierało głównie rozprawy treści moralno-społecznej, jak n. p. o dobroczynności, o uszanowaniu rodziców, o pieniactwie, w obrazkach obyczajowych; bajki jak *Czapla, ryb i rak, Wilk i baran, Żaby i bocian*, przekład *Pieśni Ossyana*, pieśń *O zaszczycie życia wiejskiego* przekładu Onufrego Korytyńskiego. Barwa tego czasopisma była kosmopolityczną a gdyby nie język i to język poprawny, przypominający i zdradzający zarazem pióro biskupa Warmińskiego, gdyby nie dyalog między Bolesławem Chrobrym a Kazimierzem Wielkim, nie możnaby z treści i dążności pisma odgadnąć, że jest wydawanem w epoce politycznego upadku Polski z intencją przechowania i ocalenia ducha i oświaty polskiej. Mimo to niepodobna zaprzeczyć, że sama myśl założenia podobnego czasopisma w Poznaniu i dla poznańskiej społeczności była dobrą, że wprowadzenie jój w życie, jakkolwiek nieudolne, było zasługą, że z tych słabych początków mogło przy żywszym udziale publiczności wyrość naukowo-literackie czasopismo, będące centralnem ogniskiem życia i oświaty dla tej części kraju. Stało się przecież inaczej. Słaby zape-

wnie udział publiczności, niedostatek współpracowników, być może, iż niedomagający także już wówczas stan zdrowia dostojnego przedsiębiorcy, wszystko to razem, jak się zdaje, złożyło się na to, iż *Co tydzień*, dzisiaj nadzwyczajna rzadkość bibliograficzna, przestał wychodzić w roku 1799, naliczywszy zaledwie kilkadziesiąt numerów. Równocześnie prawie przecież kiedy arcybiskup Krasicki podjął ową nieudaną, jakkolwiek uznania godną próbę wydawania czasopisma w Poznańskiem, może barwy bardzo bladój, ale przecież jakokolwiek narodowój, występuje rząd pruski sam z zamiarem osobnego czasopisma w *swoich* specjalnie widokach. Podobnie jak wyżej już skreśliśmy charakter ówczesnego społeczeństwa polskiego, *gleby*, którą nowemu rządowi uprawiać i przegniatać według swej potrzeby przyszło, tak teraz skreśliśmy w interesie zrozumiałości mającego przez nas być dotkniętym przedmiotu, charakter i intencye tegoż rządu względem społeczności południowo-pruskiój. Społeczność polska była jeszcze naówczas liczebnie silną; należało się więc z nią liczyć. Można jej było oficjalnie odebrać własny język, można ją było wyzyskiwać, zabierać dobra starościńskie i kościelne, podkopywać zdradliwie łątwością złe używanego zwykle kredytu, żartować sobie z niej za plecami, pobłażać wzgardliwie, jak to czynił gubernator Warszawy, generał Köhler, jej wybrykiem, byle tylko nie politycznej doniosłości, *ale* o co chodziło, to o rozbudzenie pośród owego społeczeństwa chęci używania i ducha materyalizmu, aby wśród tracenia z jednej, zyskiwania z drugiej strony, przyłgnęło powoli do nowego stanu rzeczy, wyrzekło się niebezpiecznych marzeń o odzyskaniu ojczyzny. Dążność podobna rządu znajdowała naturalnie najgłośniejszego, ale cokolwiekbiądź biernego sprzymierzeńca w ówczesnem usposobieniu publicznem, pionierów za to czynnych i ochoczych w tyle zacnych zkądinąd kalwinach Poznańskiego. Nie ubliżając ich zacności prywatnej, oddając należne uznanie późniejszemu się ich, nader szczeremu i ofiarnemu nawróceniu na wiarę patryotyzmu narodowego, niepodobna przecież zaprzeczyć prawdzie, iż w epoce Pruss Po-

ludniowych żyją pośród nich jeszcze tradycje przeszłości, że językiem i obyczajami sympatyzują do pewnego stopnia z żywiołem niemieckim, że rząd wspólnego z nimi wyznania nie jest im wstrętnym. Pp. Mielęcki, Haza-Radlic, Kurnatowski, szambelan Jan Potworowski zawierują w r. 1802 pod patronatem rządowym w nadgranicznym powiecie międzyckim tak zwane *Towarzystwo ekonomiczne*, które następnie rozszerza się na całe Prussy Południowe a coraz troskliwszą opieką rządu się cieszy. Nieogłędnością, co najmniej, byłoby chcieć zapoznawać w rolniczym przeważnie kraju naszym potrzebę i wagę gospodarskich ulepszeń, usiłowań indywidualnych czy zbiorowych do tego celu zmierzających. Z pewnością tedy nie znaleźlibyśmy ani jednego słowa protestu czy uwagi przeciw przedsięwzięciom w rodzaju *Towarzystwa ekonomicznego* Pruss Południowych, gdyby z poza jego pozornie dobrotliwego i dobrodusznego harcopa nie była podstępnie wychylała oblicza intencja zubożenia politycznego i wynarodowienia społeczności polskiej. Że zaś było tak a nie inaczej, że *Towarzystwo* owo miało być naówczas propagandą borussyzmu pośród ludności południowo-pruskiej, przekona nas czasopismo, które miało być i stało się jego organem. Przypatrzmy się jego genezie. Tuż po trzecim rozbiore, już w r. 1795, powstała w głowie urzędników kamery i regencyi, czyli ówczesnej administracyi i ówczesnego sądownictwa poznańskiego, myśl wydawania czasopisma w języku polskim i niemieckim równocześnie, z dążnością rządową. Dopiero jednakże pod dniem 1 Lutego 1797 wydają PP. v. Steudener, prezes regencyi i v. Fincke, radzca kamery poznańskiej odezwę, która po oświadczeniu zamiaru wydawania podobnego czasopisma, kończy się następnymi słowy: „A ponieważ zamiarem tego pisma jest: prowadzić mieszkańców Pruss Południowych do poznania z czasem ducha prawodawstwa, również jako i zbawionego składu rządu pruskiego a tak zbliżyć ku sobie dwa narody pod jedno słodkie panowanie złączone, przeto będzie osnowa onegoż wiodokowi temu odpowiadać“. Oznaczywszy następnie roczną pre-

numeratę zamierzonego czasopisma na trzy talary, ciągnęli wydawcy dalej: „Utworzenie dzieła tego polecane jest pewnym osobom z pośród członków magistratury krajowej się składającym; wszakże może się w nim mieścić każda przykładka *patryotyczna*, przysłana z prowincyi lub z zagranicy, bądź w polskim, bądź w niemieckim języku, na ręce redaktora Schwartz, assessora regencyi w Poznaniu, byle z celem tego dzieła zgodną była. Tłumaczenie powierzone jest osobie, nie tylko w obu językach bieglej, ale też w *krasomówstwie polskiem* wywiczonój a tak może sobie *naród* obiecywać ślusznie, iż dzieło to, nie już gruntowność samą w materyach, ale też i jasność w osnowie zamykać będzie.“ Mimo tej jak co dopiero powiedziano, z miesiąca Lutego r. 1797 datowanej odezwy, przychodzi dopiero w Czerwcu 1802 do skutku zapowiedziane czasopismo, jakoby czekając za dotykałną i potrzebną podstawą, którą zyskało we wspomnianem wyżej *Towarzystwie ekonomicznem Pruss Południowych*. Czasopismo to wychodziło osobno w języku polskim. osobno w niemieckim, miesięcznemi poszytami, pod redakcją assessora regencyi Schwartz, z godłem „*Semper sincerus pro patria*“, pod tytułem *Pisma miesięcznego Pruss Południowych*. W piśmie tem szukałoby się nadaremno naturalnie jakiegoś kolorytu polskiego, jakiejs troskliwości o przechowanie pamiątek przeszłości narodowój, o utrzymanie narodowego języka, choćby nawet w granicach przez rząd ówczesny dozwolonych. Treść *Pisma miesięcznego Pruss Południowych* obraca się przez cały czas trwania, począwszy od miesiąca Czerwca r. 1802 do Listopada r. 1806, głównie w zaczarowaném kole kwestyi agromomiczno-przemysłowych. Tutaj artykuł *O zakładaniu i urządzeniu budynków gospodarskich*, tam *O robieniu safianu*; tutaj *O rozmaitych przyprawach piwa*, tam *O chodowaniu drzew owocowych*. Obok téj głównej i podstawnej treści, znajdujemy też jeszcze przecież w *Piśmie miesięcznem Pruss Południowych* rozprawy dążności ekonomiczno-politycznej, z bardzo przezroczytą, intencją, propagandy na rzecz nowego rządu. Tak n. p. odzywa się zamieszczony w *Piśmie miesięcznem*

artykuł *O położeniu Pruss Południowych pod pruskim panowaniem*, między innymi dosłownie, jak następuje: „Złączenie naszej południowo-pruskiej ojczyzny z dawniejszemi prowincjami Pruss, najszacowniejszym zapewne było darem nieba, jaki natura temu tak żyznemu krajowi udzielić mogła. Chcąc się o tem przekonać, rzucmy okiem na przeszłość i przyszłość. *Egoista* poczytywać będzie wprawdzie nowy porządek rzeczy za naruszenie praw mniemanych. Ale rozumny człowiek i przyjaciel ludzkości obchodzić będzie uroczyste rocznicę przyłączenia Pruss Południowych do monarchii pruskiej, ciesząc się całym sercem z wyniesienia ludu do wyższego stopnia oświecenia. Pierwszą czynnością polepszającą znacznie stosunek naszych rodaków tutejszych, było bez wątpienia wprowadzenie równości praw, matki przemysłu, oraz nabytku własności. Najmniejszy poddany odzyskał przez to godność człowieka, która mu wprawdzie wrodzoną jest, lecz jej nigdy nie uczuł. Sprawiedliwość i niesłuszność mają odtąd jedno tylko znaczenie, tak dla księcia, jak i dla żebraka; zgoła, ujrzano tam ludzi gdzie przedtem tylko niewolnicy byli.“ Mimo takiego programu i takiej treści, nie było *Pismo miesięczne Pruss Południowych* niepopularnem wśród społeczności południowo-pruskiej, miało swoich abonentów, współpracowników i korespondentów, pomiędzy nawet bardzo dostojnymi naówczas, polskimi osobistościami Pruss Południowych. Dla dokładności wspomnijmy także jeszcze wydawany w Rawiczu przez tamtejszego księgarza Ludwiga niemiecki tygodnik *Südpreuussisches Wochenblatt* zasługujący może na uwagę dla tego, że zawiera niektóre skazówki do współczesnej historii Pruss Południowych....

◀ Pośród podobnych chwastów, podobnej duchowej posuchy, przedstawia nam przecież zbliżający się właśnie koniec owiej epoki postać zapomnianego dzisiaj zupełnie, nieostatniego treścią i formą, a nadewszystko zacną dążnością, gleby poznańskiej literata-poety. Jest nim ksiądz-kanonik Jan Gorczycki, szlachcic urodzony na gruncie poznańskim, spokrewniony z wielu dzisiaj jeszcze tamże żyjącymi rodzinami, przez

pewien czas dyrektor szkół poznańskich przed wspomnianym wyżej Wolframem. Książd Gorczyzewski jest nie tylko poznańskim dzieckiem, ale co więcej w literackiej swęj czynności gorliwym patriotą rodzinnego zakątka. Miasto Poznań, Kalisz, Inowrocław, Oborniki, Szamotuły, Bąblin, Obiezierze, Tursko, miasta i wsie Poznańskiego, jakże to często, z jakąż lubością powtarzająca się widownia jego skromnej Muzy! Dla czego zaś dzieje literatury epoki Stanisława Augusta pamiętające o Drużbackiej, Książninie a choćby nawet o Węgierskim, zapomniały tak doskonale o współczesnym im Poznańczyku Gorczyzewskim, pozostanie dla nas rzeczą niepojętą. Poezye jego wyszły poraz pierwszy i ostatni w kompletnym zbiorze w Warszawie dopiero r. 1818 pod obszernym tytułem: *Satyry Boala Despro z przystósowaniem ich do rzeczy polskich, w powtórniem wydaniu poprawione, tudzież dwanaście listów tego autora i kilka innych innęj ręki wierszem polskim przełożone przez X. Jana Gorczyzewskiego w dwóch częściach*. Kursowały przecież owe poezye częścią w rękopiśmie, częścią były drukowane w epoce Pruss Południowych r. 1805 w Warszawskim *Pamiętniku Dmochowskiego*. Z naśladowanych tych z Boala, zastósowanych do widowni polskiej satyrach, poleconych, nawiasowo powiedziawszy, przez późniejszy rząd Księztwa Warszawskiego do książek dla użytku szkolnego, miał autor cel narodowo-moralny. Chciał, jak powiada, „położyć tamę napływowi ladajakich pism, któremi ocenienie publiczne i czystość języka polskiego były zagrożone; poleca krzywdzącym cnotę, religią i charakter narodowy obyczajom przycisnąć piętno tyle odrażające, ażeby oddani tym wadom przynajmniej w publiczności przestali się z niemi popisywać.“.... Naśladowanych owych z Boala satyr z zastósowaniem do gleby polskiej jest w zbiorze poezyi ks. Gorczyzewskiego dwanaście, następnie przełożonych na język polski dwanaście listów Boala, jeden Popego, dwa Delille'a, nareszcie własne i samodzielne poezye jak np. *Odpis Gorczyzewskiego Chrzanowskiemu z okoliczności śmierci księdza Karpińskiego* lub dowcipna *Odpowiedź ks. Jana Gorczyzewskiego*

na anakreontyk księdza *Kazimierza Chodkiewicza*. Dążność Górczyczewskiego, prawa i uczciwa, była ta sama, co założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego: chęć utrzymania czystości i poprawności języka polskiego. Obok tego przebija się w jego poezjach gorący patriotyzm. Z jakąż lubością, np. wspomina o zwycięstwie oręża francuzkiego „*pod Sławnikowem*“ (Austerlic) w owym *Odpisie Chrzczanowskiemu!* Język księdza Górczyczewskiego wszędzie i zawsze poprawny, tok i koloryt wszędzie polski a odbijający z dziwną wiernością charakter i fizyonomią literatury Stanisława Augusta. Czy to w satyrach swych, czy rymowanych listach ma autor przed oczyma i chłoszcze przywary i wady właściwe *tęj* właśnie epoce. Satyry noszące tytuł, jak np. *Poeta porzuca Warszawę, O trudności wynalezienia Rzymu* z dedykacją Ignacemu Krasickiemu, *Uczta, Powszechne głupstwo, Cnota jest prawdziwym szlachectwem, Niewygody w Warszawie, Małżeństwo czyli Kobiety, Honor prawdziwy i udany* noszą na sobie wybitną, cechę wieku, przypominają żywcem podobnie satyry Krasickiego, ustępując im bardzo niewiele co do języka i poetyckiej wartości. W satyrze *Poeta opuszcza Warszawę* określa autor udatnie i dowcipnie postać żyjącego cudzym kosztem i łaską, dworską, ówczesnego darmozjada. Satyra *Małżeństwo czyli Kobiety* jest może lepszem od oryginału naśladowaniem *Modnej żony* Krasickiego, *Niewygody w Warszawie* wybornym obrazem ówczesnej Warszawy z dowcipnem powoływaniem się na „gazetę księdza Łuskiny,“ *Uczta* przypomina nie źle Krasickiego *Pijaństwo*.

„Wspomniał Jan o Sarmatach. Kasper zatem śmiały
Przejąwszy miecz, jał głosić Sarmatów pochwały.
Dowiódł, że ich ród idzie prosto od Jafeta,
Że co Sarmat, to rycerz, rycerska kobieta;
Że u nich Amozonki pierwsze się zjawily,
Że zwrotność nagradzała w nich brak męskiej siły.
Że się Pentezyleja w swych dziewic orszaku,
Grekom w wojnie Trojańskiej dobrze dała w znaki;

Że gdy przed Alexandrem drzały potentaty,
 Same go od swych granic odparły Sarmaty.
 Mijając potem wodzów Sarmacyi wielu
 Dotknął, jak smoka Krakus pokonał w Wawelu:
 Jak gdy tryumf jój złamał szyk w gacha zamyśle,
 Dziedzictwo swoje Wanda poświęciła Wiśle.

Wśród dalszych biesiadników pijatyki i polityczno-historycznej zwady, odzywa się jeden z ich grona:

Najprawdziwszy Sarmatów w Koperniku opis,
 Prot się ozwał: albożto Kopernik dziejopis?
 A cóż? Astronom. Chybaś to w Kadłubku czytał!
 Roch obrażon, ledwie go pięścią nie przywitał.
 Jać niewiem, co Kadłubek? wrzaśnie gardłem całym.
 A cóż? On był nadwornym Lecha konowałem!

Otóż próbka języka i treści satyr Górczyczewskiego, próbka znajdująca podobnych wiele a dająca nam prawo do orzeczenia, iż nasz zapomniany, poznański poeta epoki Pruss Południowych niewiele ustępował książęciu poetów polskich. Jakże dalej dowcipna satyra na fałszującego w Poznaniu węgierskie wina „*Kupca Węgrzyna*“, z jakąż potocznością i nieudanem zamiłowaniem rodzinnych stron skreślone w rymowanych listach uroczę, nadwartańskie okolice, owo Obiezierze między innemi, toż samo Obiezierze, które i Mickiewicz w *Panu Tadeuszu* zaszczycił pamiętnym swym dwuwierszem. Takiego to poetę ma Poznańskie w osobie urodzonego na swym gruncie księdza Jana Górczyczewskiego za Pruss Południowych, poetę, który mu zaiste ujmy nieprzynosi. Z drugim, innego charakteru i kierunku spotkamy się jeszcze niżej, pod sam koniec tejże samej epoki.....

Otóż to obraz naukowo-literacko-publicystycznej działalności w owym czasie, obraz pobieźny wprawdzie, ścieśniony w swych ramach, ale nie grzeszący z pewnością zbyt obszernymi szczerbami i opuszczeniami. Wspominając o literaturze, wspominając o życiu umysłowem Poznańskiego z tej epoki, nie możemy zapomnieć jednego jeszcze ważnego naówczas narodowej

oświaty czynnika: teatru narodowego a nadewszystko reprezentanta jego, Wojciecha Bogusławskiego. Legiony walczyły za kraj tam gdzieś daleko, wiadomości o nich i od nich dochodziły skąpo. Literatura krajowa była i żyła tylko taką, na jaką obce pozwalały rządy. Jeden Bogusławski w podróżach swych, w nieustannych swych wędrówkach po kraju, od Warszawy do Lwowa, od Lwowa do Krzemieńca, od Krzemieńca do Poznania, pozostał tem, czem był dawniej, prawdziwym *kolporterem* narodowej myśli, dziwną w prostocie swej skromności istotą, bujającą ze swobodą ptaka czy przenikalnością powietrza, bezprzeszkodnie po wszystkich częściach i zakątkach dawnej Polski. Bogusławski okazuje się w ponurej epoce po trzecim rozbiore godnym pomnika, jaki mu wzniosł cudzoziemiec Seume w swych *Wspomnieniach z powstania z roku 1794*, przypisując jego osobie jedną z głównych, elektryzujących przyczyn wielkoczwartkowego wybuchu w Warszawie. Autor i przedstawiciel *Krakowiaków i Górali* pozostał niezachwianie wiernym ówczesnej swej roli, rozwoził na swym skromnym Tesisowym wózku, po wszystkich częściach dawnej Polski myśl i poczucie narodowej świadomości. Dla Poznania i Poznańskiego w epoce Pruss Południowych miał swe szczególne znaczenie. Jak zagraniczne ptactwo z wiosną, zjeżdżał od roku 1796 rok rocznie, co św. Jan „Imci pan Bogusławski ze swém towarzystwem komedyantów polskich“ do Poznania, ku wielkiej radości jej mieszkańców, ku widocznemu nawet w bibulastej *Gazety Pruss Południowych* zadowoleniu. Aż do roku 1804 daje swe przedstawienia w tak zwanej Geizlerowej szopie na dzisiejszym *Placu działowym*. W r. 1804 staje na gruncie dawniejszego cmentarza żydowskiego „nowy, wspaniały gmach nowej komedyalni“, jak pisze *Gazeta Pruss Południowych*, z godłem jaśniejącem złotemi literami na froncie: *Laborum dulce lenimen*. Odtąd to grywa tutaj Wojciech Bogusławski co kontrakty świętojańskie a publiczność poznańska wita go zawsze z tym samym, wiernie dotrzymującym zapalem.

Doszlśmy w szkicu naszym literatury poznańskiej do pamiętnej daty roku 1806. Niema pewnie w całych dziejach ludzkości, zwłaszcza jeżeli zważymy powolność ówczesnych środków komunikacyjnych, gwałtowniejszej odmiany, któraby szybciej i niespodzianie była uderzyła w najbezpośredniej interesowane żywioły. *Prussy Południowe* nie były przygotowane na grom, jaki miał uderzyć. Miesiąc Wrzesień, Październik roku 1806 nie przedstawiają bynajmniej na ich widowni jakiegoś niezwykłego ruchu a choćby nawet tylko zaciekawienia. Wszystko toczy się zwykłym, codziennym biegiem a wiadomość o bitwie Jeneńskiej schodzi się na bruku miasta Poznania z samymi niemal Francuzami. Numer 85 *Gazety Pruss Południowych* z d. 20 Paźdz. 1806 przynosi dostownie brzmiącą wiadomość: „Według nadeszłych tymczasowych wiadomości, armia królewska straciła dnia 14 t. m. pod Auerstadt batalię; dalsze szczegóły nie są jeszcze wiadome; tyle jednak wiadomo, że król Imci i bracia jego przy życiu zostali i nie są rannymi.“ Dzieli wszakże pewna przestrzeń miasto Turynii od stolicy Wielkopolski a nikt nie spodziewał się, nie mógł się spodziewać, że przed upływem dwóch tygodni od tej pierwszej wiadomości, Francuzi staną już na rynku Poznańskim. Stało się tak przecież. Numer 89 *Gazety Prus południowych* z d. 5 Listopada 1806 zawiera doniesienie: „Z Poznania 4 Listopada. Pierwszy regiment strzelców konnych, składający część przedniej straży III korpusu wielkiej armii, pod dowództwem J. W. Davoust, marszałka cesarstwa, wszedł wczoraj wieczorem do miasta naszego, wśród tysiącnie powtarzanych okrzyków: „Niech żyje cesarz Napoleon, niech żyje nasz zbawca.“ Zgromadzenie, złożone z mieszkańców całej okolicy i wszystkich klas, było tak liczne, że wojsko zaledwie przejechać mogło przez miasto. Sam J. W. Marszałek spodziewany jest każdej chwili z swoją główną kwaterą...“ Tak to brzmi lakoniczny nekrolog Pruss Południowych, w łamach ich oficjalnego organu, tak zapowiada swój byt pamiętna epoka Księstwa Warszawskiego. Grom był wulkaniczny, wstrząsający do głębi nie

tylko już politycznemi, ale co ważniejsza, moralnemi i towarzyskimi podwalinami dotychczasowego bytu. Wybuch ten zaś, jeżeli znalazł gdziekolwiek bądź wdzięczne dla swojej skuteczności pole, to z pewnością znalazł je pośród społeczności *naszej*. Mimo chęci zabaw, mimo namiętności używania, mimo hulanki i bezmyśli na wierzchu, żyła przecież na dnie sumień i w głębi serc *Ojczyzna*. Nagle, niespodzianie, stanęła na jej ziemi największa ówczesnego świata potęga, by poręką swoją dać jej podstawę bytu. Oczom, wyobraźni, ciekawości najwrażliwszego ziemi narodu przesuwają się od lat dziesięciu przeszło, wyrosłe do rozmiarów pogańskich półbogów postaci Napoleona, królów i wodzów jego kreacyi, współbohaterów jego czynów. Nagle i niespodzianie spadają temuż narodowi w charakterze mścicieli jego krzywd wiekowych, ów Napoleon, ów Murat, ów Lannes i Davoust na własną jego ziemię w dotykanej postaci, z odezwą chwycenia za broń w imię zgnębionej ojczyzny. Nie ma zakątka duszy ludzkiej, nie ma nerwu w organizmie ludzkim, któregooby taki opatrnościowiy pojaw nie był miał do głębi wstrząsnąć i poruszyć. Od chwili wstępu Francuzów na ziemię wielkopolską, widzimy spadającą cudownie z oblicza poznańskiej społeczności smutno upokorzącą powłokę epoki południowo-pruskiej. Młodzież gromadzi się tłumnie w zbrojne zastępy, by pójść zwycięzko walczyć pod Bydgoszczą, Tczewem, w oblężeniu Gdańska, pod Iławą i Frydlandem. Entuzjazm ogólny ogarnia i porywa wszystko. Poznańskie zamienia się w istne zbrojne rojowisko, *ale* opis dalszy *tego* ruchu, jego wojennych i politycznych następstw, nie jest przedmiotem naszego zadania. Zwróćmy się odeń do *literatury*. Jakżeż ona w Poznańskiem właśnie w owej chwili uboga i bogata zarazem, jakżeż uboga w słowa i formę, jażeż bogata w krótkie owe, niezręczne stylowo odezwy i doniesienia, w dowody narodowego męztwa, poświęcenia i ofiarności, w przekonujący pomniki prawdy wyrzeczonej przez wieszczą, „iż wewnętrznego naszego narodu ognia sto lat nie wyziębim”... Szukajmy przecież za *literackimi* pojavami owej chwili. Znaj-

dujemy jeden z takich najwymowniejszych, w równie mało znanej, jak najlepszej pod względem formy i treści *Odzie Marcina Molskiego*, rodowitego szlachcica poznańskiego, ongi konfederata Barskiego, *człowieka* podobno nie bez zarzutu, poety wznoszącego się, jak zaraz zobaczymy, niekiedy do tonów i natchnień prawdziwej poezji. Postuchajmy, choć ułamkowo, owego jedyne go płodu poezji najrodzimej poznańskiej, w gorącej chwili cudownej metamorfozy harcopolu Pruss Południowych na rycerską, szablę Księstwa Warszawskiego:

„Kiedy po długich czasach swobodnych kolej,
Dzikię orły z nad Newy, Dunaju i Sprei,
W chytrej znowie drapieżne rzuciwszy łożysko,
Rozszarpały Lechowe stu wieków siedlisko;
Część rodaków, jak niegdyś cnych Trojanów plemię,
Przeniosła się z rozpaczą na Auzońską ziemię.
Tam łącząc pod największym wszystkich wieków mężem
Oręż swój z bitnych Franków zwyciężkim orężem,
Chciała przez śmierć, przez trudy, niewolę i blizny
Pod obcem znaleźć niebem byt własnej Ojczyzny....

.

Tak Polska, co pod berłem Sobieskich, Stefanów,
Była chłostą i wsparciem naszych dzisiaj panów.
Przez obłądę naddziadów, później winy swoje,
Przez złą wiarę lennika rozdarła na troje;
Jeżeli ten kielich obelg wypić była godna,
Piła go lat dwanaście i wypila do dna.
Nakoniec ten, co karze i przebaczać umie,
Położył kres łupieżtwu, chytrności i dumie,
Zjawił się krzywdy naszej mściciel od zachodu,
Bohater bohaterów wielkiego narodu.
Jednym miecza zamachem naszą przeciął nędzę
I gwałt przodka ukarał na wnuka potędze!¹⁴

Otóż, tedy, raz jeszcze, jedyne płód *najszczerzej poznańskiego* natchnienia, pojawiający się do tego w zamienionej na *Gazetę Poznańską* „Gazecie Pruss-Południowych“, na samem rozdrożu obu epok, smutnej pod każdym względem pamięci przeszłości, zapowiadającej się świetnie, różowo, zwodniczo niestety, lepszej przyszłości.

II.

Znajdujemy się w epoce Księstwa Warszawskiego. Zadaniem naszym, nie dzieje jej wojenne i polityczne, lecz naukowe i literackie. Jakżeż zaprzeczyć jednakże prawdzie wzajemnego oddziaływania pierwszych na drugie, jakże odmówić pierwszym uznającej na przemian lub wysuszającej i wyziebiającej działalności na drugie? Z tego wychodząc stanowiska, zastanówmy się w kilku słowach, nim podejmiemy dalszy ciąg zadania naszego, dziejów literatury poznańskiej w owym czasie, nad moralnem znaczeniem przemiany, jaka naówczas dla ziemi naszej nastąpiła. Opinia publiczna polska, dziejopisarstwo polskie wytaczają pamięci Napoleona nieustanny proces o rozmaite grzechy, które popełnił i których nie popełnił, zarzucają mu, że nas zawodził a następnie opuścił, że nas wyzykiwał a Polski nie przywrócił. Może w podobnych zarzutach być część prawdy. Napoleon był człowiekiem tylko a więc omylnym; był dalej człowiekiem ambicyj a więc jak wszystkie, wielkie ambicje uważał ludzi wogóle, nie tylko nasz, ale i swój własny naród za narzędzia swych wielkich dziejowych zadań i celów. Wszystko to może być prawdą. Cò się przecież tyczy ostatniego, najczęściej miotanego mu w oczy z naszej strony zarzutu, że „nie przywrócił Polski,“ obrona jego bardzo łatwa. Nie przywrócił jej, bo sam skończył *klęską*; pytajmy zaś, czy po odniesieniu w r. 1812 *wycięstwa* nad Rosją byłby mógł *nie* przywrócić Polski i czy logika prosta powodzeń nie wskazywała go na konieczność podobnej restauracji. Czuł on to sam zresztą i rozumiał najlepiej a zawarty w Dreźnie pod dniem 28 Kwietnia 1812 między nim a Austryją traktat, zamieniający Tryest i prowincje Illiryskie na mającą się oddać przywróconej Polsce Galicyą, nie pozostawia pod tym względem najmniejszej wątpliwości. *Nawias* to przecież tylko naszego opowiadania, którego zadaniem dzieje objawów narodowego *ducha* owéj epoki. Ależ właśnie w ocenieniu *tej* strony naszej przeszłości, nie możemy nie przyznać wpływowi Napoleona dość doniosłego i głębokiego znaczenia. Przypuśćmy, że wszystko prawdą, co dziejopisarstwo, co publicystyka nasza Napoleonowi zarzucają, że nas

zawodził i wyzyskiwał, że w r. 1807 mógł przywrócić Polskę, że w r. 1809 mógł nam dać 500 mil kwadratowych więcej, że w r. 1812 mógł odrazu ogłosić niepodległość i całość dawniej Rzeczypospolitej Polskiej, to przecież, cokolwiekby, pozostanie wulkanicznie wstrząsającym całą istotą naszą fenomenem natury, od którego się datuje regeneracya polityczna, wojenna a nadewszystko duchowa Polski w bieżącym stuleciu. Przypatrzyliśmy się Polsce w chwili ostatniego rozbioru kraju, choćby w skromnych tylko ramach niniejszego szkicu. Patryoci; reprezentanci myśli niepodległości narodowej na wygnaniu, powięzieniach lub w dalekich legionach. W głębi duszy narodowej żal może za utraconą ojczyznę, ale schowany nawet w tej głębi bardzo *głęboko*; na wierzchu obojętność i chęć nżywania życia. Szczerzy i uczciwi nawet Polacy, jak Tadeusz Czacki, jak książę Adam Czartoryski zgadzają się na stan obecny, pragnąc tylko dla żywiołu narodowego wypracować znośne duchowo i materyalnie położenie, nazywają Trajanem „naszego Aleksandra“... Pośród podobnego stanu usposobienia publicznego i umysłów, staje magiczna postać Napoleona na ziemi polskiej i budzi świadomość, budzi chęć niepodległości narodowej w sumieniach i sercach polskich. Wystąpienie Napoleona odbudowało Polskę nie terytoryalnie może, ale odbudowało ją duchowo i moralnie. Społeczeństwo, które odzyskało choć efemerycznie byt państwowy, które mogło wskazać z pośród siebie na Poniatowskich, Dąbrowskich, Kniaziewiczów, które mogło poszczycić się świetnemi objawami bojowego męztwa pod Tczewem i Frydlandem, pod Raszynem, Grochowem i Górą, pod Smoleńskiem i Lipskiem, miało rękojmią życia, miało *prawo* jego nadziei i świadomości. W sferze narodowej oświaty i literatury ma epoka ta znaczenie nie tyle twórcze, ile twórczość przygotowujące. Po długiej, zagrażającej głodem posusze, gdy przyjdzie nareszcie dobroczynna, użyzniająca burza, nikt *wśród i podczas* niej ani sieje, ani tem mniej zbiera. Ale burza taka przysposobia i przygotowuje grunt do przyszłego żniwa. Nie inaczej dzieje się z wpływem wojen napoleońskich

i wystąpienia napoleońskiego na rozwój naszego narodowego ducha i naszej narodowej oświaty. Sama epoka Księstwa Warszawskiego bogata w czyny dłoni polskiej, jest stosunkowo dość ubogą w objawy ducha polskiego. Któż zaprzeczy przecież wpływowi jój na literaturę polską późniejszej epoki, na rozbudzenie świadomości i samodzielności polskiego ducha? Trzeba było polskiej społeczności przez wojny napoleońskie odzyskać moralnie samowiedzę narodową, by na jój podstawie zbudować sobie samodzielną i samoistną, odzwierciadlającą, nie próby stylowe czy to Rzymian czy Francuzów, lecz dno duszy narodowej literaturę. Podobny wpływ napoleońskiej epoki na zbiorową literaturę polską, będziemy mieli sposobność stwierdzić niżej nieco i na literaturze poznańskiego zakątka. Sama natomiast epoka Księstwa Warszawskiego, czy to na wielkiej widowni polskiej, czy na skromniejszej poznańskiej, nie przedstawia szczególnej obfitości widowiska. W Poznaniu, w Poznańskim istnieje, jak istniała dotąd *Gazeta Poznańska*, wychodząca obecnie cztery razy tygodniowo, zawierająca doniesienia z widowni wojny, wiadomości czy to z pod Hawy, czy z pod Somo-Sierry czy to z pod Wagram, czy z pod Sandomierza, czy to z pod Smoleńska i Borodyna. Część literacka bardzo w niej, nie inaczej jak we wszystkich objawach poznańskiego życia uboga, ogranicza się na transparentowych wierszach ku czci tryumfów Napoleona i czynów armii polskiej. Synowie Poznania i Poznańskiego licznie a zaszczytnie reprezentowani w szeregach narodowej armii, nie mają czasu i sposobności występować równocześnie na polu literatury. Znakomici i uczeni Poznańskiego mężowie, jak Staszyc, jak Wawrzyniec Surowiecki, autor ważnych historyczno-statystycznych dzieł: *O upadku przemysłu i miast w Pclsce*, *O rzekach i splawach Księstwa Warszawskiego*, przebywają w Warszawie, wchodzą w skład rządu i władz Księstwa Warszawskiego, nie stanowiąc dla duchowego życia swego rodzinnego zakątka Poznańskiego żadnego dodatniego, pobudzającego pierwiastku. Szkoły ówczesne poznańskie, jakkolwiek zostające pod energicznym zarządem znanego nam już

z powyższego opowiadania księdza rektora Ignacego Przybylskiego, jakkolwiek dalej cieszące się szczególną pieczołowistością rządu Księstwa Warszawskiego, nie są tem czemby w normalnych czasach były i być mogły dla oświaty narodowej. Młodzieniec doszedłszy zaledwie lat szesnastu, zyskawszy zaledwie wstęp do wyższych klas zakładu naukowego, spieszył rzucać książkę, brać szablę do ręki. Iluż to z owej zacnej, pięknej, pełnej nadziei młodzieży pochłonęła kampania hiszpańska; iluż zastygło snem wiecznym wśród śniegów i mrozów wyprawy r. 1812; iluż skosił Lipsk, ale iluż też powróciło do kraju, by później w najrozmaitszych okolicznościach, czy to raz jeszcze na polu walki roku 1831, czy to w usługach życia obywatelskiego świecić przykładem, jaki, oby zechciały naśladować generacye późniejsze! Dodajmy zresztą dla uzupełnienia obrazu owej epoki, że mimo własnej na polu literackim bezczynności, objawia się przecież w Poznańskim żywy udział dla literatury i nauki ojczystej, takiej, na jaką owe czasy starczy. Dowodem choćby tylko troskliwie w łamach *Gazety Poznańskiej* zapisywane doniesienia o każdym niemal ówczesnem posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego, dalszym dowodem liczne inseraty księgarni Krzysztofowicza i ogłoszanie prenumeraty na nowe publikacye wszelkiego rodzaju dostarczane przez Warszawę. Ponieważ nie naszego przedmiotu zadaniem zapuszczać się w polityczno-wojenną stronę ówczesnych wydarzeń, pozostaje nam tylko obowiązek i konieczność pobieżnego skreślenia chwili przejścia ze stanu rozbudzonych świetnie nadziei Księstwa Warszawskiego, w ponury i przygnębiający stan jego upadku. Żołnierza francuzkiego zastępuje Kałmuk i Kozak; w pierwszych tygodniach roku 1813 zajmują Poznań wojska rossyjskie pod dowództwem generała Woroncowa; rządy Księstwa Warszawskiego praktykują się nieprzerwanie i funkcyonują pod opieką i nadzorem władz wojskowych rossyjskich. Oddajmy przecież panom ówczesnej sytuacji należną sprawiedliwość. Pomijając *polityczną* usposobienia owej chwili w obozie koalicji europejskiej, pomijając

nawet zamiary i uczucia, jakie naówczas Cesarz Aleksander żywił dla Polski i dla społeczeństwa polskiego, należy się w imię czystej prawdy historycznej uznanie i sprawiedliwość reprezentantom i wykonawcom panującej chwilowo w Poznaniu i Poznańskiem wojskowej władzy rossyjskiej. Naczelnie dowodzący generał Woronców okazywał pewną względność dla mieszkańców, wydawał obywatelom wiejskim karty bezpieczeństwa, był umiarkowanym w ściąganiu kontrybucyi pieniężnych i naturalnych dostaw. Organizacya rządowa Księstwa Warszawskiego istniała bez przerwy i przeszkody, z tą jedynie tylko modyfikacyą, że, jak już co dopiero powiedziano, miała sobie przydanych nadzorców rossyjskich. Ale i sam żołnierz rossyjski, sam niższy oficer nie ciążył krajowi do zbytku, umiał stanąć na dobrej stopie z mieszkańcem czy wsi, czy miasta a jakkolwiek utrata niepodległości i zgon tylu świetnych nadziei dotykały boleśnie, nie można powiedzieć, aby wspomnienie trwającej w Poznańskiem przez dwa lata od r. 1813 do 1815 okupacyi rossyjskiej, było pozostawiło po sobie zbyt przykrą pamięć. Pytać o stan literatury poznańskiej w owej chwili przejścia, jest prawie rzeczą, zbytęczą. Jedynym jej pomnikiem wychodząca nieprzerwanie, obciążta naturalnie, pod zarządem rossyjskim w objawach patryotycznego polotu *Gazeta Poznańska*. Jedyny może wyjątek z tej reguły stanowi rzeczna chwila: dnia 5 Sierpnia 1815. Był to dzień, kiedy powracające z Francyi pod wodzą generała Sokolnickiego, prowadzące z sobą część zwłok króla Stanisława Leszczyńskiego wojsko polskie, stanęło w murach miasta Poznania. Przyjęcie ze strony ludności poznańskiej, ze strony młodzieży szkolnej zwłaszcza zostającej pod kierownictwem patryotycznego księdza Przybylskiego, było może nie tyle świetne, ile serdeczne. Kapituła poznańska zarządziła uroczyste, dziękczynne nabożeństwo w katedrze, składając w niej zarazem powierzone sobie szczątki Leszczyńskiego. Opis uroczystego dnia tego skreślony dobrem i jędrnym piórem, niech nam będzie wolno nazwać jedną, z lepszych pamiątek literackiej czynności Poznań-

skiego, w owej chwili przejścia, jeśli w niej w ogóle o jakiej bądź *literaturze* mowa być może. Obok owej patryotycznej wzmianki o powrocie wojsk polskich do kraju, wspomnijmy jako rzecz nie mniejszej z pewnością patryotycznej świadomości świadczącej o troskliwości myślących ludzi dla dobra wiejskiego ludu choćby nawet w tej przejściowej chwili, dziełko zamieszkałego naówczas w Poznańskim generała Amilkara Kosińskiego pod tytem: *Uwagi nad myślami do zamiaru polepszenia bytu włościan polskich*. Jedyny to ówczesny ślad poważniejszego przedmiotu dotyczącej *miejscowej* literatury... Nie zbywa przecież owej epoce i na innym, mniej dodatnim objawie. Pominąć go zaś nie wolno, bo przecież nieuniknionym obowiązkiem naszym zbierać i przechowywać od pamięci choćby najmniejszej wartości drabiazgi z owej tyle dla literatury niekorzystnej chwili w Poznańskim. Znajdujemy się w epoce z roku 1814 na 1815, w epoce nadziei zwróconych ku osobie Cesarza Aleksandra. Rzeczą naturalną, że ich echo, że odgłos podobnych usposobień pojawia się i w kolumnach jedynego czasopisma, jakie wówczas Poznańskie posiada, w *Gazecie Poznańskiej*. Na gruncie podobnym wyrasta też równocześnie tragiczno-komiczny pojaw, pięcio-aktowa tragedia *Piotr Wielki*, istny dziwoląg dramatyczny, obierający sobie za przedmiot znany zatarg Piotra z jego nieszczęsnym synem Aleksym, wraz z dążnością rehabilitacyjną ojca za zabójstwo popełnione na synie. Trupów przynajmniej tyle co w Hamlecie, ale na tem kończy się też całe podobieństwo autora, poczciwego zkądną profesora P. Tomasza Szumskiego z Szekspirem, królewicza duńskiego z Carewiczem rosyjskim. Autor, który naturalnie przedstawienia swego utworu na scenie doczekać się nie mógł, wynagrodził sam sobie podobne niepowodzenie i zawód, spiesząc na spotkanie wracającego z Berlina do Warszawy Cesarza Aleksandra i ofiarując mu w miasteczku Pile po łaskawie zyskanej audyencji swego w safian i złote brzegi przyozdobionego *Piotra Wielkiego*. Cesarz Aleksander wynagrodził podobno dobre chęci autora złotym pierścieniem; co zrobił z dziełem, mileżą ówczesne kroniki.

Doszliliśmy w naszym opowiadaniu do pamiętnej daty roku 1815. Uważamy za rzecz konieczną dla zrozumiałości traktowanego przez nas przedmiotu, skreślić choć w kilku słowach dzieje metamorfozy, jaka wtedy dla Poznania i Poznańskiego z wyroku traktatów europejskich nastąpiła. Jak wiadomo, oddawały traktaty wiedeńskie Poznań i Poznańskie pod nazwą nowo-utworzonego W. Księstwa Poznańskiego, w wieczyste i dziedziczne posiadanie królowi Fryderykowi Wilhelmowi III i jego następcom. Stało się to jednakże pod pewnymi warunkami i zastrzeżeniami, których dawniejsze okupacje trzech pierwszych podziałów nie zawierały. Nowe W. Księstwo Poznańskie miało, według intencji zgromadzonych na kongresie wiedeńskim monarchów i mężów stanu, tworzyć rodzaj państwa w państwie, rodzaj organizmu, jakim wobec Rosyi było sąsiednie Królestwo Polskie, z orłem białym w łonie czarnego pruskiego, jako herbem, z językiem polskim jako współurzędowym, z osobną zdawkową, nawet monetą, z osobnym, co więcej jeszcze, korpusem armii polskim, którego naczelne dowództwo nowy rząd przeznaczał generałowi Amilkarowi Kosińskiemu... Patent okupacyjny króla pruskiego Fryderyka Wilhelma III z d. 15 Maja r. 1815, poprzedzający na dni dziewięć wkroczenie wojsk pruskich w granice W. Księstwa Poznańskiego przyrzekał Polakom nowo-nabytego kraju wszystkie owe narodowe instytucje wraz „z pośród was narodzonym namiestnikiem.“ Wybór osoby namiestnika padł na księcia Antoniego Radziwiłła, ożenionego z księżniczką Ludwiką pruską, mającego w podwójnym swym charakterze Polaka rodem, powinowatego domu panującego w Prusach z drugiej strony, łączyć potrzeby rządu z życzeniami i uczuciami mieszkańców. Rola trudna i przykra, z której jednakże przyszłemu księciu-namiestnikowi dość szczęśliwie wywiązać się powiodło, dzięki przedewszystkiem rozumowi, taktowi i poczciwemu sercu małżonki. Księżna-namiestnikowa, choć rodem Niemka, zespoliła się z uczuciami mieszkańców kraju a nadewszystko już po opuszczeniu Poznania w r. 1831 była prawdziwą ich Opatrznością, wśród prześladowań

Mikołajowych. Zresztą myliłby się kto by przypuszczał, iż jedynie tylko fakt pokrewieństwa z domem pruskim namaszczał ks. Antoniego Radziwiłła na jego namiestnicze stanowisko. Dawniej już i poprzednio, ile razy wśród niepewności i wahań owego czasu wychodziła na jaw jaka kombinacya prusko-polska, wychylało się równocześnie czy równoległe z nią, jak nas przekonywają świeżo co dopiero wyszłe *Pamiętniki Hardenberga*, nazwisko księcia Antoniego Radziwiłła. Wśród zawikłań wojenno-dyplomatycznych z r. 1805 na 1806, pojawia się kombinacya utworzenia osobnej pruskiej Polski z jego namiestnictwem. Po Jenie już, by zrównoważyć wpływ Napoleona, pojawia się inna kombinacya, utworzenia osobnego kurpusu polskiego, pod dowództwem ks. Radziwiłła, wraz z osobnemi ustępstwami narodowego znaczenia dla mieszkańców Prus Południowych. W r. 1813 używają cesarz Aleksander i król pruski ks. Antoniego Radziwiłła do drażliwej misyi dyplomatycznej, która się o mało fatalnie dlań nie skończyła. Jak wiadomo, cofnął się po kampanii roku 1812 ks. Józef Poniąkowski z niedobitkami wojska polskiego do Krakowa, czekając obrętu rzeczy i rozkazów Napoleona. Niepewna siebie jeszcze prusko-rossyjska koalicya postanowiła spróbować, czyby jej się Polaków nie udało przeciągnąć na swą stronę. W tym celu wyprawila do Krakowa ks. Antoniego Radziwiłła z pewnemi ofiarami i propozycjami dla ks. Józefa. Misya nie powiodła się. Ks. Józef pamiętny swego godła: „*Bóg mi powierzył honor Polaków, Jemu jednemu go oddam*,” czy to w Krakowie, czy w ostatnich chwilach pod Lipskiem, odrzucił bez namysłu pokusy koalicji, samego zaś kusiciela przyaresztować i do granicy pruskiej odstawić kazał. . . . Otóż tę osobistość, dobroduszną i poczciwą z kądiną, choć nie obdarzona bynajmniej jakimś świetnemi przymiotami umysłu i charakteru, której się dostało namiestnictwo królewskie w nowo-utworzonym W. Księstwie Poznańskim. . . . A teraz, podobnie jak chwile pierwszej inwazyi pruskiej w r. 1793, niechaj nam będzie wolno skreślić w kilku słowach przebieg drugiej tejże inwazyi w r. 1815. Tuż po

wydania patentu okupacyjnego króla pruskiego. przekroczył d. 24 Maja r. 1815 generał Thümen granice W. Księstwa Poznańskiego, mając przy swym boku jako naczelnego prezesa, rzeczywistego reprezentanta władzy cywilnej, znanego już nam z czasów Prus Południowych Zerboniego di Sposetti. Dnia 28 Maja 1815 rano weszły pierwsze oddziały wojska pruskiego do Poznania, przyjmowane uroczystie przez dotychczasowego rossyjskiego gubernatora kraju i miasta generała Łańskoja i adjutantów jego, pułkowników Nikowlewa i Timiriaszewa. Oficjalne sprawozdania opowiadają o radości mieszkańców miasta Poznania z powodu „szczęśliwej odmiany.“ Nawet nieoceniony profesor Szumski pospieszył uczcić tę chwilę jakąś kulawą odą na cześć Radziwiłłów. Nam wiadomo przeciwnie, z tradycyi, że dzień ten był dniem smutku dla Poznania a że w eichości i wnętrzu domów polskich rzewne łzy płynęły. Uznając objawy podobnego, choć bezpłodnego żalu, czyż przepomnieć w naszym szkicu, mającym być obrazem literatury i umysłowego życia Poznania i Poznańskiego, ślady *przeciwnego* niestety usposobienia, ślady wychodzące ze strony świecznikowych osobistości, którym należało, co najmniej, stanąć na uboczu wśród podobnych okoliczności? Spelnijmy ten bolesny obowiązek historycznej prawdy. W roku 1806 byli mistrzami ceremonii przyjęcia Napoleona czy to u granic dawnej Polski w Międzyrzeczu, czy w Poznaniu samym, między innymi senator wojewoda Wybicki i senator wojewoda Działyński; prefektem poznańskim był podczas rządów Księstwa Warszawskiego Poniński. Czyż wypadła introduktorom Napoleona i reprezentantom władzy Księstwa Warszawskiego, figurować w obrzędzie instalacji rządu *pruskiego*, wychodzić na introduktorów królewsko-pruskich komisarzy, „Imci panów generała-porucznika v. Thümen i naczelnego prezesa Zerboniego di Sposetti“? Do zrozumienia tej prostej prawdy nie trzeba przecież było wychowanych w szkole nieszczęścia i obdarzonych drażliwością uczucia narodowego Polaków. Nawet poliglotyczni i różnonarodowi urzędnicy austriacy uważali za rzecz *takty* powstrzymać się od udziału w uroczystości wyprawionej w r.

1809 przez ks. Józefa Poniatowskiego po zajęciu Lublina. Inne widowisko, niestety, przedstawiają w niewątpliwiej sprzeczności z uczuciami ogółu wspomnieni co dopiero poznańscy dygnitarze. Dnia 8 Czerwca 1815 r. odbyła się w Poznaniu wśród bicia z dział, odgłosu dzwonów, uroczystych nabożeństw odprawianych w kościele farnym przez biskupa Górzeńskiego i księdza Przyłuskiego, późniejszego arcybiskupa, smutna ceremonia zdejmowania z gmachów publicznych orłów polskich, zawieszania pruskich. Na ratuszu, na gmachu sądowym, na poczeie zdejmowano orły polskie, przeznaczone iść w rupiecie, by wśród salw artylerji i prezentowania broni przybijać nowe pruskie. Naturalną w tego rodzaju ceremonii była obecność i rola pp. Thümena i Zerboniego di Sposetti; ale jakże bolesny i upokorzący dla godności ludzkiej i narodowej jest w niej udział wojewody Wybickiego, wojewody Działyńskiego, szambelana Jana Potworowskiego, prefekta Ponińskiego towarzyszących procesji zawieszania orłów, „*oprowadzających*,” jak powiada oficjalne sprawozdanie, komisarzy pruskich! Dodajmy jeszcze dla uzupełnienia szczegółów tej uroczystości, że wśród wyprawionej następnie świetnej uczty, zaszczyt wzniesienia pierwszego toastu na cześć „Imci króla Pruskiego, W. księcia Poznańskiego“, dostał się również senatorowi wojewodzie Wybickiemu... Charakterystyczny dowód moralnych niepewności, wątpliwości, przemian, miotających choćby najwybitniejszymi owęj epoki postaciami... Nowy rząd tymczasem jakżeż uderzająco przypomina owego „dobrodusznego, siwowłosego Möllendorfa“ z chwili pierwszej okupacji pruskiej Poznania w roku 1793! Odezwy pp. Thümena i Zerboniego di Sposetti techną, nibyto samą, tylko życzliwością i względnością dla mieszkańców nowego W. Księztwa Poznańskiego. Nie zbywa jednakże na dowodzie *istotnych* nowego panowania intencji. Jestto, nie zapominajmy, epoka stu dni Napoleona, chwila właśnie rozpoczynających się jego czterodniowych zapasów w Belgii a wiadomość o katastrofie pod Waterloo nie miała jeszcze czasu nadejść. Pod dniem 21 Czerwca wydają obaj komisarze pruscy z Poznania

odezwę grożącą karą śmierci każdemu mieszkańcowi kraju, któremu by dowiedziano czyn zbrodni znoszenia się z Francją.... Z chwili przejścia od Księstwa Warszawskiego do W. Księstwa Poznańskiego pozostaje nam jeszcze kronikarski obowiązek zapisania daty d. 3 Sierpnia 1815 r. Jestto dzień przybycia w mury miasta Poznania ks. Antoniego Radziwiłła i uroczystości homagiinalnej na rzecz nowego rządu, zainaugurowanej mową namiestnika. Odtąd znajduje się nowy stan rzeczy zainstalowanym w Poznaniu i w Poznańskiem a pozostałoby tylko w interesie naszego przedmiotu skreślić w kilku słowach jego moralno-umysłowo-polityczną charakterystykę jako konieczny i nieunikniony wstęp do obrazu literatury, która z podobnej gleby wyrasta. Rozpoczynając rzecz od rządu, oddajmy przedewszystkiem sprawiedliwość namiestnikowi, który stara się szczerze i uczciwie godzić stanowisko urzędowe z uczuciami polskimi tak własnymi, jak krajowej ludności. Pamięć piętnastoletniego przeszło pobytu księstwa Radziwiłłów w Poznaniu pozostanie dla nich wdzięczną. Utrzymywali życie polskie, przedstawiali wyłącznie niemal ze społeczeństwem polskiem, odznaczali się dobroczynnością, opiekowali się szkołami, teatrem polskim, w którym mieli znaną jeszcze w długie lata po swem ustąpieniu z Poznania pod nazwą *książęcej* osobną lożę. Egzystencya Księcia Namiestnika, nie bez wartości dla kraju, jako symbol jego odrębności w składzie monarchii pruskiej, nie bez znaczenia pod względem społecznych i towarzyskich stosunków, pozostawała przecież w gruncie rzeczy bez wpływu nie mniej na bieg polityki rządowej z jednej, jak na usposobienie i dążności mieszkańców kraju z drugiej strony. Centralny rząd berliński uważał *namiestnika* za chwilowe ustępstwo rzucone pewnemu uczuciu sprawiedliwości, objawiającemu się na rzecz polską ze strony reprezentantów mocarstw europejskich na kongresie wiedeńskim; uważał go nadto jako konieczną dla uczuć i wołań narodowości polskiej. Brać go jednakże na seryo, nie powstało mu w myśli. *Namiestnik* był instytucją, reprezentacyi zewnętrznej, figurantem, ale właści-

wój i rzeczywistej władzy nie miał, tak, jak jój nie mieli pousuwani wkrótce wyżsi urzędnicy polscy poprzydawani do różnych dykasteryi. Między innymi dość wspomnieć funkcjonującego w charakterze prezesa przy sądzie apellacyjnym poznańskim polskiego obywatela Mikorskiego. Rzeczywista władza pozostawała w Berlinie, wykonawcami jój na miejscu byli generalowie Thümen, później Röder lub naczelni prezesowie Zerboni de Sposetti, później Baumann, kłaniający się może bardzo uniżenie księciu namiestnikowi, czującymi zaszczyt jego obiadów i herbat, ale nie pozostawiający mu istotnie niczego z *rzeczywistości* władzy. Władza ta, z początku przynajmniej, jakkolwiek daleko od spełnienia *całości* politycznego programu, objętego traktatami wiedeńskimi, nie prześladowała *narodowości* polskiej a politycznie, ekonomicznie i społecznie wprowadziła reformy godne wszelkiego uznania. Do takich zaliczmy reprezentacyą stanów prowincjonalnych z r. 1823, utworzenie Towarzystwa Ziemstwa kredytowego w r. 1821, prawo z r. 1823 uwłaszczające włościan a spełniające w ten sposób dzieło zapowiedziane i przygotowane przez ustawę z 3go Maja i prawodawstwo Księstwa Warszawskiego. W dziedzinie ściśle *politycznej* za to okazywał się nowy rząd czujnym, troskliwym, może nawet prześladowczym wobec różnych objawów miejscowej ludności. Dowodem tego szkoły poznańskie. Starodawne gimnazjum poznańskie, zasobne w ogromną liczbę samych naturalnie tylko *polakich* uczniów, zostające naówczas pod rektoratem zacnego Niemca Kaulfussa, autora pełnego uczciwości i nauki dziełka o przymiotach języka polskiego, liczyło naówczas pomiędzy profesorami swymi wiele osobistości, które zasłużyły na wdzięczną pamięć swych dzisiaj także już, jeśli żyjących, to sędziwych uczniów, z których ci i owi zajęli znakomite stanowiska bądź to w dziedzinie naukowej polskiej, bądź zasłużyli się w życiu publicznem. Takim to był między rokiem 1815 a 1831 główny zakład naukowy, jakim się Poznańskie szczyliło a jaki w gronie swych nauczycieli posiadał między innymi znakomitego gramatyka i lingwistę.

polskiego Królikowskiego, Józefa Muczkowskiego, później bibliotekarza uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie; uczonego filologa, później również profesora uniwersytetu Jagiellońskiego, Trojańskiego, wreszcie zasłużeńszego może i gorliwszego w życiu obywatelskiem, niż na polu nauki, zacnego kalwińskiego teologa, zażyłego z domem Radziwiłłów, Jana Cassinsa... Uczniowie Polacy znają swych nauczycieli Polaków. Z powodu jakiejś uroczystości, czy to narodowej, czy rodzinnej, ofiarowali Muczkowskiemu, Trojańskiemu i Cassinsowi pierścienie z wizerunkami Napoleona, Kościuszki i Poniatowskiego. Fakt podobnej owacyi stał się wiadomym; interwencya księcia-namiestnika okazała się daremną. Muczkowski, autor świeżo wówczas co dopiero wydanej, po szkołach poznańskich zaprowadzonej *Gramatyki Polskiej* (w Poznaniu 1825 r.) został usunięty i przeniósł się do Krakowa; za nim poszedł Trojański; Cassius znalazł stanowisko istnego *Vicar of Wakefeld* na uboczu wiejskiem tuż nad granicą brandenburską... Ważną naturalnie w ocenieniu stanu moralno-umysłowego owej epoki pozostanie kwestya usposobienia, prądów i dążeń ówczesnego społeczeństwa. Odpowiedź na to daje współczesny stan sąsiedniego Królestwa Polskiego, daje lepiej jeszcze rzut oka na moralno-polityczny ferment całej współczesnej zachodniej Europy. Jestto, z wyjątkiem jedynych może krajów skandynawskich stan rozbudzonych wojnami napoleońskimi a zawieszonych przez restauracyą nadziei, stan prądów i dążeń zmierzających wejść w życie drogą konspiracyi i wybuchów rewolucyjnych; z jednej strony nurtujących spisków i tajnych stowarzyszeń, z drugiej mniej lub więcej srogiej repressyi. Że w Polsce podobny ferment znajdował gotowy i naturalny żywioł w poczuciu narodowej krzywdy, że tu konspiratorstwo streszczało się nie tyle w programie polityczno-społecznym, ile raczej narodowym; jakie wywołało objawy, rzeczą z dziejów politycznych owej epoki aż nazbyt dobrze wiadomą. W interesie naszego specjalnego zadania wystarczy powiedzieć, że *Romaniska*, reprezentowane wówczas głównie, jeżeli nie jedy-

nie, przez żywioł obywatelstwa wiejskiego, było wiernym odłamem rozerwanego z sobą *politycznie* Królestwa Polskiego. Tak tam, jak tu jedne i te same objawy. Umierający na gruncie Poznańskim w Winnogórze generał Dąbrowski pozostawia swemu otoczeniu jakoby testamentowo błagalne upomnienie podniesienia oręża za ojczyznę przy danej sposobności. Obywatele Poznańskiego generał Umiński i podpułkownik Prądkowski późniejszy kwatermistrz z r. 1831, mają swój udział, swą „*magnam partem*“ w znanej historycznie konspiracyjnej schadzce w lasku Bielańskim d. 3 Maja 1821. Później, w procesie toczącym się przed sądem sejmowym z r. 1828, widzimy w akcie oskarżenia prokuratora Wyczechowskiego, powtarzające się co chwila nazwiska obywateli poznańskich Józefa Krzyżanowskiego, Karola Stablewskiego, zacnych braci Macieja i Seweryna Mielżyńskich, generała Umińskiego. Maciej Mielżyński pokutuje w twierdzy Toruńskiej, generał Umiński w Głogowie, obok niego pułkownik Ludwik Szczaniecki i Seweryn Mielżyński. Otóż to symptomy tego, co wre naówczas na dnie duszy i serca narodowego, nie inaczej w Poznańskim, jak na całym obszarze dawnej Polski. Po tym niuniknionym wstępie, po podobnem rozpatrzeniu się w gruncie i okolicznościach zewnętrznych, nasuwa się dalsze znów w interesie naszego zadania pytanie, jaką podobny grunt, jaką podobne okoliczności wydają na miejscu *literature*? Na to zapytanie wypada nam dać odpowiedź: że owa epoka *par excellence* W. Księstwa Poznańskiego, epoka istnych dwóch nie dających się z sobą organicznie połączyć przeciwieństw, oficjalnej, zapatentowanej przez traktaty wiedeńskie, reprezentowanej przez księcia-namiestnika prusko-polskiej polskośći z jednej, nurtu konspiracyjno-politycznego z drugiej strony, nie wydaje odpowiedniej swemu charakterowi literatury. Składają się na to *dwie* przyczyny: naprzód cenzura, która nie dopuszcza przemówić bez maski i osłony uczuciu narodowemu; następnie pewna nieudolność techniczna. Przeddzień wystąpienia naszych mistrzów słowa nie miał jeszcze, nie odnalazł *formy* dla odpowiedniego

oddania narodowej treści. Nie miał jój Kościuszko, nie miała jój epoka Księztwa Warszawskiego; *literatura* istnieje naówczas dla *literatury*, dla języka i jego poprawności: uczynić język i literaturę formą, szatą i wyrazem narodowych potrzeb i uczuć miało być dopiero zadaniem późniejszej epoki. Zapiszmy przecież z kronikarską wiernością, co jest do zapisania naówczas z dziedziny literatury poznańskiej. A więc wspomnijmy znów egzystencją, nieśmiertelnego organu prowincjonalnego, nazywającego się teraz *Gazetą W. Księstwa Poznańskiego*, istnego magazynu drobnych faktów i szczegółów poznańskich, wielce użytecznego materiału do dziejów owój epoki. Pod względem literackiej wartości, trudno mu przyznać jakiegobądź wyższe znaczenie. Raz po raz tylko pojawi się z powodu rozpalającego się naówczas powstania greckiego w łamach jój jaki entuzjastyczny wiersz bądź to na cześć wymordowanego Chios, bądź to na cześć wylatującej w powietrze Ipsary. Przyznać przecież ku zaszczytowi ówczesnego Poznańskiego należy, iż już w niem nie było gruntu dla jakiej nowej, poprawnej edycji *Pisma Miesięcznego Prus Południowych*, kiedy przeciwnie, nie zbywało na pocziwych usiłowaniach podniesienia miejscowej literatury w narodowym choćby tylko pod względem czystości języka sensie i kierunku. Próby podobne rozpoczynają się z r. 1819 a dla tego właśnie, że zawodzą, niestety jedna po drugiej, że nie znajdują należytego poparcia i powodzenia, niechaj przynajmniej poświadczają, zacne i pocziwe chęci tych, co je podejmowali. Istnieje naówczas w Poznaniu księgarz Munk, któremu zbytniej troskliwości o dobro i rozkwit literatury polskiej w Poznańskiem przypisywać nie będziemy, ale który ma tę zasługę, iż czasopiśmiennictwo polskie uważa za przedmiot godny swego drukarsko-księgarskiego przedsiębiorstwa. Z r. 1819 na 1820 poczyną wydawać w Poznaniu miesięcznemi poszytami tak zwane *Pismo miesięczne*, które skończyło żywot po kilku zaledwie miesiącach trwania, skończyło go zaś z tem większą, według nas szkodą, że jakkolwiek ubogie i niezasobne pod względem literackim, zawierało niektóre cie-

kawe wiadomości z dziedziny miejscowych spraw publicznych, którychby się w *Gazecie Księstwa Poznańskiego* nadaremno szukało. Tak np. znajdujemy między innymi w *Piśmie Miesięcznem* bardzo szczegółowe i zajmujące sprawozdanie z wyprawy późniejszego arcybiskupa księdza Wolickiego i prokuratora Szumana do księcia kanclerza państwa pruskiego Hardenberga w interesie szkół i kościoła w Poznańskim. Przerwa po tem piśmie nie trwała jednakże długo. O ile widzimy, należy się główna zasługa jój wczesnego wypełnienia zacnemu profesorowi gimnazyum Poznańskiego, Królikowskiemu; nakładnictwo bierze na siebie ponownie księgarz Munk. Tak to zaczyna w miesiącu Czerwcu r. 1821 wychodzić pod nominalną redakcją, nakładcy, rzeczywistą profesora Królikowskiego, pod cenzurą radzcy szkolnego Stoephasiusa, miesięcznemi poszytami czasopismo *Mrówka Poznańska*, „ku użytecznej zabawie rozumu i serca.“ *Mrówka* jest, jak na ówczesne okoliczności, pismem redagowanym umiejętnie a nade wszystko uczciwie, z widoczną dążnością zachowania czystości języka, przechowania narodowych pamiątek, utrzymywania swych czytelników w związku z współczesną literaturą polską. Utrudnia mocno możność należytego ocenienia zasługi przypadającej rozmaitym współpracownikom i redaktorom *Mrówki* ich bezimiennosc, z której reguly rzadkie tylko znajdujemy wyjątki. Tak np. pojawiają się w *Mrówce* rozmaite, wytrawne i świadczące o znajomości rzeczy krytyki, rozprawy treści agromicznej; praca historyczna, pełna wartości, pod tytułem *Wjazd Ossolińskiego do Rzymu*, wszystko bez podania nazwiska autorów. Też samo tyczy się licznych poezyi uie stanowiących przecież najświetlejszej strony nowego czasopisma. *Imiennie* występują tu tylko z chęcią zyskania *gradus ad Parnassum* zapomniani dzisiaj zupełnie i nieznani Augustyn Zdżarski, Miniewski, znany później jako historyk Józef Łukaszewicz z niefortunną *Odą do głupstwa*. Drogocenną perłą za to całego zbioru *Mrówki* stanowi znakomita lingwistyczna rozprawa znanego z innych prac gramatycznych prof. Królikowskiego: *O uaq-*

pliwościach względem zasad języka i pisowni polskiej. Jestto rzecz dowodząca głębokiego językoznawstwa autora, którąby i dzisiaj uwadze naszych gramatyków i lingwistów polecić można. Była więc, jak ztąd widzimy, *Mrówka Poznańska*, z pewnością bardzo zacnem, bardzo poparcią godnem, bardzo dobrze nawet, jak na ówczesne okoliczności i szczupłe środki redagowanem czasopismem. Tem większa szkoda, że słaby zapewne udział publiczności nie pozwolił jej trwać długo. W miesiącu Czerwcu 1822 r. oświadcza nakładca Munk, „iż go tymczasowe okoliczności zniewalają do zawieszenia wydawnictwa *Mrówki*.“ Tymczasowe to zawieszenie zamieniło się, jak zwykle w tego rodzaju razach, na stanowczy koniec wydawnictwa. *Mrówka* przestała wychodzić i nie ujrzała już światła dziennego. Los jej nie odstrasza jednakże od podjęcia ponownej próby, choć nieco później, a człowiek i okoliczności, *wśród* których ją podejmuje, zasługują na wzmiankę wdzięcznej pamięci. Żył naówczas w Poznaniu, jak tylu innych, weteran wojsk napoleońskich, kapitan Wincenty Turski, człowiek równie zacny, jak ubogi, którego całem źródłem dochodów była skromna emerytura wypłacana mu na podstawie osobnej stipulacji traktatów wiedeńskich przez rząd pruski... Patriotyczny, szczącący się pewnemi pociągami a może i zdolnościami literackiemi weteran, nie wahał się rzucić całej swej niemal materialnej egzystencji w przedsięwzięcie nowego, szczerze uczuciom i stanowisku przedsiębiorcy odpowiadającego czasopisma. Owocem podobnego poświęcenia i podobnej dążności było rozpoczynające się z d. 1 Stycznia 1825 r. wydawnictwo nowego, miesięcznego czasopisma w Poznaniu, noszącego charakterystyczną nazwę *Weterana*. Przedsięwzięcie kapitana Turskiego, wywołało z razu pewne współczucie w kraju a nadewszystko uznanie odwagi, dobrej woli i ofiarności samegoż nakładcy i redaktora. Dowód tego mamy w rodzaju odezwy „przedniejszych polskich mieszkańców miasta Krotoszyna,“ oświadczających uznanie *Weteranowi* i zbierających składki na jego podtrzymanie. Istotnie zasługiwało też nowe czasopismo

na narodową pomoc. Wydawane miesięcznemi poszytami, w wielkiej ósemce, w formacie nieco większym od *Mrówki*, pod względem typograficznym wcale ozdobnie, jak na owe czasy, było treścią i dążnością bardzo do *Mrówki* podobne, lecz obfitsze i zasobniejsze co do materyału. Gdyby nie cenzura, która naturalnie czuwała nad wszelkiemi, co śmielszemi objawami uczuć polskich, byłoby się z postępem czasu i wprawy redakcyjnej mogło wyrobić z *Weterana* czasopismo ustępujące bardzo niewiele wszelkim późniejszym-naukowo-literackim czasopismom polskim. Co się zaś tyczy dążności, znać było w redakcyi całego pisma, od pierwszej do ostatniej stronnicy, tchnienie prawdziwego *weterana* wojsk napoleońskich, wydobywającego skrzętnie wszelkie wspomnienia o Kościuszcze, zbierającego szczegóły udziału polskiego w kampaniach napoleońskich, mianowicie wyprawie z r. 1812, zdającego troskliwie sprawę z każdego niemal ówczesnego dzieła francuzkiego o wojnach napoleońskich, gniewającego się energicznie we własnej recenzji na Bernarda Potockiego, także Poznańczyka, autora francuzkiego dziełka *Voyage dans une partie de l'Italie*, „jak śmiał, będąc Polakiem, opisywać bez słowa nagany radość mieszkańców Tryestu z powodu upadku Napoleona.“ Pomijając ową patryotyczną, ze strony starego żołnierza napoleońskiego niekiedy może nieco naiwnie objawiającą się tendencją, zasługuje przecież *Weteran* dzięki swej wartości i obfitości i zkądinąd na wszelkie uznanie. Pierwszeństwo trzyma w jego kolumnach *historja*, narodowa naturalnie, choć zagraniczna, mianowicie francuzka z epoki napoleońskiej, także obficie reprezentowana. Do celniejszych prac treści historycznej, zamieszczonych w zeszytach *Weterana* zaliczymy traktat X. Dębołęckiego o *Lissowczykach* czyli *Elearach polskich*, dalej wielce ważną i zajmującą, szkoda tylko że nie doprowadzoną do końca *Wiadomość o drukarniach poznańskich; o Potetach polskich opuszczonych w dykcyonarzu Juszyńskiego*. Znajdujemy prócz tego w dziale historycznym *Weterana* rozprawę pod tytułem *Wiadomości o Kościuszcze*, oryginalny *Opis*

kampanii r. 1812, wreszcie liczne i troskliwie dokonane rozbiory współczesnych dzieł francuzkich, traktujących epokę Napoleona i rewolucyi. *Powieść*, choć słabo i bezimiennie reprezentowana, stanowi również jedną z rubryk „*Weterana*.” W ogóle żałować należy, że z wyjątkiem najsłabszej części pisma, poezyi, o której jeszcze powiemy kilka słów niżej, najlepsze i najcenniejsze rozprawy pojawiają się w zacnym *Weteranie* bezimiennie. Przedmioty treści ekonomicznej i rolniczej, krytyka, wiadomości literackie w dość obfitej mierze, znajdują się tu również. Wspomnieliśmy co dopiero o poezyi. Co się jej tyczy, figuruje, rzecz dziwna, co właśnie z niej najlepszego, przekład *Fedry* Rasyna, *bezimiennie*; za to świecą rozstawionemi czcionkami imiona i nazwiska wszystkich owych Waleryanów Kurowskich, Janów Nepomucenów Kurcewskich, Józefów Łukaszeviczów pod wierszykami treści erotycznej, pod odami *Do grodzkiego piwa*, *Do złota* lub nawet *Do jarmarku poznańskiego* z roku 1823. Niechaj nie dziwi szanownych czytelników naszych w poczcie tych niefortunnych, nieznanych, wkrótce potem najdoskonalej zapomnianych poetów poznańskich, nazwisko Józefa Łukaszevicza. Jako doświadczający wówczas w *Mrówkach* i *Weteranach* sił swoich poeta nie jest on ani na włos wyższym od otaczającej go plejady Pigmejów a gdyby nie był przeszedł zawczasu na inną dziedzinę literacką, byłby popadł w zasłużone zapomnienie nie inaczej od swych parnasowych współzawodników. I to przecież z drugiej strony prawdą, że skoro się rozpatrzymy w nieuniknionej poezyi różnych dzisiajszych czasopism warszawskich czy lwowskich, nastaje mimowolnie obowiązek uczciwej pobłażliwości dla poetów *Mrówki*, *Weterana* a może nawet i *Gazety W. Księstwa Poznańskiego*. Jakimkolwiek „*Weteran*” był tedy, miał podwójną, uznania godną zasługę, pierwszą; że *istniał* wśród trudnych okoliczności wogóle; drugą, że jak na środki i zasoby redakcyjne *istniał* wcale nie źle i był na prawdę pismem użytecznem. Na nieszczęście przecież był udział ówczesnej społeczności poznańskiej dość słabym, emerytura zacnego Tur-

skiego zbyt ubogą, aby mógł istnienie pisma podtrzymać. Po roku trwania urywa się znów i wydawnictwo *Weterana* a od roku 1826 r. pozostaje Poznańskiemu cieszyć się znów posiadaniem jedynej tylko *Gazety W. Księstwa Poznańskiego*. Sięgając w niniejszym okresie naszego opowiadania aż do tyle ważnej epoki daty roku 1831, wypadłoby nam zapytać, jak wobec podobnego, nie bogactwa naturalnie, ale prób przynajmniej czasopiśmiennictwa, przedstawia się w Poznańskim literaturze książkowa. Odpowiedź na to bardzo krótka i bardzo mało zarazem pocieszająca. Otoż, ta część literatury poznańskiej przedstawia, obok równoczesnego rozkwitu piśmiennictwa w Królestwie Polskim, stan smutnego ubóstwa. *Gramatyka Polska* Muczkowskiego, rozprawy treści gramatycznej profesora Królikowskiego, kilkotomowe *Zabawki Literackie*, rodzaj nieperiodycznego, beletrystycznego czasopisma dla młodego wieku, kilka książek szkolnych, otóż i wszystko, co by się na tem polu zebrać i zapisać dało... Niechaj jednakże fakt następny będzie miarą interesu publiczności dla tego, co zdołało, pomijając już choćby nawet stronę estetycznej wartości, przemówić do *duszy i serc* narodowych, co podstuchawszy tajników narodowego tętna, umiało wejść z duchową istotą narodu w sympatyczny, nierozzerwalny związek. Jestto, nie zapominajmy, epoka pierwszego wystąpienia Mickiewicza, z ogromnym moralnej, politycznej, literackiej doniosłości wpływem na całą Polskę.

Nie innym było wrażenie i wpływ jego w Poznańskiem a najlepszą tego miarą jest zapal, z jaką publiczność poznańska przyjmuje prenumeratowe wydawnictwo wszystkich utworów narodowego poety w pięciu tomikach, z *Poznaniem*, jako miejscem nakładu (r. 1828 i 1829). Otóż to książkowe wydawnictwa poznańskie owej epoki. Są też wreszcie ostatnie lata owej zbliżającej się do swego kresu epoki pierwszą datą wystąpienia na pole naukowo-literackie, zasłużonego później więcej jeszcze swą obywatelską działalnością, swą dobroczynną na polu nauki czynnością, Edwarda hr. Raczyńskiego. Z epoki

tej datują się wydane r. 1823 przezeń *Listy króla Jana III do żony* podczas wyprawy wiedeńskiej, nadewszystko zaś wspinała się jak na owe czasy, illustrowane wydawnictwo jego *Podróż do Turcji*. Ważniejszym jednakże i dobroczynniejszym od tych pierwszych początków naukowej działalności dla oświaty narodowej w Poznańskiem, jest fakt założenia przezeń w roku 1829 *Biblioteki Raczyńskich* w Poznaniu; fakt powtarzamy, zbawiennej i dobroczynnej dla Poznańskiego doniosłości, jakkolwiek akt erekcyjny mylił się mocno w przypuszczeniu, że stosunki poznańskie pozostaną takimi, jakimi były w roku 1829 i oddawał kuratoryą Zakładu bibliotecznego w ręce nie istniejącego dzisiaj namiestnika królewskiego w W. Księstwie Poznańskiem, naczelnego prezesa, nadburmistrza miasta Poznania, marszałka Sejmu prowincjonalnego poznańskiego. Dzisiaj wszystkie te dygnitarstwa usunęły się z rąk naszych a naczelną zarząd biblioteczną w rękę żywiołów nie odpowiadających może ani woli, ani intencji założyciela. Nie wiemy przecież jego, pełnego najlepszych chęci, choć może zbyt optymistycznie zapatrującego się na przyszłość a zapiszmy fakt jego wystąpienia jako ostatni, uwagi i wzmianki godny pojaw w kronice naukowo-literackiej Poznania i Poznańskiego z przed roku 1830.

III.

Dobiegliśmy w naszym opowiadaniu tyle pamiętnój dla Polski daty roku 1830. Wrażenie nocy listopadowej było w Poznańskiem donioślejsze może jeszcze, aniżeli w samem Królestwie Polskiem, aniżeli na bezpośredniej widowni wypadków. Cała młodzież a nietylko sama młodzież Poznańskiego stawiała się na plac boju. Ludzie starsi, wojskowi epoki

napoleońskiej, rzucał domy i rodziny, by poszukać choćby najskromniejszego stanowiska w szeregach narodowych. Znane dzieje szwadronu poznańskiego, znana jego szarża pod Rajgrodem, równoważąca jeźli nie przewyższająca Somosierską. Zwróćmy się do następstw ówczesnego wstrząśnienia i ówczesnej katastrofy na ruch umysłowy i literacki naszego Poznańskiego zakątka. Zaczniemy przedewszystkiem od owych bezpośrednich, zewnętrznych, politycznej doniosłości skutków, jakie tuż po wypadkach roku 1831 spotykamy na widowni W. Księztwa Poznańskiego. Książę-namiestnik Antoni Radziwiłł został usunięty i odwołany do Berlina już w miesiącu Lutym r. 1831, tuż po bitwie Grochowskiej. Rząd pruski nie uważał za rzecz możliwą pozostawić na namiestniczym stanowisku w W. Księstwie Poznańskim jednego Radziwiłła, kiedy drugi, rodzony brat jego, jest choćby tylko tytularnym naczelnikiem narodowej armii w Królestwie Polskiem. Sukcesyją władzy, jeźli miał jakakolwiek, po Radziwiłł, objął zamianowany również w roku 1831 naczelnym prezesem W. Księztwa Poznańskiego Flottwell, urzędnik administracyjny równie sumienny, energiczny i sprężysty, jak bezwzględny germanizator i nieprzyjaciel żywiołu polskiego w Poznańskim. Najdowodniejsze świadectwo, niespożyty pod tym względem pomnik zbudował sam sobie w wydany później w r. 1840 *Memoryale* o swęj dziewięcioletniej działalności w W. Księstwie Poznańskim. Rozpoczęło się prześladowanie pieniężne i więzienne osób skompromitowanych udziałem w powstaniu; ucierpiał niemniej narodowy samorząd, jakiego cień traktaty wiedeńskie pod panowaniem pruskiem W. Księstwu Poznańskiemu pozostawiły. W r. 1833, w skutek wyprawy emisaryuszów, odebrano Poznańskiemu prawo wyboru tak zwanych landratów i zaprowadzono instytucją dystryktowych komisarzy na prowincyi. Reskryptami z r. 1832 i 1834, rozporządzeniami ministerstwa oświecenia, ograniczono prawa języka polskiego w sądownictwie, administracyi i w szkołach. Podjęto bez maski i osłony system bezwzględnej germanizacyi. Tak np. asygnował rozkaz

gabinetowy z dnia 13 Marca 1833 r. naczelnemu prezesowi W. Księstwa Poznańskiego milion talarów na wykupywanie dóbr polskich zagrożonych subhastacją, by je następnie parcelować i sprzedawać niemieckim nabywcom... Otóż zewnętrzne bezpośrednie następstwa politycznej natury, dotyczące Poznańskie w skutek wypadków roku 1831... Inaczej przedstawia się rzecz, skoro się przypatrzymy wpływowi i wrażeniu owęj wielkiej, choć smutnej w dziejach narodowych daty, na stan umysłowy i moralny poznańskiej społeczności. Nie inny ten wpływ *tutaj*, jak na *całą* narodowość i społeczność polską. Powstanie r. 1831 ma dla Polski, pod względem *duchowym* przynajmniej znaczenie burzy wstrząsającej do głębi cały organizm, zmiatającej wierzchnią skorupę martwoty i nieużywalności, wydobywającej na wierzch żyzną glebę, wszelkie wewnętrzne skarby charakteru, umysłu i twórczości narodowej. Któżby nie bolał nad strasznym uciskiem kraju po przytłumieniu powstania, któżby chciał zaprzeczyć jego politycznym i materialnym szkodom. Z drugiej strony jednakże, któż również zaprzeczy faktowi bujnego nagle rozkwitu całej *duchowej* istoty narodu po tych wypadkach i w skutek nich; któż zaprzeczy, iż *duch* narodu polskiego objawił się w skutek wypadków roku 1831, w pełni swęj siły, że zajaśniał światłem, jak nigdy dotąd od chwili utraty politycznego bytu. Nie sięgając po dalsze dowody, wskażmy dziedzinę literatury polskiej i jęj rozkwit po roku 1831... Poznańskie jest pod tym względem nieodrodną w niczem, solidarną częścią całego obszaru, całej narodowej społeczności polskiej. Jakże ożywiony obraz przedstawia w owych pierwszych tygodniach, miesiącach, latach po upadku powstania listopadowego społeczność poznańska! Niema domu któryby nie gościł rozbitków minionęj co dopiero burzy; wszystko wre i żyje świeżem wspomnieniem narodowej walki, nieutulonym bólem jej niepowodzenia, nadzieją, możności powetowania tego, co się tak niefortunnie z rąk wypuściło a co zyskać było się tak bliskimi. Ów ból i żal w przymierzu z nadzieją i miłością, Ojczyzny, wyradzają naturalnie dwa objawy:

energiczny krytycyzm kierownictwa powstania z r. 1831 z jednej, konspiracją i konspiracyjność z drugiej strony. Rzeczą w dalszym następstwie niemniej naturalną, iż podobna gleba *krajowa* jest gruntem gotowym do przyjęcia siejby wpływu *emigracyjnego*. Prądy, stosunki, namiętności, jakie się podówczas pośród emigracji polskiej wyrabiają, są bardzo naturalnym polityczno-psychologicznym, we wszystkich epokach dziejów, we wszystkich społeczeństwach wśród podobnych okoliczności wier- nie powtarzającym się pojawem. *Vae victis*, biada niepowodzeniu nietylko wobec *zewnątrznego* nieprzyjaciela, ale wię- ciej może jeszcze wobec własnego społeczeństwa. Częściej jeszcze nieprzyjaciel potrafi być sprawiedliwym dla zwyciężo- nych, aniżeli być niemi umięją nawzajem względem siebie stronnictwa jednego i tego samego narodu. Partya, rząd, sy- stem, którzy podjąwszy jakiebądź trudne zadanie czy to we- wnętrznęj reformy, czy zewnątrznęj walki, nie zdołali przedsię- wzięcia swego uświęcić sukcesem, niechaj nie liczą na przeba- czliwość żywiółów przeciwnych *własnego* nadewszystko społeczeń- stwa. Ogólna ta, dziejowo-psychologiczna prawda znajduje widoczne, choć niezupełnie świadome może siebie zastosowanie w Polsce po upadku powstania r. 1831. Kierownictwo niefor- tunnie zakończonego dzieła znajdowało się w ręku żywiółów *zachowawczych*. Czy to władza powstania cywilna, czy woj- skowa wskazuje bez wyjątku prawie imiona zapisane dobrze i głośno, jeżeli nie w rodowodach arystokracji, to przynajmniej w tradycjach i przekonaniach zachowawczości polskiej. Inicya- torowie ruchu abdykowali skromnie i abnegacyjnie na rzecz *ich* władzy i kierownictwa, skryli się bądź to karnie i ofiarnie w szeregi wojska, bądź rozprawiali i intrygowali nieszkodliwie a przynajmniej bez wpływu na bruku warszawskim. Konser- watyzm mógł i miał sposobność, by się wyrazić popolicie, *pokazania swej sztuki*. Tymczasem przegrał sprawę nietylko na polu bitwy, ale i na polu dyplomatycznym, które uważał za swą uprzywilejowaną specjalność. Naturalna ztąd przeciw niemu reakcyja, naturalne rekryminacye ze strony nawet takich

ludzi i takich nawet żywiółów, które się w upadku powstania winą z nim niewątpliwie dzielą; naturalna też ztąd ruchliwość i naturalny wpływ na kraj demokratycznych i rewolucyjnych elementów emigracji. Kiedy w pierwszych latach emigracji książę Czartoryski, Niemcewicz i ich współwyznawcy polityczni pukają niewątpliwie w jak najlepszej intencji, ale upokorzająco równie, jak bezużytecznie do drzwi Talleyrandów i Palmerstonów, rozpoczyna się nie mniej przez emisaryuszów, jak drogą prassy, propaganda na społeczność krajową ruchliwszych pierwiastków emigracji, przedewszystkiem jednakże Towarzystwa demokratycznego. Propaganda podobna zyskuje sobie racją, wobec większości ówczesnej opinii krajowej, bo w gruncie rzeczy streszcza swą działalność do krytyki „tego i tych co przegrali.“ Gdy z jednej strony emisaryusze r. 1833 czynią sobie z Poznańskiego, podobnie jak równocześnie z Galicyi ostatnią, jakokolwiek bezpieczną etapę pochodu do Królestwa, poczyną rozmaitemi, tajnymi, niedostrzeżonemi dla oka rządowego drogami zalewać domy obywatelstwa poznańskiego istna powódź pism, broszur, książek i książeczek emigracyjnych. Nie zapominajmy zaś, że jeżeli pośród owój literatury były plewy, że jeżeli się pojawiają pośród niej *Pszonki* choćby nawet ze współpracownictwem prawdziwie utalentowanych pisarzy, jak np. Siemieńskiego, że jeżeli czasopismo *Demokrata Polski*, obok wielu rozsądnie i wytrawnie napisanych rzeczy, zawierałobardzo wiele częściej deklamacyi; że jeżeli broszurowa literatura emigracji była pełna gorszących i skandalicznych sporów, to przecież taż sama literatura i to różnych stronnictw szczyści się prawdziwemi perłami i pomnikowemi utworami polskiej myśli i polskiego ducha. Przypomnijmy sobie, że dwa tomy *Historji Powstania* Maurycego Mochnackiego, że czwarta część Mickiewiczowych *Dziadów*, że *Pan Tadeusz*, że utwory Słowackiego, że *Irydion* i *Nieboska Komedya*, że *Wacława Dzieje*, by nie wspominać innych, że wszystko to razem należy do ówczesnej „literatury emigracyjnej“ a że będąc najwierniejszym wyrazem narodowego ducha i najwspaniał-

szym razem pomnikiem jego estetycznej twórczości, ma wszelkie *prawo* wpływu na narodową społeczność. Emigracja i emigracyjna literatura stanowią przy ponurym ucisku ciążącym nad krajem, jego kanał oddechowy, jego związek z życiem, wyraz jego myśli, dążeń i uczuć. W Poznańskim wpływ emigracyjny widoczniejszy może i wyraźniejszy z naturalnych powodów, aniżeli w reszcie Polski. Rząd pruski praktykował wprawdzie tutaj tendencją germanizacyjną, uważał się politycznie za nierozwalne ogniwo koalicji mocarstw świętego przymierza, ale przyznać należy, iż i wtedy nawet okazywał się mniej prześladowczym względem osób i płaodów zakazanej literatury. Emisaryusz schwytyany naówczas w Królestwie i Litwie, unikał rzadko szubienicy lub kuli, w Galicyi spotykała go kara Kufsteinu lub Spielbergu. Pochwycenie emigracyjnego pisma pod panowaniem rosyjskiem opłacało się Sybirem i cytafellą; w Galicyi pokutowało się naówczas za podobne grzechy w kryminale lwowskim. Inaczej w Poznańskim. Emisaryusz schwytyany tutaj, *jeżeli* go się czasem schwytać udało, znikał zawsze jakoś szczęśliwie, prędzej czy później, by jak zakazany towar być „przeszwarcowanym“ na ziemię pobliskiej, neutralnej Saksonii. Zakazana książka, broszura emigracyjna, znaleziona w domu obywatelskim przy rewizyi, tonęła wprawdzie bezpowrotnie w biurach policyjnych czy regencyjnych, ale ostatecznie nie ściągała na właściciela zbyt wielkich nieprzyjemności. Wpływ emigracyjny znajdował tu nie mniej gotowe, jak wdzięczne pole. Zapytałby teraz w interesie zajmującego nas przedmiotu należało, o ile wpływ ów emigracji, o ile wywołany nim niewątpliwie ferment udzielił się życiu umysłowemu i literaturze w Poznańskim? W pierwszych latach po wypadkach roku 1831 nie widać go; szuka sobie dopiero dróg i środków, objawia się raczej w życiu, raczej w konspiracyi, której ofiarami padają naówczas między innymi Ludwik i Eugeniusz Sczanieccy, Pantaleon Szuman, tyle zaszczytnie znany później w życiu publicznem i literaturze Karol

Libelt, księżyca Wieruszowski i Bażyński, anizeli w miejscowej literaturze. Zbyt wielka przepaść między uczuciami i dążeniami narodowymi a okolicznościami zewnętrznymi, aby pod okiem administracji p. Flottwella, aby pod panującą wówczas w Prussach cenzurą myśl narodowa w całej swjej bezpośredniości, jak ją ogół pod wrażeniem zwłaszcza świeżych jeszcze wypadków roku 1831 czuł i wyznawał, była się mogła odezwać. Poniższe opowiadanie przekona nas, że później nieco myśl owa choćby nawet pod rządem pruskim i pod cenzurą pruską, zdołała znaleźć sobie upływ i wyraz w Poznańskim. Pierwsze lata po roku 1831 nie przedstawiają przecież tego widowiska. Za to znaczy data roku 1834 w Poznańskim początek literackiego ruchu, który nie reprezentując, nie mogąc ze wskazanych co dopiero powodów reprezentować *całej* wewnętrznej prawdy narodowych uczuć i narodowych dążeń, zasługuje przecież nie mniej na uznanie i uwagę; prócz tego zaś, co najważniejsza, jest jakoby gruntem i podstawą, z których się wyradza z postępem czasu bujny rozkwit i rozrost literatury poznańskiej około i po roku 1840. *Ta* okoliczność właśnie i *ten* wzgląd nakazują nam uważać wspomniany co dopiero rok 1834 jako pamiętną datę nowj epoki literatury poznańskiej w ciągu pierwszej połowy bieżącego stulecia. Nie dość zaś na tem, przybiera odtąd ruch literacko-naukowy w Poznańskim tak obszerny rozmiary, że niepodobna nam wszystkich jego gałęzi, jak to czyniliśmy dotąd, kreślić we wspólnym obrazie na jednym i tym samym planie, przeciwnie wypadnie nam w interesie rzeczy rozklasyfikować ówczesną literaturę poznańską według przedmiotów a rozpocząć dalszy ciąg naszego opowiadania od *czasopiśmiennictwa*. „Z wieku mu i urzędu zaszczyt ten należy“, można słusznie powiedzieć. *Czasopiśmiennictwo* daje hasło owemu życiu w Poznańskim. *Czasopiśmiennictwo* gromadzi i powołuje do działalności najlepsze intelektualne siły i zdolności kraju; *czasopiśmiennictwo* wreszcie odzwierciadla najwierniej i najcharakterystyczniej cały przebieg, wszelkie prądy, koleje i przemiany ówczesnego życia publicznego, między

którem a literaturą, wzajemnie oddziaływający stosunek staje się nierozzerwalnym.

Przypatrzmy się po tych kilku słowach wstępu pierwszym objawom rozpoczynającego się z r. 1834 czasopiśmienniczego ruchu. Posiada wówczas Poznańskie na szczerpłym obszarze zakreślonym swemi granicami, równie skromny, jak zacny a troskliwy o zachowanie czystości języka i pamiątek narodowych triumwirat profesorów, obcych może ze względu na swe stanowisko urzędowe *czynnym udziałem*, ale z pewnością, nie uczuciami budzącemu się na ruinach powstania r. 1831 życiu. Naczelne stanowisko w tej plejadzie przyznajmy *Janowi Poplińskiemu*, profesorowi języka polskiego w gimnazjum Leszczyńskiem, znakomitemu językoznawcy, wydawcy nader cennego podręcznika literatury ojczystej dla użytku szkolnej młodzieży. Obok niego zapiszmy niemniej zacną, choć może mniej uzdolnioną i mniej czynną osobistość jego brata *Antoniego Poplińskiego*, również profesora języka polskiego w gimnazjum Poznańskiem. Jako trzeciego, najwięcej znanego, najgłośniejszego przez rozliczne prace swe historyczne w tym zastępie, wspomnijmy *Józefa Łukaszewicza*, również profesora języka polskiego w drugim, tak zwanem niemieckim gimnazjum Poznańskiem, wstępującego krótko przedtem w zawód dziejopisarski przez swą *Wiadomość historyczną o dysydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku*, mażącego tą, użyteczną, pracą, poetyckie grzechy swego żywota z epoki „*Mrówki i Weterana Poznańskiego*.” Dodajmy jeszcze, że Łukaszewicz łączy z profesorskim stanowisko zawiadowcy *Biblioteki Raczyńskich*, co go utrzymuje w ciągłym, naturalnym i łatwym związku z nagromadzonym tamże przez założyciela materiałem historycznym. Trzej ci mężowie nie ulegają, jak już wspomniano wyżej, bezpośrednio prądom i wrażeniom chwili. Sąto raczej sumienni, pedantscy może nawet trochę przestrzegacze czystości języka ojczystego, zacni konserwatorowie pamiątek przeszłości narodowej. Nie wydają i nie ogłaszają, wprawdzie żadnych programów, ale z samego

faktu, z samego rodzaju ich wystąpienia, o którym zaraz pomówimy niżej, przebija tażsama niemal, uczciwa, zachowawcza, wystrzegająca się wszelkich kollizyi politycznych tendencya, jaka natchnęła trzydzieści kilka lat przedtem założycieli Towarzystwa Przyjaciół Nauk Warszawskiego. Zachowanie czystości języka polskiego, ocalenie od niepamięci pomników przeszłości narodowej, otóż godło tak Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jak w roku 1834 nie wyrzeczone, ale praktykowane godło obu braci Poplińskich i Łukaszewicza. Pod podobnemi natchnieniami, z podobną dążnością, wśród podobnych otaczających, zewnętrznych okoliczności, poczynają od dnia 1 Lipca 1834 roku w Lesznie nakładem tamtejszej księgarni Ernesta Günthera, pod nominalną redakcją nauczyciela Ciechańskiego, wydawać tygodniowe, obrazkowe czasopismo pod nazwą *Przyjaciela Ludu*. Przypatrzmy się początkom tego piętnaście lat przeszło trwającego, wielce zasłużonego w czasopiśmiennictwie poznańskim przedsięwzięcia. Początki owe, przez pierwsze kilka miesięcy zwłaszcza, są mimo najlepszej woli redakcyi słabe, drzeworyty mające zdobić pismo, niezręcznie wykonane; wybór treści wprawdzie świadczący o chęci uwzględnienia miejscowego przedewszystkiem interesu, ale gubiący się mimo to w materyach głównej téj dążności obcych. Jeżeli np. w pierwszych numerach *Przyjaciela Ludu* widzimy z zadowoleniem, mniejsza, że bardzo nieudolnie wykonane ryciny *Biblioteki Raczyńskich w Poznaniu*, *Placu Sapieżyńskiego* tamże, *Ratusza*, *Kruszowicy nad Gopłem*, choćby nawet i porwania *Mistrza Twardowskiego* w karczmie Rzym według ballady Mickiewiczowej, cóż zapytalibyśmy, w tychże samych numerach *Przyjaciela Ludu* mogły interesować ówczesnego zwłaszcza czytelnika opisy i ryciny wielbłądowej *Artyleryi perskiej* lub *Karawany w Saharze*? Jeżeli przecież prawda historyczna i krytyczna zniewala nas do wyrzeczenia podobnego, mniej pochlebnego sądu o pierwszych początkach *Przyjaciela Ludu*, nakazuje nam też sama prawda stwierdzić, że z postępem czasu i w miarę utrwalającego się przez żywy publiczności udział

bytu, pismo rozszerza swój zakres, podnosi wartość części swej artystycznej, wyrabia sobie uznania godną metodę redakcyjną. Rzeczywiście, był leszczyński *Przyjaciel Ludu* przez długie lata prawdziwym *przyjacielem* polskich domów Poznańskiego, chętnie co tydzień witany gościem. Stał się zaś istotnie przez owe ryciny drogocennym, dzisiaj już rzadkością bibliograficzną, stanowiącym magazynem wszelkich narodowych rzeczy. W tym zaś kierunku ogarniał wszystko, co się *ryciną* i drzeworytówem wyobrażeniem da ogarnąć. Zamieszczał portrety królów, królowych, hetmanów, uczonych, ludzi znanych lub zasłużonych czembądź w dziejach polskich; co uwagi godniejsze gmachy i miejscowości polskie, medale polskie i monety z różnych epok, *facsimilia* królów i znakomitych osobistości polskich. Wątpimy doprawdy, czy na całym obszarze dawnej Polski było i jest jakiegobądź czasopismo, któreby pod względem skrzętności zbierania podobnego materiału i skuteczności podjętych w tym celu starań, było doszło do obfitszych rezultatów. Pominąwszy fakt, że takim rycinom, portretom, wyobrażeniom towarzyszyły zawsze odpowiednie życiorysy, opisy i objaśnienia, zasługuje i reszta treści *Przyjaciela Ludu*, w późniejszych zwłaszcza latach istnienia, na wszelkie uznanie. Króluje w jego łamach, jak się tego inaczéj po redakcyi Łukaszewicza spodziewać nie było można, przedewszystkiem *historya*. Mnóstwo tu więc znajdujemy rozpraw treści dziejowej, starych oryginalnych pamiętników, opisów bitew, wojen i oblężeń z najrozmaitszych epok historyi naszéj. Czy to wojna szwedzka z roku 1655, czy to *Oblężenie Poznania* z roku 1704, czy bitwa Poniecka z roku 1704, czy bitwa Wschowska z roku 1706, czy walka konfederatów Barskich, czy nawet udział legionowych Polaków w kampanii nadreńskiéj lub włoskiej pod Moreau i Schererem, wszystko to znajduje z kolei miejsce w kolumnach *Przyjaciela Ludu*. Nie zbywa też na rozprawach historycznych treści rozumującéj, jak np. pamiętny traktat Jędrzeja Moraczewskiego *O chłopach*, pamiętny, mówimy, w do-

mowej historii samegoż *Przyjaciela Ludu*, ponieważ mu się przysłużył odebraniem debitu pocztowego w Galicyi... Również pojawiają się w *Przyjacielu Ludu* wcale udatne i mile czytające się powieści, następnie artykuły treści obyczajowej, wreszcie z postępem czasu, o czym jeszcze pomówimy niżej, polemiki z pismami, ludźmi i kierunkami przeciwnymi konserwatywnym zasadom redaktorów *Przyjaciela Ludu*. Najślabszą to może strona *Przyjaciela Ludu*, strona reprezentowana głównie, jeżeli nie wyłącznie przez Łukaszewicza, który, jak był znakomitym dziejo- i językoznawcą, tak nie posiadał daru przekonywającego i przyzwoitego sposobu prowadzenia polemiki... Zgrzeszylibyśmy niedokładnością, przepominając oddać należne uznanie jednej jeszcze stronie treści *Przyjaciela Ludu*, stronie, którą się dotąd czasopiśmiennictwo Poznańskie poszczycić nie mogło. Mówimy tu o jego dziale poetycznym. Nie jest to już poezya *Mrówki*, ani *Weterana Poznańskiego* a jakkolwiek nie spotykamy się tutaj z utworami pierwszorzędnych gwiazd ówczesnego Parnassu polskiego, znajdujemy przecież poezye niepośledniej wartości, wychodzące z pod piór dobrze i zaszczytnie w literaturze naszej znanych. Przedewszystkiem nie zapominajmy w plejadzie poetyckich współpracowników *Przyjaciela Ludu* generała Franciszka Morawskiego. Zachowując sobie szerszą wzmiankę o tym zrodzonym, przemieszkującym i piszącym na ziemi poznańskiej poecie na później, wspomnijmy przecież tutaj już o zaszczytnym dlań i dla pisma fakcie jego współpracownictwa w *Przyjacielu Ludu*. Od czasu do czasu spotyka my się tu z tylu wdzięcznymi a tak dobrze znanymi publiczności naszej utworami generała Morawskiego, legendami, balladami, gawędami, bajkami naprzemian, jak *Brzoza Gryżyńska*, jak *Wizyta w sąsiedztwo*, jak *Izydor Śty Oracz*, jak *Giermek*, będącymi prawdziwą, ozdobą łamów *Przyjaciela Ludu*. Zapomnieć-że obok niego innych poetów, których piękne utwory spotykamy tu również? Owego tak mało znanego, tak zapomnianego dzisiaj Jaśkowskiego, autora znakomitej *Ballady*

Pajassa; Konstantego Zakrzewskiego, autora tego wiersza pod napisem *Bocian*, nie wspomniawszy Słowem, wyrabia się *Przyjaciół Ludu* pod katem i we wszystkich gałęziach piśmiennictwa na użytek redagowane czasopismo literackie i pozostaje wierne kierunkowi przez cały czas swego piętnastoletniego trwania aż do końca roku 1849. Co pozostanie w *Przyjaciół Ludu* pojawem, jak na owe czasy fermentu polityczno-społecznego uderzającym, to widoczny wstręt do brania w nim właśnie jakiegobądź udziału. Jestto pismo żyjące dla poprawności ojczyzniego języka, dla pamiętek przeszłości, dla estetyki. Otaczające, współczesne życie publiczne natomiast, nie znajduje w jego kolumnach żadnego odgłosu. Mimo to przecież zapisujemy jako również uderzający pojav, iż w teje samej epoce i pośród tegoż samego społeczeństwa, które wrzało i żyło tylko polityką, które do każdego wystąpienia publicystycznego, choćby nawet literackiego, rościło pretensye polityczne, *Przyjaciół Ludu* miał wyjątkowe szczęście nie zrażać, ani drażnić podobną abstynencyą, niktogo Przeciwnie, był zawsze w każdym domu wiejsko-szlacheckim pożądanym gościem a co rzecz szczególna, spotykał się w bratniej najczęściój i zgodnej spółce na jednym i tym samym stole, z jakim *Pszonką*, *Demokratą Polskim*, *Noworocznikiem Demokratycznym* lub *Partyzanką Stolzmana*. Otóżto krótka charakterystyka, treść i dzieje zasłużonego tyle w dziejach poznańskiej publicystyki *Przyjaciół Ludu*. Dokładność kronikarska nakazuje tuż obok niego jako czasopismo w temże samem, co on miejscu i z téj samej wychodzące oficyny zapisać *Szkółkę Niedzielną*, wydawaną od roku 1838 do 1852 pod redakcją księdza Borowicza i *Przewodnik Rolniczo-przemysłowy*. Pierwsze z pomienionych czasopism było przeznaczone głównie dla ludu a przystępne dlań rzeczywiście dzięki niskości prenumeraty. Wychodziło raz w tydzień, na szarym papierze, wyraźnym mimo to drukiem, językiem poprawnym, z dążnością prawą i uczciwą. Treść jego

dzieliła się na trzy rubryki: *religią*, *gospodarstwem i rozmaitości*. W dziale *religii* znajdowały się zwykle żywoty Świętych przede wszystkim polskich; nie zbywało też przecież pod tą, jak i pod rubryką *rozmaitości*, na wiadomościach z dziejów polskich, choć, dodajmy wyraźnie, bez najmniejszej aluzji do okoliczności i dążeń współczesnych... *Przewodnik Rolniczo-przemysłowy* był zaś pismem wyłącznie technicznym dla potrzeb rolnictwa i rolników krajowych, zasługującym przecież na uwagę z powodu, iż był zasilany współpracownictwem najprzebieższych wówczas powag poznańskiej agronomii....

Otóż więc raz jeszcze, początki obudzenia się ruchu naukowego i literackiego w Poznańskim po r. 1831. By zrozumieć i pojąć, by mógł scharakteryzować jego dalszy przebieg i rozwój, wypadnie nam znów na chwilę wyjrzeć z dziedziń literackiej na otaczającą ją, współczesną widownię *publicznego* życia. To cośmy powiedzieli wyżej o dotychczasowych próbach publicystyki poznańskiej po roku 1831, niechaj znów będzie odpowiedzią na zapytanie, o ile ona miała, była, potrafiła i mogła być wyrazem ówczesnego życia. Między pierwszą, a drugim sterczał ciągle pewien przestwór..... Życie ówczesne wrzało ciągłym fermentem, ciągłą tęsknotą i żalem niespełnionych i zawiedzionych roku 1831 nadziei, w ostatecznym rezultacie mniej lub więcej zorganizowaną i sformułowaną, mającą źródło w wewnętrznym usposobieniu narodowym, odbierającą zewnętrzne natchnienia z emigracji konspiracyją. Konspiracyja i konspiracyjność dostarczały raz po raz komisjom śledczym pruskim i więzieniom berlińskim ofiar, o których wspomnieliśmy już wyżej. Ferment ów, powiedzmy przecież w imię prawdy historycznej, miał zarazem i swą dodatnią stronę, wpływał i na *organiczne* dążności i powiały owęj epoki. Ograniczamy zaś ją, by nie wychodzić z karbów niezbędnego w każdym opowiadaniu historycznym porządku chronologicznego datami od roku 1834 do 1838. Wyrabia się pośród ówczesnego obywatelstwa Poznańskiego równocześnie i równoległe

do nurtującego łono jego prądu żywy ruch umysłowy ze szczerą dążnością wzajemnego pouczenia się i oświaty. Pierwszy raz to występuje w Poznańskim mąż nauki i serdecznej dla kraju woli, o którym niżej będziemy mieli sposobność szerzej pomówić, Jędrzej Moraczewski. Zawijają się na całym obszarze W. Księstwa Poznańskiego stowarzyszenia pod skromną, nie zwracającą na siebie uwagę władz rządowych, nazwą *Towarzystw zabaw*. Istnieją takie towarzystwa w Gnieźnie, Szamotułach, Gostyniu, Raszkowie. Zabawy, reduty, zjazdy są tu rzeczą podrzędną; istotne cele tych towarzystw, dojrzone z czasem okiem p. Flottwella, jak nas przekonywa jego późniejszy *Memoryał*, są poważniejsze. Każde takie towarzystwo zakłada przedewszystkiem w okolicy swój czytelnię obejmującą w pierwszym naturalnie rzędzie wszelkie publikacje krajowe, mianowicie treści dziejowej, w dodatku publikacje zagraniczne stósunków i rzeczy ojczyrstych dotyczące. Towarzystwa te dochodziły często do bardzo cennych księgozbiorów a jak owoce uczciwej narodowej pracy nigdy nie giną bez śladu i dobroczynnemi następstwami sięgają w życie przyszłych generacyi, tak też i księgozbiór dzisiejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego zawdzięcza nie skąpą swą częśćkę skrzętności *Towarzystw zabaw* z pomiędzy roku 1834 do 1838. Każde dalej takie *Towarzystwo* zakładało według sił i możności, głównie za inicjatywą i zachętą Jędrzeja Moraczewskiego, gabinety archeologiczne, w których się mieściły wykopaliska, starożytna broń, numizmaty, stare dokumenta. Między zbiorami podobnemi Towarzystwa Szamotulskiego znajdowała się n. p. rzadkość dzisiaj już zapewne nie istniejąca, złoty krzyż dany przez Kazimierza Pułaskiego za odznaczenie się w obronie Częstochowy... Otóż to pobieżnie skreślone oblicze umysłowego ruchu, jaki w epoce powstania i kilkoletniego trwania *Przyjaciela Ludu* poczyna ogarniać coraz szerzej i głębiej polską społeczność Poznańskiego. Nie mamy zapewne potrzeby powiadać, iż tego rodzaju życi i usposobieniu *Przyjaciel Ludu* wystarczać nie mógł, że zale-

żało na stworzeniu nowego czasopisma w centralnem ognisku prowincyi, któreby żyło więcej dla obecnej chwili i obecnej chwilą, zespoliło się ściślej i wierniej, o ile cenzura i zewnętrzne okoliczności pozwolą, z prądami i dążeniami współczesnymi. Rozpoczęły się tedy starania około utworzenia podobnego nowego organu. Zobaczmy, wśród jakich okoliczności i stosunków przyszyły do skutku. Znajdował się naówczas w Poznaniu młody człowiek znacznego, odziedziczonego po rodzicach majątku, powierzchowności nieszczęśliwej, ułomny, z ogromną głową, istny prototyp Ezopa, człowiek równie poczciwego i żywo bijącego dla sprawy krajowej serca, co mętną inteligencyi i niedojrzałego wykształcenia. Był nim *Antoni Wojkowski*. Znakomity fortepianista, czciciel rozpoczynającego naówczas kompozytorski zawód Chopina, gorliwy pośród publiczności poznańskiej propagator jego utworów, sam nie bez talentu kompozytor mazurów i piosenek narodowych, był znanym jako muzyk przedewszystkiem; na przedsięwzięcie i redaktora czasopisma naukowo-literacko-politycznego za to, nie zdawał się przedstawiać odpowiednich kwalifikacyi. Posiadał przecież dwa przymioty w społeczeństwie naszym bardzo cenne: dobrą wolę połączoną z ofiarnością i majątek. Zaprzyjaźniony z ówczesną młodzieżą przedstawiającą element ruchu, do której zaliczmy Kajetana Buchowskiego, później deputata na sejm Rzeszy Niemieckiej, dalej redaktora *Dziennika domowego* i *Gazety W. Księstwa Poznańskiego* Napoleona Kamińskiego, przebywającego wówczas w Poznaniu w charakterze emisaryusza księdza Waleryana Breańskiego brata znanego z rewolucyi r. 1831 pułkownika Breańskiego, Jędrzeja Moraczewskiego, Karola Libelta, zaczął Antoni Wojkowski wydawać z dniem 1 Kwietnia 1838 roku tyle rozgłosne następnie w annałach literatury i publicystyki poznańskiej czasopismo *Tygodnik Literacki*. Jakkolwiek wówczas nie było zwyczajem wydawców nowych czasopism wystawiać sobie samym listów rekomendacyjnych do publiczności przez ogłaszanie szumnych programów i jakkolwiek cenzura

pruska nie byłaby pozwoliła redakcyi *Tygodnika* powiedzieć całej prawdy, wiedziała przecież społeczność poznańska, czego się trzymać i upatrywała trafnie w nowem piśmie, które zapowiadało skromnie, „iż się będzie zajmowało sztuką, krytyką i literaturą,“ to, czem istotnie było, organ poznańskiego stronnictwa ruchu. Mimo to nie należy ztąd sądzić, aby *Tygodnik* był stanął od razu w jakiejś sprzeczności albo jako wyraz antagonizmu z *zachowawczością*, jaką reprezentowali bracia Poplińscy i Łukaszewicz w *Przyjacielu Ludu*. Przeciwnie może, byłoby się mogło zdawać z początku, jakoby *Tygodnik Literacki* był wyrósł z żeber *Przyjaciela Ludu*, istnie jak Ewa z żebra Adamowego. *Przyjaciel Ludu* i jego redaktorowie patronowali początkowo *Tygodnikowi Literackiemu* a polemika między nimi datuje się z późniejszej epoki, kiedy *Tygodnik Literacki* psując się i upadając, przestawał być tem, co zapowiadał zrazu... Pierwsze początki *Tygodnika Literackiego*, dalszy nawet jego przez pierwszych lat kilka rozwój, były świetne, wiele obiecujące a powiedzmy zarazem, i wiele ze swych obietnic dotrzymujące. *Tygodnik Literacki* stał się, jeżeli tak wolno powiedzieć, wytyczną, wzrostu i kierunku, jaki literatura poznańska wzięść odtąd miała a niespożyta zasługą redakcyi już nie dla Poznańskiego samego tylko, ale dla całej oświaty ówczesnej narodowej pozostanie, że zrozumiawszy chwilowe stanowisko Poznańskiego w składzie innych części dawniej Polski, znaczenie jego i doniosłość, zrozumiała niemniej własne swe stanowisko i własny swój pośród podobnych okoliczności obowiązek. Przypatrzmy się ówczesnemu, wyjątkowemu znaczeniu i położeniu Poznańskiego. Inne części kraju znajdują się w stanie ponurej niewoli. Pierwsze lata porewolucyjne są epoką najstraszniejszego duchowego i materialnego ucisku pod panowaniem rossyjskiem. Epoka Kriegów, Langebauów, Enzersdorów w Galicyi z niewiele dodatniejszej przedstawia się strony. W obec podobnej niemożności odezwania się i przemówienia w kraju, przedstawia się emigracya jako nieuniknione, bo swobodne ognisko duchowego życia Polski.

Jest jednakże część samegoż kraju, gdzie szukający po Archimedesowemu punktu oparcia duch polski odnajduje zakątek schronienia, pracy i działalności. Tą częścią kraju jest Poznańskie, mimo komisji śledczych, mimo leniwych i zawsze prawie bezskutecznych gonitw policyjnych za emisaryuszami, mimo germanizatorskich usiłowań p. Flottwella, mimo rozpoczynających się właśnie naówczas zatargów kościoła z rządem i uwięzienia arcybiskupa Dunina. Bezpieczna to jakkolwiek przystań dla objawów ducha polskiego, dla płodów umysłowości polskiej. Obowiązkiem, zadaniem i zasługą prawdziwego patriotyzmu pracować dla sprawy ojczystej w czasie, w miejscu, warunkach, jakie mu opatrność i okoliczności wskazują. Zaświtała w Poznańskim możność otworzenia narodowemu życiu nowego przybytku. *Tu* wypadło pracować i myśleć za resztę wskazanego na milczenie kraju, tu stworzyć Polskę, nie opuszczając jej obszaru, trzymając się po Anteuszowemu ojczystej matki-ziemi, publicystykę narodową, swobodny względnie, wyrażający całość Polski narodowy ruch literacki.... *Emigracya* i *Poznańskie*, otóż dwa ówczesne ogniska narodowego ducha. Poznańskie ma w porównaniu z *emigracją* tę korzyść i tę wyższość, *nasamprzód*, że jest *krajem*, następnie że emigracya bądź z powodu odległości, bądź z powodu niebezpieczeństwa, na jakie stosunki z nią narażały, nie jest w stanie jednoczyć i skupiać nad Sekwaną czy Tamizą naukowych i literackich zdolności, sił i zasobów krajowych. W szczęśliwszem nierównie pod tym względem położeniu znajduje się Poznańskie a pierwszy z pism poznańskich *Tygodnik Literacki* po roku 1831, pojmując i użytkując jego korzyści. Będąc organem stronnictwa ruchu, odbijając treścią i dążnością wielu swych artykułów społeczno-politycznych charakter swego zastępu, miał przeciw tę według nas *główną* zasługę, iż w łamach swych sprowadził do jednego wspólnego mianownika siły literackie ówczesnej Polski, czy to emigracyjne, czy z pod panowania rosyjskiego i austriackiego. Bez wątpienia należy cenić pismo, należy uznać zasługę i do-

brą, wolę redaktora, który w jednych i tych samych łamach otworzył miejsce wspólnego spotkania, *rendez-vous*, jakby Francuz powiedział, czy to miejscowych pisarzy rozprawom treści krytycznej i filozoficznej Karola Libelta, historycznym Jędrzeja Moraczewskiego, czy powieściom, jak *Czerwona Sukienka i Kir-dzali* emigranta Michała Czajkowskiego, czy poezjom emigranta Belwederczyka Seweryna Goszczyńskiego, czy pracom pisarza z pod panowania Mikołaja, rozpoczynającego naówczas swój świetny tyle później zawód Kraszewskiego. Sprowadzić w owej chwili trwających jeszcze wrażeń kłęski r. 1831 i bezprzykładnego ucisku pod wspólny jakoby dach Libelta, Moraczewskiego, Michała Czajkowskiego, Józefa Ignacego Kraszewskiego, Seweryna Goszczyńskiego, dać im sposobność i możność odzywiania się do publiczności; nie zamykać się i nie ograniczać się na ich falandze, ale otworzyć łamy pisma i młodszym naówczas pracownikom, jak Lucyanowi Siemieńskiemu, Edmundowi Wasilewskiemu, Romanowi Zmorskiemu, Franciszkowi Żyglińskiemu, Piotrowi Dahlmannowi, było niespożyta *zastługa*, ale było też, jak na owe czasy trudną dla innych stron kraju, szczęśliwie spełnioną *możliwością* pisma jakim był *Tygodnik Literacki*. W naszych czasach, kiedy świeższe wrażenia zacierają pamięć dawniejszych, kiedy następne generacye, sądząc się na wyższym szczeblu postępu i rozwoju, nie wiedzą najczęściej, na jakichto barkach same się wznoszą, pozostaje obowiązkiem prawdy i dobrej pamięci oddać należne uznanie zapomnianym już może objawom ówczesnej zasługi. Takim otóż, jak staraliśmy się skreślić co dopiero, był *Tygodnik Literacki* w pierwszych czterech latach swego istnienia od roku 1838 do 1842. Same nazwiska wyliczonych przez nas współpracowników niechaj będą miarą i rękojmią, wartości zamieszczanych w nim rozpraw i utworów. Studya krytyczne i literackie Libelta, z jakimże zajęciem były czytane! *Rycerz Albertus*, *Poleskie Wędrówki*, obrazy nadnie-meńskich i nadbużańskich krain Kraszewskiego, jakżeż interesowały, ówczesną, publiczność a cóż dopiero powiedzieć o za-

pale pęci pięknej dla *Czerwonej Sukienki* Czajkowskiego, *wówczas* otoczonego jeszcze tylko aureolą emigranckiego cierpienia i nimbem sławy pułku Wołyńców Karola Różyckiego! Nie poprzestając na tych rozprawach, studiach, powieściach, obrazach, utworach poetycznych, utrzymywał *Tygodnik Literacki* dokładną kronikę bibliograficzną wszelkich nowości literackich polskich wraz z mniej lub więcej często pojawiającą się ich krytyką. Prócz tego znajdujemy w jego łamach podobną kronikę wszelkich, co ważniejszych wydarzeń z życia publicznego, naukowego i artystycznego poznańskiego. Jakże żałować należy, iż tyle korzystnego i zaszczytnego dla *Tygodnika Literackiego* ocenienia, sumiennność historyczno-krytyczna nie pozwala rozciągnąć na *cały* czas jego sięgającej aż do r. 1846 egzystencji! Niepodobna tymczasem zaprzeczyć, iż począwszy od r. 1841 poczyna się upadek *Tygodnika*, znamionujący się na zewnątrz w nieregularności wydawnictwa, na wewnątrz w pewnej ekscentryczności treści. Wpłynęły na to osobiste stosunki redaktora Antoniego Wojkowskiego. Wydawnictwo *Tygodnika*, wystawne życie, „*przyjaciele*“, podszarpali jego majątek, z czego się wyrodziła zwykła w takich razach gorycz i drażliwość do świata. Prócz tego, ekscentryk i fantastą w życiu, zawiązał z kobietą, wielce sobie podobną, autorką, nie bez zdolności na polu mianowicie piśmiennictwa ludowego, Julią Molińską, stosunek, którego uświęcić sakramentem nie uważał za rzecz potrzebną. Pomędzy publicystami, literatami, artystami zachodu, w Paryżu lub Londynie, nie byłby może podobny wybryk zwracał na siebie uwagi i minąłby niepostrzeżenie. Inaczej naturalnie na małej widowni Poznańskiej. Stosunek Wojkowskiego raził publiczność, która usposobienie żywione odtąd dla osoby redaktora, przeniosła na pismo i poczęła się doń oziębzać. Wojkowski był za dumnym, by ustąpić i chcieć się upokorzyć, odpowiedział na niechęć i zimnotę rozdrażnieniem, które się dość naturalnie udzieliło *pismu*. Odtądto *Tygodnik Literacki*, który na pewien czas (w r. 1843 i 1844) przenosi miejsce wydawnic-

twa do Wrocławia, który następnie powraca do Poznania, by tu ciągnąć dalej suchotniczy i drażliwością suchotniczą nacechowany żywot, zaczyna się stawać niesmacznie polemicznym, coraz więcej ekscentrycznym, zaczepnym a co najgorsza z organu stronnictwa, jak się wówczas mieniło, ruchu i postępu, organem popolitości i frazesowości owego zastępu. Zaczepnej intencji i tendencji deklamacye przeciw arystokratom i obskurantom, szumne frazesy przeciw szlachcie, księżom, herbom i sutanom, poczęły zapełniać i kazić coraz częściej i więcej kolumny *Tygodnika*. Lata 1844, 1845 i 1846 są datami podobnego z każdym dniem widoczniejszego, z każdym dniem więcej rażącego upadku. Koroną tego kierunku było dziwaczne oświadczenie się redaktora Wojkowskiego w r. 1845 za odpadłym od Kościoła katolickiego księdzem Czerskim, osobistością, dzisiaj najdoskonalej zapomnianą, traktującą gdzieś w małym miasteczku na prowincyi gospodarkę, wtedy bardzo głośną, a do pewnego stopnia przez rząd protegowaną. Była to, powtarzamy ze strony zgorzkniałego, rozdrażnionego, wyzywającego umyślnie zapasy z opinią publiczną Wojkowskiego, niczem więcej, jak dziwactwem i ekscentrycznością, bo skłonności do jakichbądź badań i poszukiwań na polu teologicznem nigdy nie miał a oświadczywszy się za Czerskim dzisiaj, jutro z pewnością żadnej wagi na swe oświadczenie nie kładł... Opinia publiczna zraziła się jednakże podobnem wystąpieniem. Dawniej już odstąpili *Tygodnika* jego najlepsi i sławą literacką szczytujący się współpracownicy, pozostały robotki i niedobotki, jak obaj redaktorowie, Antoni i Julia Wojkowscy, jak młody naówczas i doświadczający pierwszych sił swoich poeta Roman Zmorski, jak utalentowany i ukształcony, ale podupadły moralnie i materyalnie Piotr Dahlmann. O polemice toczącej się między *Tygodnikiem* a żywiołami i organami przeciwnego kierunku, będziemy mieli jeszcze sposobność pomówić niżej. Łatwo pojąć, że wśród podobnych okoliczności i stosunków, żywot tyle świetnego, tyle zasłużonego, tak znakomicie pojmującego obowiązki swego stanowiska przez pier-

wsze trzy lata *Tygodnika Literackiego* stał się niemożliwym. Dociągnął go do pierwszych dni Marca 1846, do tych samych bolesnych i ponurych chwil niemal, kiedy w serce Polski jak cios srogiego miecza uderzyła wiadomość o rzezi galicyjskiej a Poznańskie pokryło się żałobą, przez spadające nań epidemicznie aresztowania i prześladowania polityczne. Ostatni numer *Tygodnika Literackiego* wyszedł dnia 8 Marca 1846 z zagadkowo brzmiącym oświadczeniem: „iż przestaje wychodzić, ponieważ mu niewolno pozostać przy dawnych zasadach a odstąpić od nich nie jest w stanie“.... Przetłómaczywszy pytyjskie to orzeczenie na zwyczajną prozę polską, miało ono znaczyć po prostu, iż *Tygodnik* przestaje wychodzić, bo zrażona doń publiczność podtrzymać go nie będzie i nie chce a redakcja własnymi środkami uczynić tego nie jest w stanie. Tak upadł po ośmioletniem trwaniu *Tygodnik Literacki*, któremu pamiętajmy dobre co Poznańskiemu istnieniem swem wyświadczył, zapominając złe, którem mało szkodząc sprawie publicznej, własny tylko byt i piękne imię podkopał.... Nie chcąc przerywać wątku rozpoczętego opowiadania dziejów *Tygodnika Literackiego* aż do końca jego trwania, wybiegliśmy nieco po za granicę porządku chronologicznego, do którego w interesie naszego przedmiotu powrócić wypadnie. Nie zapominajmy, że znajdujemy się naszym opowiadaniem w latach 1838 i 1839 czyli w epoce założenia i świetnego powodzenia *Tygodnika Literackiego*, jako organu stronnictwa ruchu w Poznańskiem. Najlepszym dowodem ówczesnej żywotności poznańskiej, interesu publiczności dla literatury i publicystyki, zasobów wreszcie i sił intelektualnych, niechaj będzie, iż egzystencja *Tygodnika Literackiego* była jakoby hasłem tylko do coraz to nowych prób w dziedzinie czasopiśmiennictwa. Stronnictwo ruchu rozwija tu równą czynność, co stronnictwo zachowawcze. W roku 1839 powstaje jako przedsięwzięcie literackie *pierwszego* obu kierunków, nowe czasopismo tygodniowe, pod redakcją Napoleona Kamińskiego, *Dziennik Domowy*. Pismo to, jakkolwiek szeregujące się do tak zwanych naówczas organów *kierunku postępowego*, odznacza się przecież ze stanowiska swojej belletrystycznej

przedewszystkiem` tendencyi mniej jaskrawą i wybitną od *Tygodnika Literackiego* barwą. *Dziennik Domowy*, wychodzący w podwójnych arkuszach, w wielkiej ówiartce, na papierze welinowym, drukiem czystym i wyraźnym, był przedewszystkiem pismem przeznaczonem dla młodzieży i płci pięknej a zawierał obok kolorowanej ilustracyi na ostatniej stronnicy, regularnie treściwy buletyn ostatnich mód paryskich. Zaslugą jednakoż redakcyi a nadewszystko stojącego po za nią, czy nad nią, reprezentowanego przez Karola Libelta i Jędrzeja Moraczewskiego kierownictwa, było, iż ów obrazek i ów buletyn mód były pobocznymi, dodatkowemi drobiazgami tylko, kiedy główna dążność zwracała się ku wciągnięciu kobiet i dojrzałszej młodzieży w poważniejszą sferę czytelnictwa, głównie za pomocą i pośrednictwem belletrystyki. Przeważała tedy w *Dzienniku Domowym* powieść i to powieść reprenzentowana bardzo dobrze. Mianowicie króluje w niej tak celujący, tak zajmujący w mniejszych właśnie powieściowych opowiadaniach Lucyan Siemieński. Wydany później w Poznaniu roku 1843 pod tytułem *Muzamerit* w dwóch tomach zbiór pięknych powieści jego, jest wyłącznym prawie przedrukiem z ówczesnego *Dziennika Domowego*. Ów *Portret Króla Jana*, *Młynareczka*, *Jak to dawniej kochano*, *Starosta Kaniowski*, wszystko to pojawiało się poprzednio w kolumnach *Dziennika Domowego*. Zamieszczał prócz tego *Dziennik Domowy* powieść Seweryna Goszczyńskiego *Odę*, ustępy z *Króla Zamczyska*, wdzięczne próby powieściowe Bibianny Moraczewskiej, młodych, wstępujących w zawód literacki pisarzy z Królestwa Polskiego, n. p. między innymi utalentowanego, zbyt rychło zgasłego Bohdana Dziekońskiego. Obok działu powieściowego a raczej przed nim, znajdował się na pierwszym miejscu pisma krótki artykuł przewodni, traktujący zwykle w sposób przystępny i popularny rozmaite kwestye społeczne i polityczne, jakie chwilowo zajmowały najwięcej publiczność. Artykuliki te wychodziły głównie z pod pióra Moraczewskiego, Libelta, niekiedy Edwarda Dembowskiego.

Nie dość na tem zawierał *Dziennik Domowy* rozprawy treści krytycznej, dość troskliwie dalej i dokładnie utrzymywaną kronikę bibliograficzną wszelkich nowości literackich polskich, wreszcie opisy podróży po różnych częściach kraju. Jak z tego szkicu widzimy, odznaczał się tedy i *Dziennik Domowy* w swoim rodzaju bogactwem treści, jakkolwiek rozległych pretensyi *Tygodnika Literackiego* nie miał, a pozostając tem, czem był z początku, to jest organem stronnictwa ruchu w sferze li tylko belletrystycznej, trzymając się tego stanowiska z konsekwencją, ale i z pewnem umiarkowaniem, przeciągnął swój żywot wśród wszelkich ówczesnych burz i wstrząśnień aż do końca roku 1848 Tak to liczy stronnictwo ruchu w Poznańskiem około roku 1840 dwa swe czasopisma, kiedy konserwatywny, powiedzmy wyraźnie, *nie* w polityce, bo jój dziedziny nie sięgał wcale, lecz w literaturze, kierunek braci Poplińskich (Jan umarł w r. 1839) i Łukaszewicza, znajdujący moralne i materyalne poparcie w Edwardzie Raczyńskim poprzestaje na jednym *Przyjacielu Ludu*, jeżelibyśmy maleńkiej *Szkołki Niedzielnej* także do organów tegoż kierunku zaliczyć nie chcieli. Wśród takichto okoliczności, wśród rozrastającego się coraz bujniej w Poznańskiem życia, wśród tworzenia się i grupowania stronnictw na wzór emigracyjnych, podejmują Łukaszewicz i Antoni Popliński myśl wydawania nowego, zachowawczego kierunku pisma, z wyraźną polemiczną tendencją, przeciw nie tylko już pismom, ale i ludziom ruchu. Tak powstał z dniem 1 Października 1840 r. *Orędownik*, pismo wychodzące raz na tydzień, z *zewnątrznnością* wielce podobną do swych przeciwników *Tygodnika Literackiego* i *Dziennika Domowego*, z dążnością przystającą wiernie do zachowawczo-literackiego kierunku *Przyjaciela Ludowego*. *Orędownik*, istny bicz boży na wszystkich młodych literatów, na wszelkie wybujałości i niepoprawności językowe, miał swe niewątpliwie dobre strony, miał przedewszystkiem wszelkie prawo szczyć się bogactwem treści i poprawnością języka. Wszystkie niemal działy piśmiennictwa znajdowały w jego łamach odpowiednie

miejsce i były reprezentowane przez imiona znane i cenione w naszej literaturze. *Historja* kwitnie w nim dzięki pieczołowitej specjalności samegoż głównego redaktora Łukaszewicza. Iteż tu znajdujemy cennych i gruntownych rozpraw historycznych, ustępów z pamiętników do dziejów Stanisława Augusta, konfederacyi barskiej, powstania Kościuszki! Powieść znajduje reprezentantów w osobach Michała Czajkowskiego i Michała Grabowskiego występującego tu pod przybranem nazwiskiem Edwarda Tarszy. Mianowicie wychodzi z pod jego pióra zajmujący obraz historyczny, zamieszczony w pierwszych miesiącach istnienia *Oređownika*, pod tytułem *Oblężenie Płocka*. W tymże samym dziale spotykamy się z imieniem Seweryna Goszczyńskiego..... Rozprawy treści filozoficznej nadsyła do *Oređownika* w modzie naówczas będący, dzisiaj także już niżej rzeczywistęj zasługi zapomniany Trentowski. Jego *Demonomania*, ustępy z *Cybernetyki* i *Chowanny* były tu drukowane. Również zasilają *Oređownika* pracami filozoficznej treści, z emigracyi Bukaty i Ludwik Królikowski. Poezyą w *Oređowniku* reprezentuje głównie Lucyan Siemieński. Wspomnijmy choćby tylko rzewny jego wiersz do zgasłego Leszka Dunina Borkowskiego, przypomnijmy dalej, że słynny jego przekład *Odysei* ujrzał po raz pierwszy światło dzienne w *Oređowniku* z roku 1845, w próbie tłumaczenia dziewiętej księgi opisującej spotkanie Odysseusza z córką króla Feaków. Młodzi naówczas bardzo, rozpoczynający zawód literacki, tak zasłużeni późnięj około wychowania młodzieży naszej profesorowie Antoni Małecki i Marcei Motty, występowali także jako współpracownicy *Oređownika*, pierwszy zamieszczając w jego łamach cenne, jakkolwiek młodocianem piórem skreślone studjum o Mickiewiczu, drugi rozprawę treści historyzoficznej. Kronika bibliograficzna była w łamach *Oređownika* troskliwie utrzymywana, również znajdowała *krytyka* nowo ukazujących się plodów literatury polskiej odpowiednie miejsce. Dział ten był traktowany z równą troskliwością, co bezwzględnością. Krytyka *Oređownika* znajdująca się głównie w ręku samegoż naczelnego

redaktora Józefa Łukaszewicza, była ostra, zjadliwa, nacechowana często ową zarozumiałością, co to nieskłonna dopuścić objawu przeciwnego zdania. Mianowicie stwierdza się prawda tego spostrzeżenia w wycieczkach Łukaszewicza przeciw historyi Moraczewskiego; w krytyce dalej tegoż samego dzieła przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego, jednego z *tych* historyków, którzy tak z powodu metody pisarskiej, jak z powodu naukowych osiągniętych a raczej *nie* osiągniętych przez nią rezultatów, sami do pobłażliwości krytyki apelować wszelkąby mieli przyczynę. Mówiąc o krytyce, zwłaszcza tego rodzaju krytyce *Orędownika*, przechodzimy właściwie już granice jego literackiej dążności i treści a wkraczamy w dziedzinę jego *polemiki* będącej wyrazem jego zasadniczego kierunku. Właśnie zaś przedmiot polemiki *Orędownikowej*, będący charakterystycznym syptomem ówczesnych różnic i zatargów partyjnych w Poznańskiem, zniewala nas w interesie zrozumiałości rzeczy zwrócić uwagę na społeczne i towarzyskie tło owych sporów i antagonizmów. Bez podobnego komentarza, bez podobnego rzutu oka na społeczeństwo, na ówczesny jego moralny i polityczny charakter, zamieniłby się nasz szkic literatury poznańskiej na to, czembymyś go mieć *nie chcieli*, na katalog i bibliograficzny spis książek i czasopism owęj epoki. Znajdujemy się w epoce roku 1839 i 1840. Kilkakrotnie już wspomnieliśmy dalej o dążności zachowawczej pośród literatury a mianowicie publicystyki poznańskiej. Zaliczyliśmy *Tygodnik Literacki i Dziennik Domowy* do liczby organów pierwszego, *Przyjaciela Ludu* i *Orędownika* do liczby organów drugiego kierunku. Potrąciliśmy o imiona Libelta, Moraczewskiego, redaktorów i współpracowników *Tygodnika i Dziennika* jako reprezentantów pierwszego, braci Poplińskich i Łukaszewicza (przypominamy *wyraźnie że tu tylko o literaturze i literackiej dziedzinie mowa*) jako reprezentantów drugiego zastępu. Cóż, zapytałby teraz należało, wyobrażają oba te przeciwne sobie kierunki w literaturze poznańskiej a nadewszystko jak się mają do przekonañ, zasad, dążeń i usiłowań ówczesnego

społecznego i politycznego *życia*? W odpowiedzi na to za-
 pytanie, należy zstąpić na grunt rzeczy, spojrzeć w oblicze
 obu przeciwieństw zmuszonych zewnętrznymi okolicznościami,
 przez cenzurę i represyjne środki chodzić w masce za-
 słaniającej istotną prawdę. Stanowczym czynnikiem jest
 tu, jak zataić niepodobna, wpływ i przykład emigracji; *dla*
czego, powiedzieliśmy wyżej. Tkwił w duszy, tkwił w sercu
 narodowem nieutulony żal po klęsce roku 1831. Demokra-
 tyczna a nawet niekoniecznie tylko demokratyczna część
 emigracji, przypominamy imiona Chrzanowskiego, Bema,
 Dembinskiego, mniemała, że klęskę, która według jój szczerego
 przekonania tak łatwo *zwycięstwem* być była mogła i powinna,
 można powetować jedynie tylko drogą ponownego, zbrojnego
 powstania. Tyle jednakże praktycznego zmysłu i rozumu było
 choćby i w *tym* nawet kierunku, by przyjść do przekonania,
 by rozumieć, że możliwość *sukcesu* podobnego wysiłku zależy od
 pozyskania ludu, od naprawy krzywdy, którą nagromadziły
 wieki a której rok 1831 wynagrodzić nie mógł czy nie umiał.
 Ztąd to wyradzają się obok myśli sterującej do zbrojnego
 w kraju wybuchu, jako *środek* jego powodzenia polityczno-spo-
 łeczne teorie składające się na definicyą tego, co w słowniku
 owój epoki nosi nazwę *postępu*. Pisma poznańskie, tak zwane
postępowe a wskazane przez nas wyżej, ludzie zaliczający się
 do falangi *postępowej*, służą temu kierunkowi, udzielają swych
 przekonań i dążeń ówczesnej literaturze. Okoliczności ze-
 wnętrzne, o których wyżej była mowa, nie pozwalają im natu-
 ralnie walczyć jasno i bezogródkowo z otwartą przyłbicą, jak
 równoczesnemu piśmiennictwu emigracyjnemu. Niepodobna na-
 turalnie było pod jakąbądź cenzurą, choćby nawet pod względną
 i liberalną, naówczas cenzurą pruską, professorów Czwaliny
 i Czarneckiego, bezpieczniejszą stękróć od dzisiajszej wolności prasy,
 powiedzieć, że się chce Polski, że się dąży do niej drogą zbroj-
 nego powstania, że drogą do niego jest konspiracya, idee po-
 stępowe dźwignią. Wypisać i wygłosić podobnego programu
 nie było można i nikt go też na czele organów postępu nie

wygłaszał. Było to rzeczą, zadaniem i możliwością jedynie tylko pism emigracyjnych. Mimo to przecież wiedziała i rozumiała publiczność polska dobrze czego chce, do czego dąży i co reprezentuje u niej tak zwana publicystyka *postępowa*. Naprzeciw niej stawa twarz w twarz publicystyka *zachowawczego* kierunku, rzecz dziwna, nie z wyraźnym, własnym jakimś programem, programem pozwalającym się społeczeństwu treści swęj choćby *domyślać* tylko, ale raczej z negacją i zapytaniem razem. *Czego chcecie?* pyta nieustannie w łamach *Orędownika* Łukaszewicz „*postępowców*“; odsłonięci wasze oblicze i pokażcie się, jakimi jesteście! Naturalnie, pozostawała podobna inwokacya bez odpowiedzi i nie mogła *bez* milczenia pozostać a tymczasem siekł nieubłagany, troskliwy o czystość języka i poprawność stylu polskiego profesor, ferułą swęj niewątpliwęj na tem polu wyższości, wszelkie usterki i błędy, jakie się na niem pojawiały. Na tem kończyła się przecież robota konserwatywnej prasy poznańskiej jako przedstawienia *postępowej*. Mianowicie zaś byłoby historyczną pomyłką przypuszczać, jakoby ówczesna zachowawcza prasa poznańska, ograniczająca się istotnie w akcji swęj przeciwpostępowęj na prostych objawach drażliwości osobistych, na wojnie z usterkami gramatyki i stylu, była organem jakiegobądź stojącego [po za nią zachowawczego zastępu, jakoby była wzięła na siebie systematyczną i zasadniczą obronę zachowawczych pojęć, może kierunku jakichś prac ograniczonych w przedstawieniu z nurtującym z cicha prądem rewolucyjno-powstańczym. Tego nie było a uważna lustracya *zachowawczych* skoro je tak nazywamy, organów ówczesnej publicystyki, z pewnością każdego o prawdzie naszego spostrzeżenia przekona.... Pamiętać zaś należy i to także tylko w pamięci naszego zadania, w interesie odtworzenia obrazu owęj epoki w Poznańskiem, iż chronologiczna okolica roku 1840, jest datą wyrabiania się dwóch, nie tyle sobie wręcz przeciwnych, ile raczej dopełniających się nawzajem, odmiennych przecież

z sobą życia publicznego kierunków. Wspomnieliśmy już o *postępowym*, wspomnijmy teraz o kierunku *zachowawczym*, ale naturalnie o *konserwatyzmie* znamionującym fakt swój obecności w życiu, czy to w dziedzinie literatury i nauki, czy w dziedzinie spraw publicznych, przez jakąbądź *działalność*, bo rozumie się, że dla rezygnacyi czy sobkostwa pozostających bezczynnie na uboczu a strojących się w szatę i pozory jakichś zasad, miejsca w dziejowym obrazie jakiejbądź epoki być nie może. Otóż tedy streszcza się ówczesny konserwatyzm poznański, skoro definicyi jego podobne położymy warunki, *w dwóch* niepodobnych sobie społecznem stanowiskiem, urodzeniem, stosunkami, dążnościami, temperamentem, schodzących się jedynie tylko w zamknięciu sprawy ojczyściej osobistościach, Edwardzie Raczyńskim i doktorze Karolu Marcinkowskim. Zachowując sobie szersze wspomnienie o pierwszym na później, powiedzmy przecież o nim już tutaj, że działalność jego w sferze naukowo literackiej zwracała się do zakładania instytucyi, jaką była *Biblioteka Raczyńskich*, do przechowywania narodowych pamiątek, do wydawnictw na polu dziejowem, do wspierania wreszcie i podtrzymywania czasopism, kierunek podobny wyrażających. Politycznie i towarzysko jestto konserwatysta i arystokrata w całym znaczeniu tego wyrazu, *ale*, dodajmy, szczerze i wskroś narodowej barwy. Podobne stanowisko wprowadziło go w naturalny konflikt z otoczeniem i opinią *innym* natenczas ulegającemi prądom. Zatarg podobny zatrul *jemu* życie, zaszkodził narodowej sprawie.

Wiał wówczas po całej Europie wiatr konstytucyjno-liberalno-parlamentarny. Nasza opinia publiczna powierzała mu się, pozwalała mu dąć we własne żagle, domagała się na sejmach prowincjonalnych poznańskich wraz z liberalną reprezentacją stanów prowincjonalnych innych prowincyi monarchii pruskiej, cacka *ustawy konstytucyjnej* dla kraju. Raczyński był jedynym może z deputatów, który mając na *ten* raz słuszność i przewidując, czy przeczuwając, że konstytucya obejmująca *całą* monarchią pruską, zacznie swój żywot od za-

przeczenia partykularnych praw narodowych i politycznych W. Księztwu Poznańskiemu, konsekwentnie przeciw podobnemu postulatowi liberalizmu protestował. Jak dalece zaś był Polakiem, jak dalece umiał być śmiałym i dać dowód odwagi cywilnej tam, gdzie jej było trzeba, *tej* prawdy najlepszym stwierdzeniem pozostanie jego wystąpienie w obronie praw narodowych W. Księztwa Poznańskiego wobec króla Fryderyka Wilhelma IV. podczas koronacji w Królewcu r. 1840. Z tem wszystkiem, rzecz dziwna, pozostał Edward Raczyński, może z powodu swych arystokratycznych wyobrażeń, może dalej z powodu swej, mimo wszelkich zacnych i pięknych stron charakteru, ekscentrycznej osobistości, *soliterem* pośród poznańskiego społeczeństwa. Że nim był dla falangi postępowej uważamy ze stanowiska ówczesnych prądów opinii publicznej za rzecz naturalną. Co bardziej natomiast zastanawia to, że pomiędzy „*swoimi*,“ to, że między ówczesną arystokracją Poznańskiego nie zdołał, czy nie chciał stworzyć zastępu, któryby był mógł zaważyć swoim wpływem, zaważyć *politycznie* na szali ówczesnych losów krajowych. Że tak się *nie* stało, pozostanie faktem; *czemu* zaś się nie stało, przypiszmy bądź to niedostatkowi organicznej zdolności Raczyńskiego w tym kierunku, bądź, co podobniejsza do prawdy, fizylogiczno-psychologicznej prawdzie, że porozbiorowa nasza arystokracja ma tylko rację, bytu *towarzysko-tradycyjną*, że zaś w niej materiału na stworzenie osobnego zastępu w sensie *politycznym*, ani na torysów angielskich, ani na grandów hiszpańskich, ani choćby nawet na junkrów niemieckich nie ma. Raczyński zostaje jako konserwatysta, odosobniony i samotny, ograniczony, co najwięcej na działalność naukowo-literacko-publicystyczną, na sporadyczne występy w sejmach prowincjalnych W. Księztwa Poznańskiego. *Innego*, radykalnie odmiennego odlewu jest druga ze wspomnianych wyżej przez nas reprezentujących konserwatywny ówczesny, osobistości, doktor Karol Marcinkowski. Dziecię ludu pochodzeniem, a nadewszystko przekonaniai religijnemi, społecznemi, politycznemi z pewnością, nie różniący się na włos

od postępowców najczystszej wody; trybun ludu w mowie i obejściu; szorstki i lakoniczny, istny antypoda arystokratycznych pojęć, obyczajów i dążeń Raczyńskiego, przytem filantrop i człowiek wielkiego osobistego poświęcenia, myślał wręcz przeciwnie o *ludzie*, miejskim mianowicie, o stworzeniu zeń nowego, dodatniego czynnika w organizmie narodowego społeczeństwa. *Jakże go przecież stworzyć?*— nasuwało się każdemu praktyczniejszemu umysłowi naturalne pytanie. W odpowiedzi na nie, nie pozostawało Marcinkowskiemu nic innego, jak udać się do obywatelstwa szlacheckiego, możniejszego zwłaszcza, któremu imponował, które pociągał na przemian jako charakter, serce i zdolność a stanowisko, które w skutek tego zajął, mogło mniej uważne oko brać za sojusz jego z nieistniejącym w Poznańskim, co najważniejsza, *konserwatyzmem politycznym*. Tymczasem stał się Marcinkowski z całą swą działalnością i dążnością tylko żywym stwierdzeniem wzniosłej prawdy Krasieńskiego „o ludzie, którego nie ma bez szlachty“ a różnica między samymże Marcinkowskim a „postępowcami“, broń Boże, jakaś *zasadnicza*, redukowała się po prostu do kwestyi wczesności, „*de l'opportunité*“, jakby Francuz powiedział, dającą się ująć w następny dyalog: „*Już czas*,“ powiadają postępowcy; „*Jeszcze nie czas*,“ odpowiada Marcinkowski: „*Pracujmy nad ludem*.“ Raz jeszcze: *zasadniczej* różnicy między *nimi* a *nim* nie ma a popełniłby ciężki błąd historyczny, ktoby w układaniu drzewa genealogicznego dzisiajszych naszych, żał się Boże, stronnictw, chciał Marcinkowskiego robić jednym z protoplastów tego, co dzisiaj mieni się jakimś konserwatyzmem i ortodoksyą. Marcinkowski nie jest, jak Raczyński, w obrębie *swojego* konserwatyzmu *soliterem* a w rzucie oka na jego zasną postać odstania się zarazem szczytne, wzniosłe, pocieszające widowisko na charakter naszego *szlacheckiego* przedewszystkiem społeczeństwa i na charakter ówczesnej epoki. Z jednej strony świeci z pośród tyłu imion arystokratycznych o historycznem brzmieniu, jako głowa *zachowawczego sui generis* zastępu, *Marcinkowski*, doktor medycyny

dziecię poznańskiego bruku, syn zamożnego szynkarza z przedmieścia św. Wojciecha; z drugieję zyskuje podobnie naczelne stanowisko pośród stronnictwa postępowego liczącego w swem gronie nie mniej arystokratycznych imion i fortun, syn uboższego szewca z tegoż samego poznańskiego bruku, zacny, kryształowy, istny, choć nie herbowy „rycerz bez trwogi i nagany,” Karol Libelt. Marcinkowski rozpoczął swą działalność w Poznaniu od r. 1837, wśród najciężej grasującej cholery, po powrocie z emigracyi. Karol Libelt, żołnierz artyleryi z korpusu Rożyckiego, następnie wzorowy uczeń uniwersytetu Berlińskiego i doktor filozofii, później więzień stanu, jeszcze nieco później uganiający się z trudami wiejskiego gospodarstwa dzierżawca, znalazł we dwa lata po powrocie Marcinkowskiego do kraju, odpowiednie swym zdolnościom i usposobieniu zatrudnienie, zakładając pensyonat, udzielając lekcyi matematyki, zyskując nareszcie, dzięki względnosci władz pruskich, stanowisko *tolerowanego*, nadetatowego przy gimnazyum Fryderyka Wilhelma (niemieckiem) nauczyciela. Jeżeli Marcinkowski *imponuje*, *poeciaga* Libelt. Owo poorane, rzecz dziwna, podobnie jak u Marcinkowskiego, znakami ospy oblicze, owe grube, niekształtne rysy, zdołała przecież para wyrazistych, rozumnych, serdecznie patrzących oczu, zdołał sympatyczny, łagodny uśmiech, uczniał i uszlachetniał w danej chwili dźwięczny i piękny organ, odzywający się z katedry mianowicie i wśród wystąpień wobec ludu, zawsze porywającą, elektryzującą słuchaczy wymową... Otóż dwoje dzieci ludu poznańskiego, zyskujących sobie naczelne stanowisko pośród własnego społeczeństwa ofiarnością, pracą sercem i charakterem, ściągających do głównych mianowników swych osobistości, dwa przeciwne obozy, na które się Poznańskie dzieli... *Czyż* walczą z sobą, zapytaćby teraz należało; *jak* walczą, *jaką* bronią, na *jakiej* widowni? Otóż i *na to* pytane odpowiedź gotowa a przynosząca zaszczyt tak im, jak reprezentowanym przez nich stronnictwom. Nie ma między nimi owęj nacechowanej osobistemi drażliwościami dziennikarskiej polemiki, jaka się niestety wyrodziła później w dziedzi

nie publicystyki naszej. *Jest*, nie przeczymy i tutaj polemika, ale jakże szlachetna, jak wzniosła; *jest* pojedynek, ale na *czyim* i *prace*!

Konserwatysta Marcinkowski wznosi Bazar i organizuje Towarzystwo pomocy naukowej; Libelt i Moraczewski odpowiadają na to urządzaniem publicznych odczytów i zakładaniem nowych czasopism. *Słowa* polemicznego nie ma między obu kierunkami; Libelt wznosi Marcinkowskiemu i Towarzystwu pomocy naukowej istny pomnik sławy w redagowaniem przez siebie czasopiśmie; uczestniczy sam w rozszerzaniu dobrodziejstw pięknej téj instytucji, wchodzi w skład jej zarządu. Antagonizm obu kierunków jest w rzeczy, jest w akcji, publiczność zna go bardzo dobrze i rozumie, ale nie objawia się w słowach, cóż dopiero w brudno-błotnistej polemice późniejszego czasu! Tem trudniej zaś o podobną wojnę, że *konserwatyzm*, czy to autoramentu Edwarda Raczynskiego, czy Marcinkowskiego, nie ma *swego organu*, któryby podjął obronę ich programu przeciw wyobrażeniom, dążnościom i akcji postępowców. Polemika Łukaszewicza w *Orędowniku* przeciw organom postępowym [nie jest, jak zauważono wyżej, zasadniczo-polityczną, ale raczej gramatyczno-stylową, z pewną dozą złego humoru i profesorskiej zarozumiałości. *Ta* zaś polemika nie mająca nic wspólnego z walką zasadniczą, w dziedzinie ówczesnej polityki narodowej, pozostawia do dziś dnia, skoro się ją czyta, przykre wrażenie a nie powiemy, by świadczyła szczególnie na korzyść Łukaszewicza. O Łukaszewiczu *historyku*, pomówimy niżej, o Łukaszewiczu *publicyście*, tutaj pono czas i miejsce wypowiedzieć nasze zdanie. Darujmy właściwą, mu oryginalność, że wyraz „*postęp*“ sprawia nam istnie to samo wrażenie, co mucha obsiadająca nozdrza niecierpliwego rumaka. Wszakże i Jan Sniadecki niecierpliwił się podobnie na widok, nie wiadomo nam już, czy *dlugiego*, czy *krótkiego i*. Ważniejszy, zasadniczy a poważny zarzut należy uczynić *publicyście* Łukaszewiczowi, iż nie znał tego, bez czego się człowiek

na żadnym stanowisku, w żadnym położeniu życia obyć nie może, iż nie znał *miłości* i pobożania. Każdy młody człowiek rozpoczynający na jakiembądź polu zawód pisarski, był dla Łukaszewicza, jeżeli specjalnie z pod jego osobistej feruły i patronatu wychodzić nie miał szczęścia, istotą wskazaną, z góry na jego zły humor, cóż dopiero, jeżeli czasem należał do falangi „postępu“! Że Łukaszewicz więcej *umiał* od poczynających niedorostków, było rzeczą naturalną; że lepiej od nich pisał po polsku, nie ulega wątpliwości; że kiedy *oni* grzeszyli frazesowością lub niepoprawnością języka, *on* powiedział im całą prawdę, zasługiwałoby tylko na wdzięczność i uznanie. Gdzie jednakże jego prawo profesorskie się kończyło a gdzie zaczynał wybryk niegodny ani jego nauki, ani jego stanowiska, to gdy, jak się działo w jego polemikach, puszczając rzecz mimo, czepiał się zjadliwie i ze złą wiarą niesympatycznych sobie osób, jak n. p. Moraczewskiego, Berwińskiego, Edwarda Dembowskiego. Wszyscy trzej wspomnieni co dopiero pisarze nie byli ani bez zasługi, ani bez talentu a surowa i ostra choćby, lecz sumienna i akcentem życzliwości nacechowana krytyka, mogła wpłynąć zbawiennie na przyszłość literacką człowieka zdolnego, jakim był niezaprzeczenie n. p. Ryszard Berwiński. Cóż czynił tymczasem profesor i historyk Łukaszewicz? On, który jako autor ongi ód do *złota* czy *głupstwa* nie mógł mieć pretensyi dorównać kiedykolwiek bądź talentowi Berwińskiego, znęcał się nieszlachetnie wprost już nad jego osobą. Edward Dembowski napisał, prawda, że powierzchowną i płytką książkę pod tytułem *Piśmiennictwo polskie w zarysie*, w której rzucił zdawkowy frazes o niedostateczności ustawy 3go Maja dla potrzeb i praw ludu. Łukaszewicz chwytą ze złą wiarą podobne orzeczenie, nazywa autora książki z przekąsem „*Panem Kasztelanikiem*“ i piętnuje go predykatem *Targowczyka*. A przecież tenże sam „*Kasztelanik*“ i „*Targowczyk*“ poległ później za swą wiarę polityczną, która z pewnością wiarą przesądów arystokratycznych i Targowicy nie była. Krytyka pierwszego tomu *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej* Moraczew-

skiego zamieszczona w *Oreǳowniku* nosiła podobny charakter, jakkolwiek autor jéj nie byéby nigdy zdoéłał napisać dzieéła, z jakim Moraczewski, prawda, że duéżo péźniej wystépiéł, *Polska w złotym wieku*. Séłowem, pozostawia polemika *publicysty* Łukaszewicza niesmaczne, drobiazgowé, przykre wréżenie, co tem gorsza, że w obrébie gramatyki i stylu zdrowo i trafnie rozumujécy i karécy profesor, w rzeczach zakres tenéż przechodéjących wcaéle szerokim horyzontem nie świeciéł. Tak np. nie mégéł nigdy rozumieéć „*zawzięcia postépowcéw*“ przeciw ludziom tak czysto i poprawnie jézykiem polskim wéladajécyém, jakimi byli Henryk Rzewuski i Michaéł Grabowski, jak gdyby styl, gramatyka i czystość jézyka byéły *alfé* i *omeégé* kryteriéw wartoéści pisarskiej... Rozwiedliéśmy się szeroko nad polemikéą Łukaszewiczowéą i jéj charakterem, jako nad specyminem opozycyéi, na jakéą się ówczesna prasa „*konserwatywna*“ przeciw „*postépowcom*“ zdobyéć byéła zdolnéą. Niechéaj, komu wola, doészukuje się w niéj *zasadniczych* znamion i niechéaj powie, czy byéła zdolnéą powstrzymaéć lub przekonaéć przeciwnikéw, wywrzeéć wpéływ *zasadniczego* znaczenia na swéą spoéłecznoéć.....

W chwili wéłéśnie owego grupowania się poznaéńskich stronnictw, wpéływu emigracyéi, coraz to bujniejszego rozkwitu literatury poznaéńskiej, nastépiéła (r. 1840) śmierzéć kréla pruskiego Fryderyka Wilhelma III, wraz ze wstépieniem na tron syna jego kréla Fryderyka Wilhelma IV. Zmiana ta tronu w Prusach miaéła na stosunki polityczne, przedewszystkiem jednakéż na rozwój éżycia umysłowego i literatury w Poznaéńskiem, nastépstwa nieobliczonéj wégi. Jeéżli panowanie poprzednie nie byéło zbyt surowe, jeéżli pozwalaéło na jaki taki rozwój narodowego éżycia, nastépiéła pod obecném jeszcze wiéksza jego swoboda. Wréciéł z niewoli Koéłobrzegéskiej do Poznania arcybiskup Dunin; szkoły poznaéńskie zyskaéły szersze prawo uéżywania jézyka polskiego. Co zaéś najwéżniejsza, co miaéło wpéłynéć niezmiernie na stosunki spoéłeczne i éżycie umysłowe poznaéńskie, zostaéła zniesiona konwencya kartelowa miéędzy Prusami a Rosyéą.

Dawniej już, jeszcze podczas trwania owój konwencji, wychodził rok rocznie pewien procent ludności Królestwa Polskiego, bądź to zagrożonej branką, bądź to prześladowaniami politycznymi, do Księstwa Poznańskiego. Władze pruskie patrzyły na podobną emigracją dość pobłażliwym okiem a chwywanie i wydawanie Rosyji osób prześladowanych politycznie, było niepraktykowaną prawie rzadkością. Cóż to dopiero, gdy zniesienie konwencji kartelowej otworzyło wychodztwu drzwi W. Księstwa Poznańskiego na rościę i zapraszało je nieledwie w gościnne jego progi! Dodajmy zarazem, że tego rodzaju względność dla emigracji od „*ściany wschodniej*“, by mówić urzędową naszą terminologią z epoki Sasów, stała się zachętą i jakoby prowokacją emigracji i od „*ściany zachodniej*.“ Od roku 1841 tedy, więcej może jeszcze od r. 1842 widzimy nasamprzód istny strumień emigracji płynący z Królestwa Polskiego do Księstwa Poznańskiego; następnie drugi taki, doborniejszy, obejmujący cenniejsze żywioly i czynniki z Francyi. Oba zaś, jeśli naniósł między innymi dużo mułu i piasku, ileż za to przyniosły także drogiego kruszczu i użyźniającego elementu! Zaczynając od emigracyjnego napływu z Królestwa, składał on się z niezmiernie różnych stanowiskiem społecznym, wykształceniem, wychowaniem, przyczynami wreszcie opuszczenia kraju żywiolów. Począwszy od wieśniaka chroiącego biedne ciało od branki do wojska, skończywszy na skompromitowanych czemkolwiek bądź wobec rządu Mikołajowego redaktorach pism, obywatelach, żołnierzach z roku 1831; począwszy od uczniów szkół w swych zielonych mundurkach, skończywszy na osobistościach podeszłego wieku: wszystko to sypało się nieprzerwanym ciągiem w gościnie otwierające swe podwoje Poznańskie.

Wpływ téj emigracji, pominąwszy jój męty i fusy, bez których się żaden liczniejszy zastęp obyć nie może, był na wszystkie warstwy ludności poznańskiej ożywiającej i pobudzającej natury. Zbyteczną naturalnie rzeczą byłoby powiadać, że cały ten napływ stał się liczebnie i moralnie falangą su-

kursalną, stronnictwa postępowego. Zastęp emigracyjny składający się z warstw niższych towarzyskich wcielił się od razu za dotknięciem ziemi poznańskiej w szeregi rzemieślników poznańskich i rozpoczął pomiędzy nimi propagandę oświaty i patriotyzmu narodowego. Propaganda owa znalazła się praktykowaną, tem zręcznie i umiejętniej, że wielu emigrantów wyższej już inteligencji, małych urzędników, uczniów szkół, synów obywatelskich, bądź to z poświęcenia, bądź w niemożności poszukania sobie innego zajęcia oddawało się po prostu rękodzielnictwu i pracowało u różnych „majstrów“ polskich miasta Poznania.... Miała przecież owa emigracja z Królestwa oprócz chłopów uciekających przed branką, oprócz owęj młodzieży karmiącej siebie i rzemieślników poznańskich literaturą emigracyjną i konspiracją, swoje, jeżeli tak wolno powiedzieć, wyższe piętro, oddziaływające sympatycznie a wpływowo na rozwój życia umysłowego i literackiego w Poznaniu. Jestto, by od najwybitniejszych *tęj* kategorii właśnie postaci rozpocząć, epokę, w której przybywa w poznańskie strony, nie chroniąc się przed politycznymi prześladowaniami może, ani ścigany mściwością Mikołajowego rządu, ale szukający bezpiecznego miejsca dla swoich naukowych prac i publicznej działalności, August Cieszkowski. August Cieszkowski nie należał jeszcze naówczas do literatury ojczystej. Jego *Ojciec nasz*, ów słowiański szczerze system historyzoficzny, wysnuty z codzienniej modlitwy chrześcijańskiego świata, miał ujrzeć dopiero światło dzienne w późniejszej epoce. Przybył przecież Cieszkowski w poznańskie strony po roku 1840, jako już rozgłośny autor *Prolegomenów* do filozofii historii, znakomitego dalej dzieła ekonomiczno-politycznego w języku francuskim *Du crédit et de la circulation*, ze sławą głoszoną przez Mickiewicza z wysokości katedry paryskiego *Collège de France*, gdzie imię jego znajdowało się zestawianem w bliskiej zawsze spółce z imieniem wielkiego myśliciela amerykańskiego Emersona.... Równocześnie, jakaż różnaitość innych jeszcze, nie mniej zasłużonych, wpływowych, odgrywających dłużej lub króćiej rolę swą na poznańskiej widowni osobistości przybywa

naówczas z Królestwa! Zaliczmy do nich młodego wówczas, wstępującego w służbę wojskową pruską Władysława Bentkowskiego, zasłużonego później publicystę i deputata poznańskiego na sejmy pruskie. Zaliczmy dalej do ich grona „excentrycznego, oryginalnego, ale cokolwiek bądź czynnego, obdarzonego zasobem dobrej woli i szczerego patryotyzmu Władysława Wężyka, autora *Podróży po Wschodzie i starożytnym świecie* (zgasłego zbyt rychło w kilka lat później na Szląsku, gdy niósł bratnią pomoc dotkniętym tyfusem), Wężyka, który ucztuje z przybyłym do Poznania Lisztem, błyszczy w świetnem naówczas towarzystwie Poznańskiem, równocześnie zaś pisze artykuły do miejscowych pism poznańskich treści społecznej, krytycznej a co ważniejsza, dokonywa istnego cudu i tworzy Poznaniowi, prawda, że na czas siedmiu miesięcy tylko, wbrew wszelkim trudnościom finansowym i przeszkodom, z roku 1842 na 1843, stałą scenę polską... Postępując dalej w tej lustracyi, spotykamy się tu z zimną na pozór, ponurą, może nawet, lakoniczną a przecież tyle sympatyczną, tyle pociągającą przy bliższem poznaniu postacią Henryka Kamieńskiego, syna generała tegoż imienia, poległego śmiercią bohaterską pod Ostrołęką, autora rozgłośnej swego czasu, noszącej piętno prądów i dążeń owjej chwili książki *Prawdy Żywotne narodu Polskiego*, którą ukończywszy w Poznaniu, wyprawił do drukarni do Brukselli.... Obok niego młody Roland, syn znanego w roku 1831 generała, jeżeli nie sam literat, to krzątający się przecież zabiegłe około literatów i literatury. Dalej Roman Zmorski, rozpoczynający swój zawód poetycki w łamach *Tygodnika Literackiego*, później zasłużony tłumacz poezyi serbskich, naówczas literat *ludoman*, uważający za nieodzowny warunek zewnętrznosci prawdziwego poety długie włosy spadające na ramiona, sękaty kij w ręku, surdut chłopskiego kroju z grubego sukna na sobie.... Jest dalej w tym zastępie przybyłych czy emigrujących z Królestwa, Jan Kazimierz Radecki, jedna z głównych podpór Władysława Wężyka w utworzeniu ojczyściej sceny

poznańskiej, autor wydanej w r. 1843 w Poznaniu, wcale udatnej powieści historycznej z dziejów ostatnich książąt mazowieckich. Jest następnie trochę marzyciel, trochę Towiańczyk, trochę literat, Józef Komierowski, najpoczeiwsza dusza i serce, próbujący na rozmaitych polach zdolności swych pisarz, występujący w r. 1843 w Poznaniu z oryginalnym, fantastyczno-społecznym, mocno niefortunnym dramatem, pod tytułem *August z Kości*. Czyż przepomnieć o ówczesnym pobycie w Poznaniu Narcyzy Żmichowskiej i jej acz przemijającym udziale w niektórych czasopismach poznańskich; przepomnieć też o tylu innych osobistościach z Królestwa, biorących udział w poznańskim życiu umysłowym i jego rozwoju? Najcharakterystyczniejszą, najciekawiej politycznie i psychologicznie wybija się przecież z pośród tła ówczesnej emigracji z Królestwa Polskiego w Poznańskim, oryginalna pod każdym względem, zasługująca na ocalenie od niepamięci postać Edwarda Dembowskiego. Młodzieniec ten, w chwili opuszczenia kraju zaledwie 22 lat liczący, delikatnego zdrowia, jasny, chudy i drobny blondyn, przedstawiający powierzchownością mniej jeszcze lat, niż ich miał rzeczywiście, był jakoby rośliną dojrzalą, nienaturalnie a przedwcześnie w żarze ówczesnych konspiracji i walk partyjnych. Syn znanego dobrze z dziejów Królestwa Kongresowego kasztelana Dembowskiego, majątny, mógł korzystać z życia, jakie daje fortuna, pędzić spokojne dni na łonie rodziny, która go już w jego młodzieńczych otaczała latach. Ognistej jego, gorącej duszy, żywemu umysłowi, wrzącemu miłością ojczyzny sercu, nie wystarczyło przecież podobne życie. Oddał się literaturze i zaczął, niewiadomo już ile lat licząc, wydawać w Warszawie jakiś *Przegląd naukowy*. Rzucił się następnie w wir konspiracji odkrywanych naturalnie, jak inaczej być nie mogło, przez policję rosyjską. Zagrożony uwięzieniem w roku 1843, schronił się w Poznańskie i osiadł w Poznaniu, gdzie go władze pruskie dwa lata przeszło pozostawiały. Usposobienie jak Dembowskiego, nie mogło, dostawszy się zwłaszcza na widownię jaką była naów-

czas Poznańska, wskazać się na rezygnacyjny spokój i milczenie. Nie można dość odżałować, że podobne serce, podobna niezaprzeczone zdolność, podobny zapał dla ojczyznej sprawy, nie miały czasu dojrzeć i rozwinąć się w normalny sposób. Wśród okoliczności za to, jakie towarzyszyły młodzieńczym latom Dembowskiego, mógł zeń wyrosć tylko człowiek zapału i poświęcenia o spaczonych excentrycznymi teoryjami pojęciach, z najszlachetniejszymi, posunionemi do gotowości wszelkich ofiar chęciami, bez koniecznej w jakiembądź działaniu dla sprawy narodowej dojrzałości i rozwagi. Ztąd to tłumaczy się później jego bohaterski podstęp w zdobyciu Wieliczki przez swą własną i jedną osobę, jego szczytny zgon w procesyi wyprawionej z Krakowa na Podgórze, ztąd równocześnie tłumaczą się jego ogłoszenia „*rewolucyi społecznej*“, jego wycieczki w odezwach rządu powstańczego krakowskiego przeciw „*ex-szlachcie*“... Lata i doświadczenie byłyby ten materyał na znakomitego człowieka doprowadziły do równowagi; zbyt rychły zgon w podjętem dziele dopuszcza oceniać go tylko jako wiele obiecujący, fragmentarny pojaw... Edward Dembowski zbliżył się tuż po swem przybyciu do ludzi reprezentujących stronnictwo postępu, do Libelta, do Moraczewskiego, wziął czynny udział w ówczesnej publicystyce tegoż stronnictwa, zaczął pisywać artykuły do *Dziennika Domowego*, z początku także do *Tygodnika Literackiego*, później nieco do *Roku*, o którym wzmianka będzie niżej; stał się, słowem, mimo młodego bardzo wieku i potrzebującego jeszcze dojrzałości ukształcenia literackiego i naukowego, jedną z najwięcej wpływowych postaci ówczesnej publicystyki poznańskiej. Nie dość na tem znalazł wśród nieustannego fermentu, jakim wtenczas wszelkie ruchliwsze żywioły Poznańskiego oddychały, dość czasu do samodzielnej czynności literackiej. Między innemi napisał i wydał r. 1844 w Poznaniu wspomnianą już wyżej *Historją literatury polskiej*, rzecz słabo i pospiesznie wykonaną, odznaczającą się mimo tu i owdzie trafnych rzutów światła, dziwaczną klasyfikacją literatury polskiej na dwie tylko epoki, przed-

Mickiewiczową i po-Mickiewiczową, tudzież na pisarzy „wstecznych i postępowych dążeń”. Pojmijmy, co za gratkę podobna książka „postępowca” Dembowskiego nastęrczała dla surowego profesora, jakim był Łukaszewicz i jakiej się z pod pióra jego doczekała, nie już krytyki, ale chłosty... Prócz tego zdobywa się jeszcze Dembowski podczas swego pobytu w Poznaniu na wydanie zbiorowej książki, pod tytułem *Żywie*, w dobroczynnych celach... Otóż najwybitniejsza w annałach literatury poznańskiej, przynajmniej owej epoki, postać, jaką jej emigracya z Królestwa Polskiego dostarczyła. Będziemy mieli zresztą, jeszcze sposobność pomówienia o niej niżej... Czas teraz obejrzeć się w stronę przeciwną, *zachodnią* i przypatrzeć się strumieniowi emigracyi, mniej może licznej, ale z pewnością nie mniej *wpływowej*, w dziedzinie literatury zwłaszcza, przybywającej Poznańskiemu z Francyi lub jakiejbądź innej, pozakrajowej obczyzny. Trzymając się przedewszystkiem dziedziny literackiej, nie mówmy o przybywających tu i przebywających ciągle prawie i nieprzerwanie emigracyjnych, nietylko już konspiracyjnej centralizacji Towarzystwa demokratycznego, ale wszystkich niemal istniejących naówczas odcieni politycznych emigracyi. Każdy z nich ma dłużej lub krócej swego reprezentanta gościem w Poznańskiem. *Towarzystwo Demokratyczne* Mierosławskiego, Tomasa Malinowskiego, Henryka Jakubowskiego, Teofila Wiśniowskiego, Alcyatę, Józefa Wysockiego; *Zjednoczenie* powsta z roku 1831 Chelmskiego, Henryka Nakwaskiego, Wincentego Tyszkiewicza; stronnictwo księcia Adama Czartoryskiego czyli „*3 Maja*” samegoż syna jego Witolda, zastęp katolicki Stefana Witwickiego i księdza Semenę. Jakby dopełniając kompletu wszelkich żywiołów emigracyjnych, pojawiają się wówczas, prawda, że w przelocie jakoby tylko na ziemi poznańskiej słynny Adam Gurowski i książę Światopełk-Mirski, pierwszy, aby wyzwawszy z powodu obrazy, prezesa policji poznańskiej Minutolego zyskać na jego żądanie ze strony grona obywateli poznańskich certyfikat, że renegatowi sprawy ojczystej nie służy prawo ża-

dania honorowej satysfakcyi. Ograniczając się na tój pobieżnej nomenklaturze osobistości politycznego i partyjnego charakteru, zatrzymajmy przez chwilę uwagę na kilku przybyłych z zachodu osobistościach z emigracyi, które zaważyły współcześnie w literaturze poznańskiej. Do takich zaliczmy przedewszystkiem Lucyana Siemieńskiego, który przybywa r. 1843 w Poznańskie i osiada w gościnnie sobie ofiarowanym domu Seweryna Mielżyńskiego w Miłosławiu. Lucyan Siemieński, pisarz naówczas związany ściśle z ludźmi postępu i dążnościami ruchu, w bliskich stosunkach z Libeltem, Moraczewskim, może i z Dembowskim, daleki od zwrotu jeszcze, jaki później w jego pojęciach, przekonaniach i działalności literackiej nastąpił, bierze od razu żywy udział w publicystyce i życiu literackiem poznańskim. Liczne jego powieści, studia krytyczne, poezye, wszystko nacechowane prądami owej chwili, pojawiają się w *Tygodniku Literackim*, przedewszystkiem jednakże w *Dzienniku Domowym* z lat 1844 i 1845. Po za tym udziałem we współczesnej publicystyce poznańskiej, pisze Siemieński i wydaje osobno w Poznaniu swe *Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie*, następnie niezrównane swe, zaszczycone i rozpowszechnione tylu wydaniem po całej Polsce *Wieczory pod Lipą, Muzamerit* czyli dwa tomy powieści będących po większej części przedrukiem z *Dziennika Domowego*, wreszcie z rękopismów biblioteki Kurnickiej *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim...* Równocześnie wchodzi Siemieński w stosunek z redakcją zachowanego *Ozędownika*, która go ceni jako piękne i poprawne pióro i drukuje tutaj w roku 1845, jak nadmieniono wyżej, swą pierwszą próbę przekładu *Odysei*. Obok Lucyana Siemieńskiego przedstawia nam się inna, również upamiętniona w annałach ówczesnej literatury poznańskiej, również znana i rozgłośna osobistość, jakiej nam emigracya zachodu dostarczyła, doktor Teodor Teuthold Tripplin, ów głośny, żywy, pełen ciekawych opowiadań w rodzaju szambelana Dzierżanowskiego z epoki Stanisława Augusta, świecący się, pożądany we wszystkich Towarzystwach i zebraniach poznańskich Tripplin.

Trzebaż było Poznańskiemu zaszczytu, aby i *on* rozpoczynał swoją Sindbadową, liczącą tyleż niemal zawodów, co powodzeń karierę literacką na *wielkopolskiej* widowni! Uwięziony w Styczniu 1844, jak bardzo wielu innych wychodźców z Królestwa i Francji, osadzony pod łagodną strażą ówczesnego prezesa policji Minutolego, ze swobodą opuszczania swojej klatki przez dzień, ile razy mu się podobało, korzystał ze spokoju niezbyt uciążliwej klauzury, by napisać *Podróż doktora T. T. Tripplina po Danii, Szwecji i Norwegii*, która wyszła w Poznaniu r. 1844 w sporym tomie nakładem firmy Stefańskiego. Autor, który zapewne dla odświeżenia własnych wrażeń zebranych na miejscu, miał na stoliku swęj więziennej celi dzieło jakiegoś francuzkiego podróżnika, jakąś *Voyage en Norvège*, rozpoczynał skromnie, jak ptak młody doświadczający sił lotu. Nie odlatywał daleko, trzymał się przeciwległego brzegu naszego domowego jakoby Bałtyku, opowiadał żywo i zajmująco. W późniejszych dopiero opisach podróży, które już z widownią i firmami poznańskimi nie wspólnego nie mają, puścił się do Francji, Anglii, Portugalii, Marokko i kraju Berberów, by wreszcie, nie skończywszy i na tem, wznieść się w nadziemskie sfery w *Maskaradzie w obłokach...* Zapomnieć-że skoro już o napływie zachodniej emigracji w Poznańskie mowa, o wizycie w Poznaniu r. 1844 pocziwego filozofa Trentowskiego, wówczas już autora licznych dzieł treści filozoficznej, drukujących się wyłącznie prawie w Poznaniu, o których niżej jeszcze będzie mowa, gorliwego współpracownika większej liczby ówczesnych czasopism poznańskich? Biedny Trentowski nie miał w Poznaniu powodzenia. Wystąpił w obec licznie zgromadzonej na wielkiej sali Bazaru z prelekcją trochę nieokreślonej dążności a mniej jeszcze sformułowanej treści, w której między innymi zaczął apoteozować kreacyą państwową Fryderyka II. Zbyteczna byłoby powiada co to znaczyło, wówczas zwłaszcza, chwalić wobec Poznańczan podobne dzieło. Wystukano i wyświstano jego wykład a po tem niepowodzeniu wobec swoich, kazała mu w dodatku i miejscowa władza

policyjna opuścić Poznań... Niezby jeszcze z owęj epoki można przypomnieć, zmartwych wzbudzić mniej rozgłośnych, mniej znanych osobistości z jednéj i z drugiéj emigracyi, osobistości i postaci, z których każda dorzuciła grosz wdowi do skarboxy życia umysłowego w Poznańskiem, przyczyniła się do jego rozwoju i rozkwitu!

Długi ten, bardzo może długi nawias był potrzebny do zrozumienia ducha i charakteru ruchu literackiego w Poznańskiem, jeżeli dziejów literatury i umysłowości jakiegobądź społeczeństwa nie chcemy sprowadzić do skromnéj funkcji bibliograficznego spisu. Uprzytomnijmy sobie potem, cośmy powiedzieli dotąd, obraz owęj epoki około pamiętnego roku 1840. Od spodu niedostrzegalnie wpływ emigracyjny, nurt konspiracyjny. Konspiruje młodzież szkólna, konspirują rzemieślnicy, żywią się publikacyami emigracyjnemi, żyją fermentem, który jest w powietrzu. Na pierwszym planie obrazu dwa przeciwne nibyto sobie, ale uzupełniające się nawzajem obozy, falanga dwóch dzieci ludu: Libelta z jednéj, Marcinkowskiego z drugiéj strony, obu ludzi szlachetnego serca i wysokiéj umysłowości, nie *klóćących* się, lecz *pracujących* każdy w swoim kierunku. Równocześnie ów napływ dwustronnéj emigracyi, szeregującej się z małemi wyjątkami około chorągwi „*ruchu*“ czy „*postępu*.“ Osamotniony, ekscentryczny mimo wszelkich zasług Edward Raczyński ze swym *Orędownikiem*, ze swym *Przyjacielem Ludu*, nie umiejący czy nie chcący się porozumieć z konserwatyzmem autoramentu Marcinkowskiego, nie zdołał zrównoważyć wpływu i znaczenia ludzi i dążności ruchu. Wśród niewoli kraju pod panowaniem Mikołaja, wśród milczenia Galicyi, wśród przymusu ciężącego na Krakowie z łaski policyi trzech opiekuńczych mocarstw, stają się Poznań i Poznańskie, nie wiele inaczej prawie od emigracyi uprzywilejowaną, centralną jakoby widownią obecności nie tylko już *ludzi* wszystkich stron Polski, ludzi najrozmaitszych przekonań, dążności i wyobrażeń, ale, co ważniejsza może w ocenieniu charakteru i znaczenia ówczesnéj

literatury poznańskiej, uprzywilejowaną, chwilowo widownią neutralnego spotkania wszelkich namiętności, dążeń, prądów i stronnictw, na jakie się cała ówczesna Polska dzieliła i jakie się w niej pojawiały. *Poznańskie* nie jest wtenczas duchowo i politycznie *samem sobą* tylko a podobnie jak emigracya krystalizuje w sobie moralnie *całą* społeczność krajową, streszcza w sobie jój ducha, przestaje być owem nie wiele znaczącym i ważącym terytoryalnie szmatkiem Polski, przemawia, myśli i pracuje w jój zbiorowem imieniu. Otóż co nadaje literaturze poznańskiej z owej epoki wagę i znaczenie przenoszące o wiele obszar widowni, na której wykwitła...

Wśród owej względnej swobody, jaka nastąpiła dla Poznańskiego za wstąpieniem na tron króla Fryderyka Wilhelma IV, wśród owego dodającego nowych sił i otuchy napływu żywiołów polskich z innych stron kraju i z obczyzny, wśród dziwnie podniosłego nastroju ducha polskiego, jaki wówczas w Poznańskim panował, cóż naturalniejszego jak że i miejscowe elementa poczuły się do obowiązku i potrzeby nowej pracy w narodowej myśli i narodowym kierunku? Równocześnie niemal, kiedy zacny Marcinkowski tworzy Towarzystwo Pomocy Naukowej, zakłada *Bazar* jako pierwszą próbę mającego się odrodzić czy zrodzić handlu i przemysłu polskiego, zabierają się reprezentanci odmiennego kierunku do pracy w obrębie swojej, *naukowej* specjalności. Dwom z nich należy się tu wzmianka: Karolowi Libeltowi i Jędrzejowi Moraczewskiemu. Wspomnieliśmy już o pierwszym, jako człowieku kierunku politycznego; tutaj mówimy o człowieku nauki i publicyście. O ile Libelt, o którego dziełach filozoficznych niżej jeszcze pomówimy, był w nich *oryginalnym*, o ile, jak w *Dziwicy Orleańskiej* z dzieł Michelsta i Görresa, tak w pracach swych filozoficznych, *Filozofii i Krytyce, Estetyce* czyli *Umnictwie pięknem*, korzystał między innymi z Hegla i *Aesthetische Briefe* Teodora Mundta, nie będziemy tutaj rozbierali. W czem natomiast ma niezaprzeczoną, wielką a jak na polskiego uczonego wielce *oryginalną* zasługę to, iż zdobytki wiedzy *obcój* umiał

zużytkować dla *własnej*, że był niezrównanym popularyzatorem nauk filozoficznych między Polakami, że im umiał nadać narodowy koloryt, że je umiał ogrzać narodowem, serdecznem ciepłem, że wreszcie we wszystkich swych studyach i pracach filozoficznych, istnie z zapalem i zabiegłością Kolumba szukającego Ameryki, odszukuje idei polskiej i możności zbudowania osobnego systemu filozofii słowiańsko-polskiej. Taki człowiek był stworzony do zadania, które podjął a podjął z poświęceniem sił i czasu, sam nie bez troski o chleb powszedni, wskazany zdobywać go uciążliwą pracą. W Kwietniu roku 1841 rozpoczyna w wielkiej sali ówczesnego gmachu gimnazjum Śtój Maryi Magdaleny szereg wykładów o *Literaturze Niemieckiej*. Byłto rodzaj, jeżeli, tak wolno powiedzieć, *organicznej* propagandy na ówczesne społeczeństwo poznańskie, nowość niesłychana dla Poznania i Poznańskiego, nowość tem ponętniejsza, że jak Poznań Poznaniem, publicznych, naukowój treści, w gorąco-patryotycznym duchu wykładów nie słyshał, że osoba mówcy pociągała zacnością, charakteru i urokiem doznanych cierpień, że wreszcie sam wykład był świetny pod względem języka i formy, podbijający interes i uwagę słuchacza artystycznie obmyślaną i opracowaną treścią. Odczyty te a lepiej powiedziawszy wykłady, ściągały niezmiernie liczny, jak na poznański obszar i stósunki zastęp publiczności. Osoby starsze, płeć piękna, młodzież szkolna, miejscowi, przybyli z prowincyi, wszystko to znalazło się reprezentowanem. Treść wykładów o literaturze niemieckiej Libelta nie ograniczała się tak ściśle na zakresłony z góry i objęty podobnym tytułem przedmiot. Ze wzrokiem zwróconym na dzieje, na historyczny rozwój literatury niemieckiej, na charakterystyczne jój epoki i wybitne postacie, obejmował przecież profesor swem opowiadaniem sztukę niemiecką, muzykę i malarstwo, co najważniejsza zaś, nie zapominał nigdy o podstawie, z której wychodził, o celu, do którego dążył. Obok owój *literatury niemieckiej*, znajdowało się miejsce i dla dziejów oświaty polskiej; Nibelungi nie zajęły tak znacznego w wykładzie Libelta obszaru, aby się

w nim nie była miała znaleźć wzmianka o początkach oświaty w Polsce, o pierwszym śladzie piśmiennego języka polskiego w hymnie *Boga-Rodzica*. Minnesångery i Meistersångery pozwoliły również *nie* zapominać tak zupełnie o Janie z Czarnolesia czy Mikołaju Reju; Schiller i Göthe dali tem pożądańszą sposobność wspomnieć o Mickiewiczu i o rozkwicie literatury ojczystej w XIX wieku, Mozart i Weber niemiejszą sposobność oddania czci Chopinowi. Na publiczne prelekye o literaturze *polskiej* nie byłaby może pozwoliła ówczesna władza mimo swój względności, zwłaszcza znajdującemu się jeszcze jakoby pod interdyktem Libeltowi; pod firmą literatury *niemieckiej* dał się podobnie zakazany towar łatwiej w publiczność *przemycić*... Wrażenie tych wykładów, trwających z wyjątkiem latowych ferii do 1go Października 1841 roku a więc całe półrocze, było niezmierne, ożywiające i rozbudzające niemniej ówczesną prasę, jak publiczność poznańską. Co zaś należy uważać za najzbawienniejszy ich skutek, to, że wywołały swym przekładem naśladowanie na bardzo obszerną, jak zaraz zobaczymy, skalę. Potrącając o ten przedmiot, wypadnie nam się zapoznać bliżej z osobą Jędrzeja Moraczewskiego, nie jako historyka, którego sobie chowamy na później, ale raczej jako publicysty i *agitatora*, jeżeli wolno tego wyrazu w obecnym przypadku użyć, na polu nauki. ~~Jędrzej~~ Moraczewski, urodzony roku 1802 w Poznańskim, uczeń szkół poznańskich i kaliskich, później uniwersytetów w Lipsku i Berlinie, rozpoczął rzecz dziwną, zawód swój pisarski podobnie, jak jego adwersarz polityczny i dziejopisarski Łukaszewicz — od poezyi. Pierwszy ślad jego czynności literackiej znajduje się w *Przekładzie Tybulla*, wydanym w Poznaniu r. 1827. Przed rokiem 1830, czyli raczej aż do tego roku, przebywa w Warszawie i jest współpracownikiem wydawanego wówczas pod redakcją referendarza Chłędowskiego *Dziennika Powszechnego*. Za wybuchem powstania listopadowego został przez Rząd narodowy wysłany do Niemiec w celu zakupu broni i pozyskania prasy niemieckiej dla sprawy polskiej; wróciwszy do kraja

w miesiącu Czerwcu, wstąpił do oddziału strzelców pułkownika Grotuza i odbywał resztę kampanii w korpusie generała Samuela Różyckiego a więc razem z Libeltem. Już po wzięciu Warszawy, w bitwie pod Pińczowem, dostał się ranny w głowę do niewoli rosyjskiej, z której szczęśliwie uciekwszy, przeniósł się na stały pobyt w Poznańskie. Była to natura niezdolna istnieć bez pracy i czynności w najrozmaitszych kierunkach. W Moraczewskim dwóch ludzi rozróżnić należy: *uczonego* archeologa, organizatora towarzystw starożytniczych, agitatora na polu naukowym; następnie *człowieka* politycznego, wyznającego nibyto bardzo skrajne teorie i podzielałego wszelką dążność ludzi ruchu, przenoszącego choć w skromnej bardzo dziedzinie teorie te i dążności w dziedzinę zależnej od siebie publicystyki. Ów rewolucjonizm i konspiracyjność Moraczewskiego nie mają przecież zbyt niebezpiecznego charakteru. Teorie te pozostają nieszkodliwą własnością jego wnętrza lub co najwięcej, otaczającego i słuchającego jego pogawędek kółka. W gruncie rzeczy zaś było to skromna, pracowita, nie mająca ani potrzeb, ani namietności, stworzona jakoby na uczonego natura, która się na pole praktycznej polityki puszczać nie umiała i nie była powinna. Powolny, pracowity, mówiący cieniem choć wyraźnym głosem, nie wskazywał choćby już samą zewnętrzną trybuną ludu; spiskowcem zaś, w Poznańskim przynajmniej, nigdy nie był. Ówczesna konspiracja, poznawszy się na nim, jako na *teoretycznym* jedynie tylko swym sprzymierzeńcu i współwyznawcy, pominęła go w swem tajemnym działaniu. Główna też jego i prawdziwa zasługa datuje się z pola literackiego i naukowego. Wspomnieliśmy już wyżej o czynnym jego udziale we wszystkich niemal wychodzących naówczas czasopismach poznańskich, *Przyjacielu Ludu*, *Tygodniku Literackim*, *Dzienniku Domowym*; wspomnieliśmy co dopiero o związaniu i organizowaniu towarzystw starożytniczych, z którymi się łączyły czytelnie powiatowe, tworzące istne ogniska światła i wzajemnego pouczenia dla całej prowincyi w duchu narodowym. Jakby stworzony do tego rodzaju właśnie pracy i do *takiej*

agitacyi Moraczewski, zabrał się z siłami i zasobami, jakie na miejscu w Poznańskim znalazł, posługując się pomocą i współpracownictwem swego brata Romana i Emila Kierskiego, późniejszego redaktora kilku czasopism poznańskich, do opracowania encyklopedyi rzeczy i dziejów polskich, której dwa obszerne tomy pod tytułem *Starożytności Polskie porządkiem abecadlowym ułożone*, ujrzały świat w Poznaniu roku 1842 i 1852. Po większej części były wszystkie ważniejsze i obszerniejsze artykuły kreślone jego piórem. Zgromadziwszy wielkimi zabiegami i większym jeszcze kosztem bardzo znaczną bibliotekę, wziął się około r. 1840, przeniósłszy się ze wsi do Poznania, do napisania swych dziejów Rzeczypospolitej Polskiej, co mu nie przeszkadzało przecież, widocznie pod wpływem i wrażeniem przykładu Libelta, podjąć ku nauce publiczności miejscowej podobnego, z dziedziny własnej specjalności zadania. Z miesiącem Październikiem roku 1841 rozpoczyna Moraczewski w pałacu Działyńskich raz w tydzień szereg odczytów *O dziejach słowiańskich i polskich aż do końca XV wieku*. Prelekcye te, traktując co się tyczy *Polski* przedmiot objęty wydanym później w Poznaniu r. 1842 pierwszym tomem jego *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*, wciągały w swój zakres współczesną historją innych narodów słowiańskich, Rusi, Czechów, Morawian, Łużyczan i Słowian nadelbiańskich. Ponieważ o Moraczewskim, jako o historyku, pomówić nam przyjdzie niżej, powiedzmy tutaj tylko o odczytach owych, jako środka rozbudzenia życia naukowego i narodowego w Poznańskim, iż osiągały wybornie swój cel i zgromadzały liczną publiczność w sali pałacu Działyńskich, ile razy dobry jęj, sympatyczny i lubiony ogólnie znajomy „*Pan Jędrzej*,” wstępował na katedrę i rozpoczynał cienkim swym, ale dobrze dosłyszalnym głosem wykład czy to o Obotrzytach ginących pod żelazem Henryka Lwa, czy o państwie Morawkiem upadającym pod ciosami sprowadzonych przez zawiśc Arnulfową Madziarów, czy o Nestorowych Derewlanach i Krzywiczanych, czy o początkach rodzącej się między Wartą a Wisłą Polski...

Co najlepszym, najdobroczynniejszym tegoż wystąpienia Moraczewskiego skutkiem, to, że wywołuje piękne i szlachetne, użyteczne dla oświaty poznańskiej współzawodnictwo. Libelt pociągnawszy własnym przykładem do podobnegoż wystąpienia Moraczewskiego, ulega z kolei rzeczy jego znów przykładowi. Ledwo tedy „Pan Jędrzej“ zdołał zająć swój „wtorek“ w pałacu Działyńskich odczytami o *Dziejach Słowiańszczyzny i Polski*, uprasza sobie w nim Libelt „swoją sobotę“, by rozpocząć szereg wykładów o *Estetyce*, wykładów zapelniających regularnie salę do ostatniego jój zakątka. Wykłady te, służące za podstawę dziełu wydanemu w Poznaniu pod tytułem *Estetyka czyli Umnictwo piękne* (1844), cdznaczały się wszystkimi przymiotami właściwemi profesorowi; piękną i ozdobną formą zewnętrzną, dziwną umiejętnością popularyzowania nauki; wreszcie owem serdecznem, narodowem ciepłem, przetapiającem ze szczególną zdolnością obcy kruszec na rodzimą i rodzimie wyglądającą monetę narodową.... Przykład Moraczewskiego i Libelta wywołuje czynność i dobre chęci innych jeszcze ludzi nauki. Doktor Teofil Matecki, jeden z najuczestniejszych i najwięcej wziętych naówczas lekarzy poznańskich a mianowicie jeden z najwierniejszych adeptów Marcinkowskiego, obiera sobie jakiś „czwartek“ w sali pałacu Działyńskich, by rozpocząć szereg wykładów o fizyce i chemii.... Excentryczny może i fantazyjny, ale uzdolniony a nadewszystko bardzo szczerze i gorąco po polsku czujący adwokat Jakób Krauthofer wynajduje jeszcze jakiś „piątek“ czy „poniedziałek“ dla pomieszczenia swych, powiedzmy nawiasowo, najmniej ciekawych i najmniej uczęszczanych wykładów o *Encyklopedyi i metodologii prawa*.... Stworzył się w ten sposób i zaimprovizował sam z siebie, jedynie tylko skutkiem dobrej woli kilku ludzi zdolnych i uczonych, dzięki dalej usposobieniu ówczesnej publiczności poznańskiej z roku 1841 na 1842 rodzaj naukowej wszechnicy w Poznaniu. Libelt byłby mógł być ozdobą każdego niemieckiego uniwersytetu; Moraczewski nie ustępował z pewnością profesorom zagranicy mającym imię i urzędowe naukowe

stanowiska; Matecki mógł jako fizyk i chemik iść bezpiecznie w zawody choćby nawet z berlińskim Dovem; co się zaś tyczy Krauthera, ilużto mamy w Niemczech profesorów uniwersytetu, którzy nie odznaczając się mimo nauki świetnością i potoczy- stością wykładu, są wielce zadowoleni, gdy im się na kolegium uda zgromadzić choćby najskromniejsze grono „panów komilito- nów.“ Sam fakt podobnego pojawu w mieście, jak Poznań, nie szczególnie wielkiem, mocno mieszanój ludności, niechaj będzie miarą życia umysłowego, jakie się tu rozwinęło, zapалу około jego utrzymania, ofiarności i poświęcenia ówczesnych ludzi nauki, dobrych i serdecznych chęci społeczeństwa. Odczyty owe trwają przez rok 1843, cieszą się ciągle tym samym, żywym udziałem publiczności. Chwila owa, pełna gwaru, ruchu, gorąco i spiesznie pulsującego życia w Poznańskim, jest za- razem datą podjęcia nowój, najwybitniejszej może i najpowa- żniejszej z wszystkich dotychczasowych publicystycznej próby. Jesteśmy naszym opowiadaniem, nie mogącem się z natury rzeczy i przedmiotu trzymać od dnia do dnia chronologicznego porządku w miesiącach zimowych z r. 1842 na 1843. Wspomnieliśmy już o ówczesnych przeciwieństwach partyjnych w Poznańskim, o konserwatyzmie i kierunku prac organicznych z jednej, o stronnictwie ruchu i postępu z drugiej strony. Stwierdzić należy prawdę faktu, że w tej chwili właśnie tak silna liczebnie i wpływowo w życiu, druga z pomienionych partyi niema właściwie swego poważnego, odpowiedniego swemu znaczeniu i stanowisku organu. „Postępowe“ nibyto czasopismo *Tygodnik Literacki* znajduje się wówczas w stanie literackiego upadku, w stanie co gorsza moralnego dyskredytu. Za po- ważny organ poważnych ludzi i poważnej partyi uchodzić nie może. Klóci się do ostatecznego zgorzenia z Łukaszewiczem, który mu oddaje piękném za nadobne, popada w niesmaczną ludomanię, deklamacyjną frazesowość, szarpie raz po raz z kolei i według fantazy bądźto Edwarda Raczyńskiego, bądź Marcin- kowskiego, bądź Moraczewskiego, bądź Dembowskiego nawet... *Dziennik Domowy*, redagowany z taktem i przyzwoitością,

odznaczający się doborem artykułów wychodzących z pod najstynniejszych wówczas piór w kraju, jest przecież tylko pismem beletrystycznym, do tego pismem mód z kolorowaną „robą“ w dodatku. Trudno trochę było w *jego* łamach właśnie chcieć przemawiać w imieniu zastępu i ludzi mających za przedmiot swych dążeń i roztrząsań najwyższe zagadnienia z dziedziny bieżącego życia narodowego. Następstwem tych bardzo naturalnych refleksji i potrzeb był pomysł wydawania nowego, poważnego czasopisma w duchu „postępowym“, w formie godnej zadania, przyzwoitej, unikającej gorszących polemik a przecież śmiało i jasno zasady wypowiadającej. Pomysł ten zrodził się w głowie Libelta i Moraczewskiego razem a wszedł wkrótce w wykonanie. Moraczewski jako właściciel drukarni i księgarni stał się naturalnym jakoby redaktorem, organizatorem i opiekunem mając go wychodzić pisma, przez co bynajmniej nie mamy zamiaru twierdzić, aby go nie był miał wspierać i to wspierać bardzo skrzętnie i skutecznie pracami własnego utworu. Libelt zaś miał się stać swem pięknem, gorącym, pociągającym czytelników piórem, główną podporą i ozdobą nowego pisma. Z rokiem 1843 zaczyna wtedy wychodzić w Poznaniu pod znaną publiczności dobrze, rozgłosną a tyle sympatyczną jej firmą Libelta i Moraczewskiego, czasopismo miesięcznymi poszytami, pod tytułem *Rok pod względem oświaty, przemysłu i wypadków czasowych*. Pismo to, wychodzące co miesiąc w pięć do sześćoarkuszowych poszytach, należy uważać za najdoskonalszy specymen sztuki, wiedzy i zdolności propagandystycznej, na jaki się ówczesny zastęp ruchu i postępu w dziedzinie publicystycznej zdobył. *Rok* był redagowany bardzo dobrze; coby mu może tylko nie tyle zarzucić, ile raczej, coby w nim wytknąć należało, to zupełną prawie nieobecność beletrystycznego i dziejowego żywiolu. W pojawie podobnym widzimy nie małą szkodę dla powodzenia jakiegobądź, byle nie technicznego naturalnie czasopisma. *Belletrystyka* jest nieodzownym warunkiem do wyrobienia sobie koła czytelników pomiędzy młodzieżą i picią piękną; *historia*

jest koniecznością, w tego rodzaju piśmie, u nas zwłaszcza, jako żywa nić wiążąca terażniejszość z przeszłością, jako przedmiot nauki tem niezbędniejszej, im więcej utrudnionej w publicznem wychowaniu młodzieży naszej. Otóż niedostatek podobny jest widocznym na pierwszy rzut oka w kolumnach tak znakomicie zkadynąd redagowanego *Roku*. Jestto *czasopismo* poświęcone terażniejszości tylko, terażniejszym potrzebom, obecnym zadaniom i zagadnieniom. Są w nim na porządku dziennym przedmioty treści politycznej, tak własnej, jak zagranicznej, rozprawy treści społecznej, ekonomiczno-politycznej, krytyki; zrzadka tylko zdarza się rzecz treści historycznej, pióra Moraczewskiego przedewszystkiem; beletrystyka odzywa się tylko za pośrednictwem krytyki. Pod tym względem dość wspomnieć znakomite studjum bezimiennego autora *O stanowisku autora Irydiona w poezji polskiej*... Ku scharakteryzowaniu treści i kierunku pisma przytoczmy po kilka przynajmniej z rozmaitych działów *Roku* rozpraw, odznaczających się, każda z osobna, wielką powagą w traktowaniu rzeczy, umiarkowaniem w formie, przy stanowczości zasad i niezaprzeczoną znajomością rzeczy. Do takich zaliczymy n. p. artykuły *O ministeryum Peela*, *O rewolucyjnych poruszeniach we Włoszech*, *O dążnościach madziarskich*, *O Irlandyi*, *O nowoczesnym Jezuityzmie we Francyi*. Libelt zasiliał *Rok* znakomitemi studjami treści filozoficznej, jak n. p. *Wyobrażenia jako duchowy pierwiastek kształtowania*, *O postępach w filozoficznem pojmowaniu Boga*, *Charakterystyka filozofii słowiańskiej*, w której badając warunki tworzenia systemów filozoficznych wogóle, przychodzi do rezultatu, iż narody słowiańskie, z pośród nich zaś przedewszystkiem *polski*, posiadają moralne, dziejowe i społeczne przymioty do wydobycia z głębin swego ducha a nadewszystko serca, nowego osobnego systemu filozofii *słowiańsko-polskiej*. W *Roku* także mieszczą się owe dwie pomnikowe rozprawy narodowo-społeczno-polityczne Libelta, najlepsze może z wszystkiego, co napisał, istne zmartwychpowstanie każącego o *Miłości ku Ojczyźnie*

Skargi w innej postaci, w odmiennej formie, wśród zmienionych warunków czasu i okoliczności, rozprawy *O miłości Ojczyzny, O odwadze cywilnej...* Ludwik Zejszner przesyła do *Roku* studium *O góralach tatrzańskich*; z pośród rzadkich artykułów treści historycznej Moraczewskiego zasługuje na uwagę rozprawa *Włóścianin polski ze względu historycznego, statystycznego i politycznego*. Leszek Dunin Borkowski zamieszcza w *Roku* satyrę pod tytułem *Co mówią o parafianstwie*. Nauki przyrodzone znajdują tu także swe uwzględnienie. Mianowicie zwrócił na siebie swego czasu uwagę artykuł, jeśli się nie mylimy, pióra doktora Teofila Mateckiego pod tytułem *Najnowsze odkrycia elektro-magnetyczne, z zastosowaniem ich do sztuki lekarskiej...* Widzimy także w gronie współpracowników *Roku* wspomnianego przez nas wyżej Edwarda Dembowskiego. Być może, iżby się co do jego osoby była przydała nieco troskliwsza kontrola tyle wytrawnej zkadinał redakcyi. Występując z podobną uwagą, mamy szczególnie na myśli rozprawę Dembowskiego *O literaturze polskiej w ciągu roku 1842*, rozprawę odznaczającą się wszystkimi przymiotami gorącego serca, wszystkimi wadami gorączkowego pisania i gorączkowych poglądów autora, rozprawę dostarczającą Łukaszewiczowi w *Orędowniku* materiału do nieskończonych przeciw autorowi i redakcyi *Roku* wybieczek... Ogarniał nadto *Rok* swą publicystyczną działalnością, wszelkie objawy literatury i umysłowości polskiej, zdawał np. troskliwie sprawę z prelekcji Mickiewicza, utrzymywał dokładnie kronikę bibliograficzną polską... Dążność *Roku*, jakto już zresztą wyżej mieliśmy sposobność zauważyć, jest tem, co się wówczas nazywało *postępową*. Pismo jest redagowane w duchu ówczesnych liberalnych społecznie i politycznie pojęć i przekonań; artykuły czy to o poruszeniach rewolucyjnych we Włoszech, czy o dążeniach madziarskich, czy o Słowianach pod panowaniem tureckim, czy o nowoczesnym Jezuityzmie we Francyi, noszą cechę owego panującego naówczas w opinii publicznej europejskiej szczerego

i uczciwego liberalizmu, którego miano szańbić a pojęcie skrzywić i sfalszować miało być dopiero rzeczą i dziełem posługujących zwyciężkiemu absolutyzmowi późniejszych epigonów. Rozprawy o *Odwadze cywilnej* i *Miłości Ojczyzny* wypowiadały narodowej społeczności dla niej aż nazbyt zrozumiałe stanowisko redakcyi i dążność pisma w obrębie domowego gniazda. Mimo to przecież, jak już także mieliśmy sposobność zauważyć wyżej, nie jest *Rok* pismem polemicznym, kieruje się niesłychanem, bezprzykładnem może w annałach późniejszej, nowszej zwłaszcza publicystyki umiarkowaniem, traktuje rzecz, nie czepiając się ludzi, unika widocznie wojny z wywołującym go do niej nieustannie *Orędownikiem*. Co ważniejsza a na co baczną w interesie charakterystyki ówczesnych prądów, ludzi i stronnictw uwagę zwrócić należy, to na stosunek i postawę czasopisma, jak *Rok*, względem kierunku i ludzi odmiennego dążenia i innych przekonań. Uwaga ta obraca się tylko na niespożyty zaszczyt obu a stwierdza zarazem, cośmy powiedzieli wyżej o szlachetnym charakterze antagonizmów politycznych i społecznych owej epoki. *Rok* jest pismem Libelta i Moraczewskiego; wyobraża mniejsza już, że *postęp*, pojęcie natury ogólnej i uniwersalnej, ale, co więcej, wyobraża ideę *ruchu* na zewnątrz. Marcinkowski ze swą działalnością, na polu prac organicznych wyobraża kierunek jeżeli nie przeciwny zasadniczo, to z pewnością odmienny w środkach. Jakże przecież przemawia *Rok* o Marcinkowskim przez usta czy z pod pióra jego „antagonisty“ Libelta? Posłuchajmy, bo warto, jak Libelt mówi w *Roku* z r. 1844 o założonem przez Marcinkowskiego *Towarzystwie Pomocy Naukowej*: „Podniesienie ludu do siebie przez oświatę i swobody społeczne, oto świetny cel, który zabłysł w duszach szlachetnych. Potęgi nieba błogosławią temu celowi, a potęgi złego ukorzyć się przed nim muszą. Co do nas, są to promienie konstytucyi 3go Maja, ale już przez przezroczywszy przechodzące środek i nie łamiące się w grubym materyale przesądu. Chcieli ówczasnie prawodawcy podnieść lud do siebie

przez przyjmowanie coroczne pewnej liczby osób zasłużonych w poczet szlachty; dzisiejsi kierownicy opinii podnoszą go do siebie przez oświatę z obowiązku ciążącego na każdym, kogo czy los, czy talenta, czy praca wyżej postawiły. Ten święty obowiązek wypełnia Towarzystwo Naukowej Pomocy, którego pierwszy statut zapowiada wydobywanie z mas ludu zdatnej młodzieży. Obrócić ją na pożytek kraju, dając pomoc i stosowny kierunek jej wykształceniu, jest celem zawiązującego się Towarzystwa. Myśl to wielka, świetna, w błogie owoce płodna, bo przyczynia narodowi wszystkie te bogactwa moralne i umysłowe, które dotąd niszczały bezużytecznie, odepchnięte od serca narodowego, przyciśnione uciskiem, okryte pogardą. Towarzystwo pomienione jest kopalnią, tych moralnych kruszców, w łonie ludu ukrytych. Wielkie dzieło rokuje obfitsze plony, niżeli kopalnie w Potozi, ale potrzeba do tego pracy i robotników.“ Jakże zaś na to odpowiada Marcinkowski? Pomijając wszystkie inne, wychodzące naówczas w Poznańskim czasopisma i dzienniki, drukuje on sam w *Roku* właśnie swe pierwsze wystąpienie publiczne (r. 1844) jako prezes Towarzystwa Pomocy naukowej, „wystąpienie, zakończone następnymi słowami, które przytoczymy również jako próbkę charakterystyki dążeń i zapatrywań Marcinkowskiego: „Towarzystwo nasze, Szanowni Rodacy, ma właśnie za zadanie rozszerzać oświatę pomiędzy bracią, naszymi i dać im sposób wyuczenia się pracy, którą, w całości socyalnej, jako jednego ciała ogniwa, złane w jednorodność ogółu, użytecznemi stać się mogą, zabezpieczając zarazem własną, duchową, i materyalną niezawisłość. Wszakżeż to jest najpewniejszy sposób, aby rozwiązać zadanie społeczeństwa, zrobić ludzi wolnymi na duszy i na ciele; to jedynie droga zbliżenia pożądaną dla wszystkich równości socyalnej i wyniesienia człowieka do wyższej potęgi obywatela w narodzie.“ — W uzupełnieniu tej charakterystyki obu ówczesnych antagonizmów poznańskich dodajmy, że jako kolegów Marcinkowskiego w pierwszym składzie Towarzystwa Pomocy Naukowej, widzimy po jednej stronie Jędrzeja Moraczewskiego,

po drugiej w roli sekretarza Karola Libelta.... Otóż to przekonywujące, bijące w oczy dowody, jak dalece wszystkie nasze porozbiorowe antagonizmy nie są właściwymi antagonizmami, ale raczej tylko, naturalnie u ludzi i dążeń dobrej wiary, odmiennymi, najczęściej uzupełniającymi się wyrazami jednej i tej samej na spodzie duszy i serca spoczywającej narodowej myśli. Otóż to dalej dowód, jak dalece fałszywą i fałszerską jest pojawiająca się obecnie tu i owdzie dążność przedstawiania w kierunkach opinią krajową naówczas dzielących, jakichś dwóch wrogich sobie obozów, z których jeden mieści w sobie zastęp jasno, dobrze i cnotliwie na rzeczy krajowe patrzących ludzi „o pękających z żalu sercach i głowach;“ drugi lekkomyślników, jeśli nie występnych Herostratów żądnych spalić co prędzej podnoszącą się moralnie z gruzów r. 1831 świątynię narodowej pracy i narodowego powołania.... Wracając do *Roku* i do jego historii, powiedzmy, że jego umiarkowanie, jego zgoda z Marcinkowskim, jego współpracownictwo w budowie organicznej społeczności poznańskiej, nie oszczędziło mu przecież polemiki z *Orędownikiem* czyli, dokładniej i króćiej powiedziawszy, z samymże jego redaktorem Łukaszewiczem. Racya owej polemiki dzieliła się między obu przeciwników. *Rok* miewał niekiedy artykuły, w których czystość i poprawność języka nie była należycie przestrzegana. Wystąpić przeciw podobnym skazeniom języka, wytknąć błędy autorom, zwrócić na nie uwagę redakcyi, było bez wątpienia obowiązkiem i zasługą, choćby nawet zgryźliwej krytyki i tu przyznać należy Łukaszewiczowi najzupełniejszą słusność, cokolwiek mu występujący w obronie stylu i języka *Roku* Włodzimierz Wolniewicz w jednym z jego poszytów na to odpowie. Inaczej przecież miała się rzecz, gdy ciężki i poważny profesor Łukaszewicz zaczynał być lekkim a w owej lekkości tylko gminnym, gdy np. z powodu nie dość dbałej rozprawy Dembowskiego *O piśmiennictwie polskiem* lżył autora przezwiskami „wilka w baranięj skórze,“ „*Targowickiego Kasztelanica*“ lub

mówił o innych, iż są „kawalerami podwiązki *de Madame Julie*,” rozumiejąc przez to Julię Woykowską, żonę redaktora *Tygodnika Literackiego*. Ma przecież *Rok* zasługę, iż raz jeden, po raz pierwszy i ostatni, wywołuje Łukaszewicza i jego organ do jakiegoś istotnie *zasadniczej* i w zagadnienia czasowe wnikającej polemiki. Powodu do tego dostarczył właśnie wspomniany wyżej przez nas artykuł Libelta *O miłości Ojczyzny*. W pięknej tej rozprawie, nazwanej nawet przez zgryźliwego Łukaszewicza „rozsądnie i dobrze napisanym artykułem,” znajduje się między innymi wycieczka „przeciw plutokracji, równie ohydnej, jeżeli nie ohydniejszej, jak arystokracja rodu.” Łukaszewicz wystąpił w kilku artykułach *Orędownika* przeciw podobnemu zapatrywaniu, uważając je za rękawicę rzuconą w twarz trzeciemu stanowi a nadewszystko usiłowaniom mającym na celu stworzenie go pośród społeczności polskiej. Było to w ciągu długiej egzystencji stronnictwa postępu i stronnictwa zachowawczo-organicznego w Poznańskim, w ciągu długiej polemiki między *Orędownikiem* i *Przyjacielem Ludu* a organami postępowemi jedyny przypadek *zasadniczego* wywołania drugiego kierunku przez pierwszy w publicystyczne szranki. Libelt odparł jednakże w *Roku* podobny swój *Miłości Ojczyzny* uczyniony zarzut następnymi słowy: „Zdanie zatem moje w rozprawie *Rokowej* wyrzeczone, mając na celu stan średni i taki, jaki był i taki, jaki jest jeszcze w anomalii swojej, powstało li przeciw idei tu i owdzie pokutującej podniesienia u nas stanu średniego, jako przeciw idei złudzenia i całkiem nie wyrozumowanej, mogącej dla tego wykrzywiać dążności i pojęcia rzeczy a nawet szkodliwie wpłynąć na rozwój wyobrażeń socyalnych. Nigdy zaś nie miało na celu karcić albo potępiać podnoszenie u nas przemysłu, rzemiosł, fabryk, nauk i oświaty a tém mniej przesładować i ze czci odzierać mężów, co u nas koło tego rodzaju pracy skwapliwie krzątają się. Tego ostatniego rodzaju oskarżenie jest chyba rzuceniem kości niezgody i nieufności między ludzi, co się umieją szanować, choćby się nawet w zdaniu różnili i zdra-

dza chęć szkoczenia i ocziwój sprawie tych, co sobie na nią umieli zarobić.“ — Po tój jedynej próbie i po tym jedynym śladzie pewnej *zasadniczej* polemiki, wrócił *Orędownik* do dawnego swego systemu wojowania o styl i gramatykę a *Rok* prowadzi rzecz zasadniczo ze swego stanowiska dalej... Przetrwiał tak do roku 1846, który rozwiązuje kwestyą jego istnienia. Tuż po wiadomych wypadkach lutowych tegoż roku, wyszedł pod dniem 20 Marca rozkaz gabinetowy, oddający wszelkie czasopisma rodzaju i objętości *Roku* jakoby pod dozór policyjny i czyniący ich dalsze wydawnictwo zależnem od osobnego pozwolenia ministra spraw wewnętrznych. Rozkaz ten gabinetowy przyszedł, można słusznie powiedzieć, bardzo w porę i pozwolił zakończyć *Rokowi* z przyzwitością żywot zagrożony i tak już wśród ówczesnych okoliczności ubytkiem współpracowników, abonentów i materyalnych środków. Libelt był więźniem; Dembowski spoczywał wraz z bezimiennym tłumem towarzyszków w dole niegaszonego wapna na Krakowskiem Podgórzu; ogromna większość dotychczasowych prenumeratorów *Roku* zaludniała Sonnenburg, fortecę i kryminiał poznański. Jedynym na placu pozostał Jędrzej Moraczewski. Dziwnem przeznaczeniem tego zacnego, pracowitego, łagodnego w życiu, rewolucyjnego w teorii, trzymającego się zawsze w pobliżu pożogi konspiracyjnej i powstańczej, nie dotkniętego nią nigdy człowieka, było wychodzić na stróża i grabarza jakoby pism, w których miał udział lub które sam tworzył. W Listopadzie roku 1830 był współpracownikiem *Dziennika Powszechnego*. Gdy koledzy jego, między innymi Seweryn Goszczyński, wychodzili z redakcyi rozpoczynać dzieło Belwederskiej nocy, pozostawili *jego* na straży pisma, by w razie, „*gdyby się rzecz nie udała*“, powierzonom *jemu* regularnem ukazaniem się „*jutrzejszego numeru*“ odwrócić od siebie podejrzenie władzy. Podobnie i konspiracya roku 1846 w swym niendanyam zamachu pozostawiła samego tylko prawie Moraczewskiego przy opuszczonym przez wszystkich stole *Roku*. Utrzymawał jeszcze żywot pi-

sma przez dwa miesiące. Pod dniem 25 Kwietnia 1846 r. wydał odezwę, w której oświadczał, „iż ze względu na zmianę okoliczności a mianowicie na wymagalności rozkazu gabinetowego z dnia 20 Marca, zawiesza tymczasowo wydawnictwo *Roku*, zamierzając je podjąć ponownie w razie nastania przyjaźniejszych konjunktur.“ Naturalnie, nie nastąpiły one nigdy a *Rok* przestał stanowczo wychodzić, z nim zaś najlepsze i na najszerszą skalę podjęte polityczno-naukowe czasopismo, jakim stronnictwo postępu i ruchu kiedykolwiek w Poznańskim rozporządzało. Obok tych wybitnych, dających się ugrupować i rozklasyfikować według ówczesnych stronnictw i prądów społeczno-politycznych czasopism, nakazuje dokładność nie zapominać i o innych, skromniejszych treścią, rozmiarami, dążnością a przecież zasługujących na wzmiankę, choćby dzięki faktowi swego istnienia. Pierwsze pod tym względem miejsce będzie się należało starej naszej, teraz w ciągu niniejszego opowiadania od tak dawna nie wspomnianej znajomej *Gazecie W. Księstwa Poznańskiego*. Żyje ona, żyje ciągle, ma żyć Matuzalowe lata, by dopiero zakończyć żywot w epoce nie mającej już być przedmiotem naszego opowiadania a żyje jako nie pytający o resztę świata i współczesne wypadki zbiór wiadomości politycznych pod redakcją czy to p. Raabskiego, czy też najzacniejszego z wszystkich pedagogów i najsumienniejszego z wszystkich filologów, najnieodłączniejszego z wszystkich redaktorów profesora Wannowskiego. Zaczyn ten potomek starodawniej rodziny kalwińskiej na Litwie, wychowaniec funduszu Radziwiłłowskiego w Królewcu, kochający młodzież i kochany przez nią, gotów był jako nad największym nieszczęściem załamywać ręce, gdy którybądź z jego uczniów w grzesznej herezyi przeciw regułom gramatyki łacińskiej napisał *ut cum indicativo* lub położył tożsamo nieszczęsne *ut* zamiast *accusativi cum infinitivo*. Cóż mogły go przecież obchodzić wszelkie spory partyjne, wszelkie postępy czy konserwatyzmy, wszelkie kwestye społeczne i polityczne, o jakie się naówczas walka w łonie narodowym toczyła! Jednakże i na

Gazetę W. Księstwa Poznańskiego oddziaływa do pewnego stopnia otaczająca atmosfera i wprowadza w nią niektóre zbawienne zmiany. W roku 1845 ustępuje z redakcyi profesor Wannowski a obejmuje ją, na krótki jednakże czas tylko, profesor Jan Rymarkiewicz, znany z użytecznych podręczników nauki języka polskiego dla szkół, pięknego studyum o *Janie Kochanowskim* i kilku uczonych rozpraw lingwistycznej treści. Pod jego krótkotrwałą redakcyą przybrała *Gazeta W. Księstwa Poznańskiego* poważniejsze rozmiary, zespoliła się nieco więcej z życiem, tak np. zajęła wyraźne stanowisko przeciw ówczesnej apostazyi księdza Czerskiego i obrła sobie zdolnych współpracowników, pomiędzy którymi młodego wówczas, rozpoczynającego zawód nauczycielski w gimnazyum poznańskiem Stój Maryi Magdaleny filologa Hipolita Cegielskiego. — Postępując dalej w lustracyi drugorzędnych pojavów ówczesnej publicystyki poznańskiej, spotykamy się z *Gazetą Kościelną* wydawaną od roku 1842 do 1847, raz w tydzień, przez uczonego i zacnego księdza kanonika Jabczyńskiego, znakomitego mianowicie znawcy rzeczy, stosunków i dziejów Kościoła polskiego, autora *Historji miasta Dolska* i kilku rozpraw drukowanych później w *Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*. Szczerze powiedziawszy jednakże, nie odpowiadają postawa i wartość pisma naukowemu stanowisku redaktora. Przeważną część każdego numeru *Gazety Kościelnej* wypełnia *zagranica*, wiadomości z Francyi, Hollandyi, Bawaryi, Ameryki i to wiadomości niekoniecznie troskliwie opracowane, ani też odznaczające się zbyt poprawnym językiem. Czasem napotka się w łamach *Gazety* artykuł treści kościelnopolitycznej, jak np. *Kilka myśli o kościele i państwie*; nie ma zaś tego, czego by się właśnie po nauce i pracy samegoż redaktora najwięcej spodziewać było należało, prac treści historycznej o Kościele polskim. Ma jednakże *Gazeta Kościelna* dzisiaj wartość historycznego materiału, dzięki zamieszczanym w niej wiadomościom z archidiecezyi poznańskiej, mianowicie w sprawie odstępstwa Czerskiego; miała dalej swego czasu

ważną, społeczno-moralnego znaczenia zasługę przez zabiegłe rozszerzanie bractw wstrzemięźliwości pomiędzy ludem za pośrednictwem duchowieństwa. — Pomijając mniejsze, efemeryczne na polu ówczesnej publicystyki pojawy, jak np. między innymi wydawane w r. 1846 i 1847 w Lesznie przez niejaki czas pismo *Kościół i Szkołę*, winniśmy jeszcze, choćby krótką, tylko wzmiankę najmłodszemu w gronie publicystyki poznańskiej owej epoki czasopismu, tyle rozgłośnemu później *Przeglądowi Poznańskiemu*. Ukazanie się pędsze czy późniejsze czasopisma w rodzaju i kierunku *Przeglądu Poznańskiego*, pomijając najzupełniej kwestyą sympatyj czy wstrętów, jakieby się dlań ze stanowiska własnych pojęć i przekonań wyznawać mogło, uważamy wówczas zwłaszcza na ziemi polskiej za rzecz naturalną. Że mu się właśnie w r. 1845 na obszarze Księstwa Poznańskiego ukazać przyszło, niechaj będzie nowym tylko dowodem, do jakiego stopnia ówczesne *Poznańskie* miało jakoby przywilej goszczenia i mieszczenia wszelkich, najprzeciwniejszych sobie zasad i wyobrażeń, na jakie się wtedy społeczność polska dzieliła. Pojaw czasopisma, jak *Przegląd*, powtarzamy raz jeszcze, był naturalny i nieunikniony na ziemi polskiej i pośród społeczeństwa polskiego. Jestto prostem następstwem duchowej solidarności Polski z zachodnio-europejskim organizmem. Jego krew, jego soki krążą w niej naturalnie; ona sama wchodzi w nierozzerwalny związek z całym jego systemem nerwowym. Nie ma zrodzonej na zachodzie Europy idei, któraby się prędzej czy później nie udzieliła Polsce. Począwszy od najskrajniejszej postępowej, skończywszy na najskrajniej wstecznej torują sobie wszystkie z kolei drogę do serc i umysłów polskich, stwierdzając fakt swego wpływu i swęj obecności w sztuce, literaturze, nauce, polityce polskiej. Dodajmy do tego jeszcze sympatyczność ówczesnych wpływów emigracyjnych, przypomnijmy sobie wystąpienie Bogdana Jańskiego, „pierwszego jawnego pokutnika polskiego,“ pierwszy związek zakonu Zmartwychwstańców pod patronatem i za inicjatywą księży Kajsiewicza, Duńskiego, Semeneńki. Że *ten* odłam emigracyjny

zapróbuje *swojej* propagandy na kraj nie inaczej, jak ją praktykowały od dawna już jego antypodyczne przeciwieństwa, uważamy za rzecz naturalną, uważając przecież za nie mniej naturalną, iż pierwszy dostrzegalny fakt owiej propagandy w publicystycznej postaci *Przeglądu*, minął wśród ówczesnych prądów i usposobień krajowych prawie niepostrzeżenie a znajdował szczerpłe tylko grono młodych adeptów między Poznańczykami wprawdzie, ale *poza* granicami Poznańskiego i ówczesnej widowni jego ścierających się z sobą przekonani i stronictw. W r. 1845 przybywa z emigracji do Berlina późniejszy ksiądz Jan Koźmian, osiada tamże, zawiązuje stosunki z pewną częścią uniwersyteckiej młodzieży, zaczyna w duchu odzywającego się wówczas na całym zachodzie Europy nowego prądu katolicyzmu, w kierunku dalej zasad i pojęć zastępu emigracyjnego wskazanego co dopiero z imienia i nazwiska wyżej, wydawać w Poznaniu pod nominalną redakcją późniejszego profesora Józefa Szafarkiewicza swój *Przegląd Poznański*. Wskazawszy znaczenie i charakter religijno-polityczny nowego czasopisma, zakreśliwszy jego tendencją. wstrzymując się ze stanowiska przedmiotowości historycznej od wyrażenia osobistych i politycznych usposobień względem niego, winniśmy *Przeglądowi* ze stanowiska sztuki redakcyjnej i wartości literackiej wszelkie uznanie. Byłto naturalnie, bo miał nim być, *organ partyi*, organ tendencyjny w swoim kierunku, ściągający wszystko, wypadki dziejowe, pojęcia estetyczne, krytykę literacką, bieżącą politykę z niezaprzeczalną jednostronnością do głównego mianownika swojej naczelnej, katolickiej zasady. Cokolwiek bądź jednakże, nie da się również zaprzeczyć, że nowe czasopismo zajęło od razu szerokie stanowisko, że ogarnęło obszerny widnokrag, że nie przepuszczało bez uwagi żadnego ważniejszego i wybitniejszego czy to w dziedzinie polityki, czy sztuki, nauki lub literatury pojawu. Literatura krajowa i zagraniczna znajdowała w kolumnach *Przeglądu Poznańskiego* zarówno troskliwe uwzględnienie; rozprawy treści historycznej, jak np. w jednym z pierwszych zaraz poszytów zamie-

szczona rzecz : *O służbie wojskowej włościan w dawnej Polsce*, jak krytyka *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej* Moraczewskiego, odznaczały się znajomością przedmiotu a tam, gdzie go tendencja nie zamącała, bardzo zdrowym sądem. Dział krytyki literackiej, przedewszystkiem krajowej, był w *Przeglądzie* obfitym i odznaczał się również, *salvo jure ecclesiastico*, dobrym smakiem, trafnością poglądów i poprawnem piórem. Co także zasługuje na uznanie, *dzisiaj* zwłaszcza, to jego *polemiki*. Nie przechodziły one nigdy zakresu rzeczy, zachowywały godność nie czepiały się nigdy osobistości a gdy spojrzymy na terazniejszych epigonów tego samego kierunku; gdy patrzeliśmy jak uczony i zasłużony mimo wszelkich błędów, jakieby mu zarzucić można, Łukaszewicz, był nazywany przez niedorostków naukowych usiłujących rehabilitować Jezuitów, „*literatem* Łukaszewiczem;“ gdy sobie przypomnimy, jakie epitety dostawały się z łaski publicystów mieniących się katolickimi, Libeltowi i Kraszewskiemu; gdy równocześnie pozwolimy sobie wyrazić przekonanie, że boski prawodawca czwarte przykazanie chciał mieć zastosowaniem nietylko jedynie do rodziców ciała, winniśmy raz jeszcze oddać wszelkie uznanie *Przeglądowi* pojmującemu, że walka publicystyczna, podobnie jak walka pola bitwy ma swój rycerski kodex, który przekraczać tylko popolitości serca, umysłu i charakteru wolno... Pierwsze lata istnienia *Przeglądu Poznańskiego* przemijają, jak powiedziano, niepostrzeżenie i bez zwrócenia na siebie uwagi publiczności. Publiczność nie wie o nim lub wie bardzo mało; wśród ówczesnych walk partyjnych nie widać go a jeżeli i nasze opowiadanie na *tej* tylko o nim ogranicza się wzmiance, dzieje się to z prostej przyczyny, że *Przegląd* mało znany i mało na siebie zwracający uwagi w epoce będącej przedmiotem naszej rozprawy, miał później dopiero zająć w publicystyce Poznańskiego wybitniejsze i pokaźniejsze stanowisko. Trzeba było zdziałanego gromami lat 1846 i 1848 wyczerpnienia i upadku ducha, trzeba było ustąpienia dotychczasowych aktorów z widowni poznańskiej, aby *Przegląd* uczynić widoczniejszym, aby

go obdarzyć stanowiskiem, jakie zajmował przez niejaki czas *sam jeden* po roku 1850... Na owem najmłodszym z wszystkich w epoce naszego opowiadania czasopism poznańskich, kończymy nasz szkic *publicystyki* poznańskiej. Jest on może, jak na rozmiar naszego opowiadania, obszernym nieco. Obszerność tę niechaj przecież tłumaczy nasamprzód fakt niewątpliwiej prawdy że jeżeli który, to z pewnością, dział *publicystyki* z pośród wszystkich innych ówczesnej literatury poznańskiej, odznacza się tak pod względem liczby, jak treści, uprzywilejowaną obfitością; dalej, że około *publicystyki* właśnie zdawało się najstosowniej i najnaturalniej, raz jako jej tło, następnie jako jej ilustrację skreślać i przypominać prądy i objawy ówczesnego życia poznańskiej społeczności. *Ich* zaś niepodobną było pominąć, jeżeli nasz szkic nie miał stać się mniej lub więcej rozumowanym *katologiem*, jeżeli ma być, czembyśmy go mieć chcieli, obrazem umysłowego życia i ruchu cząstki kraju, którą wypadki i szczególnie zbieg okoliczności obdarzyły wyższem i ważniejszem po nad terytoryalny obszar i niewygodne, uboczne położenie geograficzne, w ogólnych dziejach narodowych owej epoki znaczeniem.

IV.

Zwróćmy się z kolei rzeczy do innych działów ówczesnej literatury poznańskiej a zacznijmy od najobficiej po *publicystyce* w Poznańskim naówczas uprawianego, od *historji*. Wzgląd, by w naszym opowiadaniu nie spaść na poziom prostego bibliograficznego spisu, względ nie mniej, że w *tęj* dziedzinie nie omieszkało odbić się charakterystycznie swemi wrażeniami i wpływami ówczesne *życie*, powoduje nas do streszczenia i zgrupowania naszego szkicu około co wybitniejszych w Poznańskim na polu nauki i pracy dziejowej osobistości. Pierwszą postacią, jaka się po roku 1815 na widowni poznańskiej pod tym względem przedstawia, jest znany nam już z powyższego

opowiadania Edward hr. Raczyński z Rogalina. Wspomnieliśmy już wyżej o założeniu przezeń *Biblioteki Raczyńskich* w Poznaniu, wspomnieliśmy dalej o jego *Podróży do Turcyi, o Listach Jana III z czasu wyprawy Wiedeńskiej*. Na tem tu miejscu wypadnie nam szersze nieco tej pamiętnój, oryginalnej osobistości poświęcić wspomnienie. Wskazaliśmy już wyżej różnicę między konserwatyzmem *jego* a konserwatyzmem Marcinkowskiego. Marcinkowski był konserwatystą, ludowym, Raczyński niezapierającym się swój idei arystokratą, przypominającym tem lepiej może Henryka *Komedyi Nieboskiej*, że podobnie, jak on opuszczony, politycznie przynajmniej, na swój obronnej baszcie, *nawet* przez swoich. Otóż co stanowi pośród ówczesnych usposobień społeczeństwa poznańskiego *jego*, społeczeństwa nieszczęście, co tłumaczy zarazem *jego*, Raczyńskiego, osamotnienie. Głęboka tragika zawodu tego niepospolitego choćby nawet w swój excentryczności człowieka, przejmując tem większym żalem, że widać w nim przez całe życie szczerego, gorącego, skłóconego tylko z wołaniami i prądami chwili patryotę. Być może, iż tyle użyteczna, na tak rozmaitych pojawiająca się polach działalności *jego* nie była wolną od lekkiej przymieszki niewinnej doprawdy, bardzo wybaczenia godnej próżności. Mniejsza jednakże o to. Jakże chętnie darowalibyśmy innym panom polskim całe góry próżności za połowę choćby tylko Raczyńskiego pracy i zasług! Nieszczęściem, błędem akcji każdego z odzywających się naówczas kierunków pozostanie, że osobistość, jak Raczyńskiego, pozostawiał na uboczu a jeźli która, to z pewnością *jego* postać jest jednym z przekonywających dowodów praktycznej użyteczności nauki i doświadczeń dziejowych dla przyszłych generacji. Niechaj *nasza* generacja na przykładzie takiego Raczyńskiego uczy się, jak użytkowywać w naszym położeniu tego rodzaju postaci, choćby nawet *bez* dobrodziejstwa inwentarza wszelkich ich przywar, błędów czy dziwactw. Czy to upomnienie się śmiało r. 1831 o wywiezione z Warszawy zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czy to pomnikowe wystąpienie i upomnienie się podczas koro-

nacy króla Fryderyka Wilhelma IV w Królewcu r. 1840 o prawa Palaków W. Księstwa Poznańskiego, czy to opieka rozrociągniona nad Niemcewiczem, czy to owo wołanie do Mickiewicza: „Pisz co chcesz, wszystko co chcesz, byle po polsku; będę twoim wydawcą!“, czy to założenie biblioteki swego imienia w Poznaniu, wszystko to dowodzi, jak zapewne wymowniej trudno, czem Raczyński był, czemu żywot swój poświęcał, w czem pokładał ambicją. Jedną ze specjalności jego patriotyzmu była działalność na polu dziejowem. Działalność owa objawia się przede wszystkim, długo jeszcze przed rokiem 1830, przez systematyczne zbieranie drukowanych i niedrukowanych, archiwalnych, co rzadkością naówczas, źródeł do dziejów polskich. Nie mówiąc już o *Bibliotece Raczyńskich*, która faktem swego istnienia prawdy naszego twierdzenia dowodzi, pozostaną wymowniejszem może jeszcze jój stwierdzeniem prywatne jego zbiory w Rogalinie, gdzie do dziś dnia znajdują się nieużytkowane jeszcze w znacznej części, ciekawe do dziejów XVII i XVIII mianowicie wieku materyały z archiwów berlińskich, paryskich i naszych krajowych. Rzecz naturalna, iż *nasz* przedmiot interesuje głównie działalność jego, objawiająca się bądź to w wydawnictwach owych materyałów, bądź w samodzielnych opracowaniach. *Pod *tym* względem jest, skoro się rozpatrzmy w naszej historyografii pierwszej połowy bieżącego stulecia, czynność jego i zabiegłość wszelkiego uznania godną. Drukarnie warszawskie, poznańskie, wrocławskie niekiedy, zasypane literalnie jego wydawnictwami. Szereg ich, jak już wspomnieliśmy wyżej, rozpoczynają wydane w Warszawie roku 1823 *Listy Jana III*. Potem przychodzi kolej na Poznań a jedyna obawa tylko, aby w lustracyi jego wydawnictw, przy ogromnej ich liczbie nie opuścić może wielu zasługujących na wzmiankę i uwagę. Dość wspomnieć tylko dział literatury pamiętnikowój i z częścią od niej przegląd tej równie naukowo zabiegłój, jak pienieźnie kosztownej działalności. Edwardowi Raczyńskiemu zawdzięczamy nasamprzód pierwsze wydanie (w Poznaniu r. 1836) niezrównanych w swoim rodzaju *Pamię-*

tników Paska. Po za niemi idą w r. 1838 równie po raz pierwszy wydane z rękopismu *Pamiętniki Erazma Otwinowskiego*, ów najobszerniejszy polski materiał do całości dziejów panowania Augusta II, którego lepiej scharakteryzować nam niepodobna, jak nazywając go niezrównanym barometrem opinii szlacheckiej za rządów pierwszego Sasa w Polsce. Tuż obok *Pamiętników Otwinowskiego* w r. 1839 ukazują się w Poznaniu *Pamiętniki księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła*, tyle ciekawy przez stanowisko autora przyczynek do dziejów Zygmunta III, Władysława IV i pierwszych lat panowania Jana Kazimierza. Któż z obeznanych choćby najpowierzchniej z materiałami historycznymi do dziejów Polski XVIII wieku nie zna *Pamiętników księdza Kitowicza*? I one zawdzięczają swe całkowite wydanie w latach od 1840 do 1845 Edwardowi Raczyńskiemu. Długi, kilkunastutomowy szereg publikacji noszącej tytuł *Obraz Polaków i Polski w końcu XVIIgo i w XVIII wieku*, zawierający drogocenne materiały do historii Augusta II, Augusta III i Stanisława Augusta, wydany również jego nakładem w Poznaniu w ciągu roku 1840. W r. 1840 wydaje z niedrukowanego nigdy rękopismu *Pamiętniki Pstrokońskiego kanonika katedry Gnieźnieńskiej*, do dziejów XVII wieku, krótko przedtem (w Poznaniu r. 1839) *Pamiętniki generała Dąbrowskiego* o jego tyle zaszczytnej dla oręża polskiego wyprawie w r. 1794 do Wielkiej Polski; w roku 1840 również w Poznaniu dwutomowe *Dzieje panowania Jana Kazimierza*, będące właściwie przekładem pierwszych trzech Klimakterów Wespazyana Kochowskiego. We dwa lata później (1842) wychodzi jego nakładem polski przekład krzyżackiej *Kroniki Wiganda* z Marburga z XIV wieku; w roku 1843 *Dzieła Tadeusza Czackiego*; w roku następnym dwa tomy ważnego do dziejów panowania Jana Kazimierza materiału pod tytułem *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*; nieco później *Dokumenty do historii powstania Kościuszki*. Nie wyliczamy wszystkich jego wydawnictw i nie mamy też tego zamiaru. Do dokładności katalogu i bibliograficznego spisu opowiadanie nasze nie ma pretensyi a wyszczególnione powyżej wydawni-

ctwa starczą, zapewne do stwierdzenia prawdy, jak dalece niestrudzoną, jak dalece nie dającą sobie ani jednej chwili wytchnienia była jego na tem polu działalność, jak ogarniała jak ogarnąć się starała najróżnorodniejsze ustępy dziejowej naszej przeszłości. Niechaj nadto będzie raz jeszcze dowodem, jak ją czytał i kochał ten, co dla niej tyle czynił. Nie ograniczając się na czynności wyłącznie wydawniczej tylko, składa również Edward Raczyński dowody swój działalności bądźto w opracowaniach bądź w pracach samodzielnych. Do rzędu pierwszych zaliczamy jego łaciński *Kodex dyplomatyczny* W. Księstwa Litewskiego z r. 1845, poprzednio (1838) *Gabinet medalów polskich*; do rzędu drugich dwutomowe, ozdobione przepysznymi rycinami historycznych miejscowości wielkopolskich, wydane w roku 1842 w Poznaniu *Wspomnienia Wielkopolskie*, rodzaj przedsięwzięcia literackiego, jakie widzieliśmy urzeczywistnionem w wydawnictwie *de la France pittoresque*, ze szczególnem przecież tylko uwzględnieniem *przeszłości*... Krótkie słowo wypada nam teraz powiedzieć o stanowisku i tendencji historycznej Raczyńskiego, o ile miał sposobności i możliwości dać jej wyraz a mógł ją mieć naturalnie rzadko w działalności swej głównie wydawniczej. Dzieje się to przecież tu i owdzie w zamieszczonych na wstępie własnego pióra *przedmowach*, które na jego usposobienie i kierunek pod *tym* względem objaśniające rzucają światło. Przedmowy takie, czy to do *Historji panowania Jana Kazimierza*, czy to do *Pamiętników Otwinowskiego*. nie wspominając innych, charakteryzują Raczyńskiego więcej może jako doktrynera historycznego, aniżeli jako prawdziwego, wnikającego w ducha przeszłości narodu i jego instytucji znawcę dziejów polskich. Jak mamy i jak mieliśmy w historyjografii naszej doktrynerów republikańskich, tak Raczyński, o ile objawia samodzielnie myśl historyczną, jest niezaprzeczeniem doktrynerem szkoły monarchicznej. Lubomirski nie może mieć słuszności przeciw Janowi Kazimierzowi, szlachta nie może mieć nigdy racji przeciw choćby nawet Augustowi II. Niechaj podobne przykłady wskazują, jakimby było

stanowisko Raczyńskiego, gdyby był występował na polu historii polskiej w charakterze samodzielnego pisarza; jak jednostronnym, jak spaczonym sądom byłoby pod piórem jego uległo ocenienie różnych chwil przeszłości naszej. Na szczęście dla swój naukowej sławy i dla dziejowej prawdy, ograniczał się na właściwsze sobie pole *wydawnictwa*, gdzie, jak już wyżej powiedziano, położył niespożyte zasługi, tem ważniejsze dla Poznańskiego, że w chwili tej swojej działalności nie znajduje odpowiedniego sobie współzawodnika. Tytus Działyński, powrócony dopiero Poznańskiemu w skutek amnestyi króla Fryderyka Wilhelma IV z roku 1840, zaczął naówczas gromadzić i porządkować swe drogocenne, dla użytku publiczności jeszcze do dziś dnia nie otwarte zbiory *Biblioteki Kurnickiej*. *Wydawnictwa* zaś jego, mianowicie monumentalna dla dziejów XVI wieku publikacya *Aktów Tomicyanów* i *Źródlopisma do dziejów Unii*, nie mówiąc o innych, niemniej ważnych treścią, lecz skromniejszych objętością, datują się z późniejszej epoki... Wracając do osoby i działalności Edwarda Raczyńskiego, oddając należne uznanie jego wydawniczej czynności, jego wspieraniu czasopiśmiennictwa, nie możemy zapomnieć jego najważniejszej zasługi około dziejopisarstwa naszego w Poznaniu przez dostarczenie temuż właśnie zakątkowi kraju osobnego historyka w osobie *Józefa Łukaszewicza*. Bez przesady można powiedzieć, że Edward Raczyński był moralnym rodzicem Józefa Łukaszewicza w jego dziejopisarstwie i na jego dziejopisarstwie stanowisku. Obdarzył go urzędem naczelnego zawiadowcy *Biblioteki Raczyńskich*, wprowadził go w bezpośrednią styczność z materyałami dziejowymi, wysyłał go do archiwów miejscowych i zagranicznych, używał do swoich wydawnictw, wspierał jego publicystyczne i naukowe przedsięwzięcia. Znamy już Józefa Łukaszewicza jako publicystę, staraliśmy się ocenić jego przymioty i błędy *tęj* właśnie części literackiego i naukowego zawodu. Osobiście i zewnętrznie ży we przeciwieństwo Libelta. Pewien kwas i pewna profesorska zarozumiałość, chwalebna konsekwencya w karceniu grzechów

przeciw czystości i poprawności języka, obok pewnej umyślniej może ciasnoty poglądów na ludzi i wyobrażenia otaczającego świata; uszczypliwość i surowość w sądach; nie, coby kojarzyło, łączyło, pociągało sympatycznie młodzież mianowicie. Takim przedstawia się Łukaszewicz jako człowiek i publicysta, co nawiasowo powiedziawszy, nie przeszkadza, że żywot jego zapisuje niekiedy czyny szlachetności i dobroczynności, jakie zeicha i bez rozgłosu świadczył. Poznajmy go teraz jako historyka. Charakterystycznym znamieniem jego działalności historycznej pozostanie, by od jój zewnętrznej począć strony, iż nie ogarniała ani bądź to całości, bądź części *politycznych* dziejów Polski, lecz że wybierała sobie w licznych swych pracach za przedmiot bądź to dzieje pewnych miejscowości, bądź to pewnych instytucyi, bądź moralno-politycznej doniosłości wydarzeń, do jakich należy reforma religijna XVI wieku. Zadanie piękne i wdzięczne a z pewnością, w razie umiejętnego wykonania przyczyniające się więcej może od wszelkich prób dziejopisarstwa *politycznego* do rozświecenia wątpliwych i ciemnych stron przeszłości naszej. Gdy się zastanowimy nad upadkiem publicznej moralności naszej w XVII i XVIII wieku, gdy z bólem spoglądamy na smutny fakt nieobecności *ojczyzny* w sercach ówczesnych generacyi, gdy widzimy niestety, jak podobnego, czystego ideału miejsce zastępuje u wielkich i małych względ osobistego interesu, zwraca się nasze oko mimowolnie ku *temu i tym*, co *takich* wychowali obywatele, co takim usposobieniom dojrzeć pozwolili, ku szkołom i wychowaniu publicznemu dawniej Polski, ku kierownikom młodzieży, którzy w serca jej lepszego ziarna zawczasu rzucić nie potrafili. Wdzięczne więc z pewnością, godne najznakomitszego historyka zadanie wziąć się do gruntownej odpowiedzi na tyle ważne z przeszłości naszej zapytanie. Jeżeli widzimy dalej ogromny, zbawienny i zgubny na przemian wpływ rozpoczynającej się z XVI wiekiem reformy religijnej na rozwój naszego życia duchowego i politycznego, jeżeli widzimy, jak w wieku XVI staje się jednym z czynników stworzenia na-

szej literatury, jak w wieku następnym staje się godłem i przyczyną na przemian krwawych walk i prześladowań, jak o jeszcze jeden wiek dalej wychodzi na sofistyczny argument interwencji zagranicznej a pośrednio, między innymi przynajmniej, na powód naszej zguby, przyznamy niewątpliwie, że i *to* dziedzina wywołująca słusznie dziejopisarską, badawczość. Jeżeli następnie w rozpatrywaniu się nad organizmem naszego społeczeństwa przychodzimy do stwierdzenia prawdy, iż *Kościół* był dlań wielką instytucją moralności i wychowania publicznego, nie dość zaś na tem jeszcze, że *kościóły* w niedostatku zbiorów sztuki, jakimi się inne narody ucywilizowanej Europy szczyciły, były nie mniej pomnikami, jak przybytkami tego, na co się zmysł estetyczny naszego narodu w dziedzinie twórczej mógł zdobyć, że więc reprezentują ważną, tyle część jego duchowej działalności, winniśmy oddać tylko należne uznanie dziejopisarskiemu zmysłowi, który bierze na siebie trud rozpatrzenia się w dawności, architekturze, pomnikach, materyalnych i naukowych zasobach naszych kościołów. Jeżeli wreszcie zważymy, że rozmaite miejscowości nasze, czy to miasta, czy ziemie, łatwiejsze z powodu bogactwa i przystępności źródeł do poznania w swym całokształcie dziejowym od innych ustępów i pomników przeszłości naszej, dają nam *sobą* i *na sobie* najwierniejszy obraz stanu społecznego, politycznego, moralnego przodków naszych *wogóle*, przyjdziemy i *tu* do przekonania, że monografie mające za przedmiot historią grodów czy okolic dawnéj Polski, z pewnością drogocenny do *całości* jej dziejów stanowią przyczynek. Otóż to zaś wszystko pole działalności Łukaszewicza, otóż to ważne *czynniki* politycznego i społecznego życia, którym pracowite swe, poprawne pióro i ogromny zasób nauki poświęcił. Rzuciwszy rychło niefortunne swe próby poetyckie w *Mrówce* i *Weteranie Poznańskim*, rozpoczyna dziejopisarską działalność od skromnego a wielce zajmującego, wydanego w Poznaniu r. 1832 dziełka, *Wiadomości historycznej o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku*. By się trzymać

porządku materji raczej, aniżeli chronologicznego, zapiszmy tuż po tem dwutomowe *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w W. Księstwie Litewskim* z portretem ks. Mikołaja Radziwiłła zwanego *Czarnym*, wydane w Poznaniu r. 1842. Trzeciem z kolei, tęż samą materją traktującym dziełem są wydane dużo później (w r. 1852) *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w dawniej Małopolsce*. Wspomnieliśmy o szkołach. Pod tym względem zasłużył się czterotomową, wydaną w Poznaniu roku 1849 *Historją szkół w Koronie i W. Księstwie Litewskim*. Później (w r. 1858) wydaje w trzech tomach *Krótki opis historyczny kościołów, klasztorów i kaplic w dawniej diecezji Poznańskiej*. W r. 1838 wyszedł jego dwutomowy *Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania*, dużo później, już jako dzieło pośmiertne *Opis historyczno-statystyczny miast i wsi dzisiejszego powiatu Krotoszyńskiego*. O pracach mniejszych rozmiarów i wagi jak np. *Geografii i dziejach starożytnej Polski*, wydanych pod pseudonimem Andrysowicza, o rozprawach treści historycznej rozrzuconych po czasopismach, nie mówimy tutaj. Należałoby się teraz w ramach, naturalnie odpowiednich rozmiarom i symetrii naszego opowiadania rozpatrzyć we wartości, stanowisku, przymiotach i wadach dziejopisarzkiej działalności Łukaszewicza. Głównym i naczelnym ich przymiotem jest strona materiału i źródłowości. Choćby najmniej z przedmiotem i kunsztem dziejopisarzkim obeznany czytelnik, czuje mimowolnie, że wszystko, cokolwiek bądź Łukaszewicz napisze czy powie, nie jest rezultatem pracy drugiej ręki, że polega na samodzielnych, mozolnych poszukiwaniach, że jest drogocennym, szczerym kruszczem, wydobytym z archiwalnych, nienapoczętych przez nikogo skarbów. Są, jak zobaczymy niżej, różnice w pracach Łukaszewicza pod względem artystycznego opracowania. Pod względem *źródłowości* natomiast są wszystkie jego prace historyczne sobie równe a pod *tym* względem *równiej* ceny. Język jego jest wszędzie wolny od niepotrzebnych efektów i świecidełek, wielce poprawny, jasny, utrzymujący się na wysokości opowiadanego przedmiotu. Obok tych przymiotów

ma przecież bezstronna krytyka historyczna powód zarzucić Łukaszewiczowi ważne usterki i niedomagania. Nasamprzód jestto pisarz obok wielkiego zasobu nauki i pracy, widnokrepu nieszczególnie szerokiego. Wznieść się np. w swych dziejach Kościoła helweckiego czy to w Wielkopolsce, czy w Małej Polsce, czy na Litwie, do ocenienia i rozważenia reformy religijnej jako wielkiego *humanitarnego* faktu, wprowadzić ją w związek z różnemi jęj pojawami w reszcie europejskiego świata; zastanowić się nad jęj moralnym i politycznym wpływem w Polsce, nad przyczynami jęj nagłego wzrostu i jęj równie nagłego upadku, nad następstwami jęj w kolejach późniejszego żywota narodowego; zająć stanowisko, z któregooby można objąć okiem *całość* tego wielkiego wypadku wraz z jego przebiegiem i sensem moralnym dla dziejów polskich, na to nie starczy Łukaszewiczowi historycznego oka. Jest źródłowym, dokładnym sumiennym, *ale* w szczegółach, *ale* w spisywaniu liczby *zborów* kalwińskich, *ale* w lustracyi tych i owych panów przyjmujących reformę, *ale* w podawaniu treści obrad różnych zjazdów różnowierczych, na jakich wówczas nie zbywa, *ale* w skreślaniu prześladowań, na jakie osoby, szkoły i kościoły dyssydentów polskich w epoce reakcyi XVII i XVIII wystawione bywały. Dosłownie to samo spostrzżenie narzuca się po przeczytaniu *Historyi szkół* i *Opisu kościołów*.. Są to oba przedmioty *zmuszające* jakoby traktującego je historyka do postąpienia na pewne wyżyny, do starania się o wydobycie i zyskanie *ostatecznych rezultatów*, ostatecznego sensu moralnego dla oświaty, stanu umysłowego i społecznego narodu w ciągu jego przedrozbiorowej przeszłości. I *tu* jednakże przedstawia nam się toż samo widowisko. Zamiast grupowania szczegółów ku o tworzeniu obrazu całości; zamiast skupiania światła około jakichbądź wydatniejszych momentów, czy to ludzi, czy wypadków, czy prądów; zamiast dążenia do jakichbądź swego opowiadania *rezultatów*, układa raczj autor ogromny katalog, w którym znajdujemy spisana wiernie jedną po drugiej szkołę, zaciągnięny z nie mniejszą sumiennością, jeden po drugim kościół

z wszystkimi kaplicami, grobowcami i pomnikami... Prócz tego, wypływającego z charakteru i rodzaju zdolności autora niedomagania, nie nazwalibyśmy też szczęśliwą i dobrą *metody* jego dziejopisarskiej. Jednym z najważniejszych przymiotów i warunków sztuki dziejopisarskiej, jest umiejętność opowiadania i jego ciągłość. Łukaszewicz należy do pisarzy, którzy nasamprzód sobie samym a przez to samo i czytelnikowi tok swego opowiadania ciągle przerywają i psują. Owo mnóstwo często zbyt technicznych przypisków zostawiających bardzo mało miejsca dla tekstu; niemniej częste wtrącanie do szczupłego i tak już tekstu długich, dokumentowych ustępów, utrudza niesłychanie rzecz czytelnikowi, czyni ją rozwlektą, bez najmniejszej dlań korzyści. Do ostatecznej przesady jest ta metoda doprowadzona w *Dziejach wyznania Kościoła helweckiego w Małopolsce*. Zamiast gotowego gmachu, odbiera się tu stós belek i cegieł; zamiast przedstawiającego jakąś całość obrazu, pudło farb i pędzli. Najmniej z wszystkich dzieł Łukaszewicza cierpią na podobny błąd organiczny i najlepszymi dla tego są pierwsza owa mała *Wiadomość o dyssydentach w mieście Poznaniu* i *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w W. Księstwie Litewskim*. Obok tego niepodobna w ocenieniu historyczno-politycznego stanowiska Łukaszewicza, oszczędzić mu zarzutu wadliwej jednostronności. Jak nie czerwona ciągną się wskroś wszystkich jego dzieł, prac i zapatrywań *dwie* historyczne nienawiści, jedna do gminowładztwa szlacheckiego, druga do Jezuitów. Niewątpliwie, wybujałość gminowładztwa szlacheckiego, zdróżne jego i grzeszne nadużycie czy szkoszlawienie na rzecz prywaty wielkich czy małych, stało się klęską i zgubą Polski. Niewątpliwie dalej system wychowania Jezuitów, namiętność ich gwałtownego nawracania różnowierców, interwencya ich we wszystkie sprawy publiczne, przyczyniły się również do podkopania narodowego bytu, cokolwiekby dzisiajsi rzecznicy ku ich obronie powiedzieć chcieli. Nie chcieć przecież czy nie umieć widzieć wskroś całej nieledwie historii polskiej, *nie* po za procesem królewskości ze szlachetczyzną, w którym pierw-

sza powinna zawsze mieć rację, przeciw drugiej; nie chcieć czy nie umieć wnikać w genezę historycznego rozwoju a dostrzedz niezaprzeczonych obok błędów i nadużyć *zasług* gminowładztwa szlacheckiego; nie chcieć czy nie umieć ocenić historycznie i politycznie ważnego jego stanowiska w przebiegu naszej przeszłości; widzieć w niem tylko jeden wielki wybryk lekomyślności i rozpusty politycznej, pozostanie, co najmniej, tanim doktryneryzmem. Podobnie ma się rzecz z Jezuitami. Stawiać się na stanowisku wyłącznie protestanckiem, mówić tylko o prześladowaniach dyssydentów przez katolików z Jezuitami i jezuityzmem na czele; zapominać, że dzieje reformy religijnej w całej Europie i w Polsce są objawem ogromnej i *dwustronnej walki*; że po prądzie reformy następuje prąd reakcy katolickiej, której Jezuita są wynikiem; że dzieje owe przedstawiają obraz dziejowego zatargu, *wzajemnych* prześladowań według kolejnych faz przewagi i zwycięstwa jednej lub drugiej strony; że n. p. prześladowania dyssydentów polskich za Jana Kazimierza są następstwem poprzedniej *ich* zdrady kraju i prześladowań katolików *przez* dyssydentów w czasie i pod patronatem inwazyi szwedzkiej, — przepominać wszystko to, mówimy, jest grzechem jednostronności, która bez fałszowania faktów przeinacza przeciw grzeczności prawdę oblicza owę epokę Otóż to błędy i niedomagania zapatrywań i metody Łukaszewicza, które wytknąć ze stanowiska krytyki historycznej uważaliśmy za rzecz konieczną, które przeciw, jak jemu nie odbierają charakteru i kwalifikacyi znakomitego uczonego, tak dziełom jego mimo to wszystko nie odbierają zasługi i znaczenia drogocennego do dziejów naszych *materyalu*... Wspomnieliśmy o *zasadniczych* pojęciach i zapatrywaniach Raczyńskiego i Łukaszewicza na polu dziejowém. Wyobrażają oni naówczas w Poznańskiem i jego literaturze szkołę, jeżeli ją tak wolno nazwać, *monarchiczną* historyografią polską, w czem są zupełnie zgodni z naukowo-literackim zastępem otaczającym osobę, podzielającym przekonania i dążność polityczną, ks. Adama

Czartoryskiego na emigracji. Zastęp tenże znajduje publicystyczny wyraz w piśmie politycznym *Trzeci Maj*, naukowy w *Skarbcu* historii polskiej Karola Sienkiewicza, ognisko swe centralne w zostającym pod kierownictwem księcia Czartoryskiego *Towarzystwie historyczno-literackiem* paryskim. Szkoła monarchiczna ówczesnej historyjografii polskiej odpowiada wiernie i równolegle ówczesnemu konserwatyzmowi politycznemu, tak emigracyjnemu, jak krajowemu, którego składowe pierwiastki pozwoliliśmy sobie scharakteryzować wyżej. Koleją bardzo naturalną we wszystkich rzeczach i sprawach ludzkich, nadewszystko w przebiegu walk i namiętności partyjnych, nie mogło stronnictwo ruchu czy postępu, jak je nazwaliśmy wyżej, pozostawić podobnego wyzwania na polu historycznych pojęć bez odpowiedzi. Jak nań odpowiedziano w emigracji, jakie stanowisko zajął względem niego Lelewel, jak się odzywały przeciw niemu głosy w *Demokracie Polskiej* lub w *Przeglądzie dziejów polskich*, nie będziemy tu szczegółowo skreślali, ponieważ to leży po za obrębem naszego zadania. Obchodzić nas może tylko pod tym względem widownia *poznańska* a na niej spotykamy się, jako z głównym reprezentantem kierunku przeciwnego, który nazwijmy *szkołą republikańską*, z osobą *Jędrzeja Moraczewskiego*. Staraliśmy go się scharakteryzować wyżej jako publicystę, obywatela i człowieka. Trzeba nam go teraz poznać jako historyka. Co go przede wszystkim odznacza, to zamiłowanie przedmiotu i dziwna przy rozlicznych zatrudnieniach łatwość pożycia i umiejętność obcowania z ludźmi z drugiej strony, przymiot, jak zaraz zobaczymy, wcale nie obojętnego znaczenia w zadaniu jakie sobie położył. Moraczewski był niezrównanym agitatorom na polu nauki, starał się ją popularyzować, rozszerzać, budzić dla niej interes, bądź to, jak to wyżej już powiedzieliśmy, przez urządzenie odczytów, bądź to za pomocą zawierających się na całej przestrzeni prowincyi towarzystw starożytności. Był to obywatel na polu nauki, nie zamknięty w cieśni czterech ścian uczony. Uczonemu takiego ro-

dzaju i takiej dążności trzeba było umieć obcować z ludźmi, by ich wciągnąć mimowiednie może nawet w działalność naukową, uczynić ich dla niej użytecznymi, co mu się też w znacznej części powiodło. Osiadłszy po długim pobycie na wsi od r. 1842 w Poznaniu, rozpoczął obok wspomnianych już wyżej odczytów i zajęć publicystycznych pracę nad swemi *Dziejami Rzeczypospolitej Polskiej*, których pierwszy tom ukazał się w Poznaniu roku 1843 a które w roku śmierci autora (1855) miały urosć do objętości dziewięciu tomów i posunąć rzecz aż do czasu abdykacji Jana Kazimierza. Ponieważ wspomnieliśmy co dopiero o Moraczewskim, jako ówczesnym reprezentancie historyograficznej szkoły przeciwnej Łukaszewiczowi i Raczyńskiemu, pozwólmy sobie przed wskazaniem treści i ocenieniem naukowej wartości wielkiego dzieła Moraczewskiego nawiasu, w którym niechaj nam dalej będzie wolno wypowiedzieć zdanie nasze o stanowisku wartości jego teorii. Wszelki *doktryneryzm* w historyografii, jak w praktycznej polityce, uważamy za błąd prowadzący w prostej a nieuniknionej konsekwencji do historycznego i politycznego fałszu. Dzieje ludzkości i narodów nie rozwijają się według filozoficznego czy politycznego ideału, lecz według potrzeb, pojęć, namiętności i prądów chwili, w warunkach, jakie pewnemu społeczeństwu zakresliły tradycya, okoliczności, położenie geograficzne, stosunki wreszcie otaczającego świata. Uchwycić oblicze i ducha pewnej społeczności w chwili, czy w chwilach, jakie sobie za przedmiot swego opowiadania obrała na podstawie *takich* warunków i *takich* danych, otóż zadanie nauki historycznej i dziejopisarского kunsztu. Jedyną zaś *doktryną* jego mogą i powinny pozostać ogólne prawdy moralności ludzkiej i politycznej, w obrębie których dwóch zdań między ludźmi sumienia i uczciwości nie ma i być nie może. Owa, według nas, *konieczność* usunięcia jakiegobądź doktryny z rzędu czynników dziejopisarstwa, jest przeciw *koniecznością*, by ją zastósować do przedmiotu, który nas tutaj obchodzi, nie mniej wobec szkoły monarchicznej, jak republikanckiej. Ani jedna,

ani druga nie ma prawa doszukiwania się w przeszłości polskiej czy jakiejbądź innej stwierdzenia *dzisiajszych* teorii; ani jedna, ani druga nie ma prawa wytaczania przeszłości procesy ze stanowiska takichże teorii, które usłuchane niewykonalnie z *teraźniejszości w przeszłość*, byłyby to niby mogły zbawić i ocalić Polskę. Inaczej jednakże, aniżeli z doktryną przeniesioną z *teraźniejszości w przeszłość*, ma się rzecz z jakimbądź podstawnym, politycznym czy społecznym czynnikiem dostrzeżonym okiem, wydobytym i wyprowadzonym na jaw pracą historyka w dziejach pewnego narodu czy społeczeństwa. Otóż takim czynnikiem dpatrzonym trafnie, nie wyprowadzonym dostatecznie na jaw i nie uświadomionym narodowi przez republikanką, szkołę historyczną, jest nie jakiś nowomodny, obcy tradycjom, charakterowi i usposobieniu polskiemu republikanizm francuzko-angielsko-amerykański, lecz *pierwiastek gminowładczy* stanowiący istotę i sens moralny wewnętrznych dziejów Polski. Uważać go, skoro się patrzy na jego chorobę i zgniliznę w drugiej połowie XVII i przez XVIII wiek, za rozpustę i swawolę wogóle, za orgię rozpasanej szlachecczyny przeciw dobremu prawu monarszej władzy, za jakiś błąd organiczny zatrujący śmiertelnie wewnątrz Polski od początku do końca politycznego istnienia, przepominać jego ogromnych w przeszłości i *teraźniejszości* Polski zasług, jego pokojowych zdobyczy, jego dziwnej zdolności kształcenia charakterów i wychowywania ludzi, dopóki się nie wyrodził i nie skarłowaciał w prywatę, byłoby znów grzeszną jednostronnością. Najciekawszym, najwięcej uderzającym na pierwszy rzut oka pojawem w istnieniu dawniejszem i obecnem narodu polskiego, są *dwa* niewątpliwiej faktycznej prawdy, wyzywające badawczość psychologiczno-polityczną, zagadnienia, fakt jego wzrostu z jednej, fakt jego trwania i trwałości po zagładzie bytu politycznego z drugiej strony. Mylimyż się, będąc przekonania, wypowiadamyż *paradox*, skoro sobie pozwalamy twierdzić, iż *gminowładczy pierwiastek* będący w epoce swego rozkładu i rozprężenia przyczyną naszej zguby, był w poprzedniej epoce swego zdrowia i czerstwości główną

dźwignią i czynnikiem naszego wzrostu i wielkości; że, nie dość na tém, później, po upadku kraju stał się nam puklerzem moralnego bezpieczeństwa pośród i przeciw ogromowi otaczającego, usiłującego nas przeinaczyć ucisku? Dla czego, zapytujemy, kupią się i gromadzą w ciągu wieku XV, XVI nawet jeszcze XVII, około Polski, składając się na jej wzrost i wielkość, żywioły obce plemieniem, mową, wiarą? Z prostej przyczyny, iż rozumieją w związku z Polską odzyskać, zachować lub pozyskać *wolność*, taką naturalnie, jaką owe wieki pojmują, wolność *tych* żywiołów, które reprezentują, naówczas społeczność narodową a którą Polska, dzięki własnemu organizmowi gminowładczemu, zaręcza i im święcie szanować i przestrzegać. Owa Litwa, owe Prusy, owe Inflanty, owe Czechy i Węgry nawet dążą do związku z Polską, bo spodziewają się, bo czują, bo widzą, że im będzie *dobrze* w połączeniu z krajem, który się rządzi gminowładczo, który nie przedstawia gleby zdolnej wydać czy to zdzierczych i rozbójniczych panów, jak Krzyżacy, czy to srogich i barbarzyńskich despotów, jak Iwan Groźny. Pierwiastek gminowładczy staje się wielkim, pokojowym zdobywcą na rzecz Polski w *przeszłości*. Dzisiaj zaś, po całym szeregu rozbiorów, po całym stosie usiłowań wymierzonych ku zagładzie imienia, wspomnień, języka, nadziei i dążeń polskich; dzisiaj wśród owego ze wszech stron żywioł nasz otaczającego, wrogiego i niszczącego pożaru, cóż zapytalibyśmy, utrzymuje w stanie nienaruszalności, *moralnej* przynajmniej, w świadomości narodowego bytu, istnego owego salamandra polskiego? Znowu tenże przechowany bezwiednie, tradycyjnie, z przeszłości w teraźniejszość pierwiastek gminowładczy, który samą naturą i charakterem swego organizmu wzniosł nieprzebytą duchową, zaporę między narodem polskim a jego politycznymi panami wyrosłymi i istniejącymi na podstawie żywiołu wręcz przeciwnego, pierwiastek gminowładczy, który posiada właściwość wychowywania i kształcenia przedewszystkiem *indywidualnej samodzielności*. Korona Chrobrego rozprysła się na tyle szczątków, ile głów myślących, ile serc czujących w Polsce;

namaściła jedne i drugie do niepodzielnego przechowania pamięci swego majestatu. Ze się *takie* przechowanie symbolicznego klejnotu wśród i wbrew całego ogromu ucisku i trudów powiodło, jest, raz jeszcze, zasługą pierwiastku gminowładczego, który, jak co dopiero powiedziano, kształcąc samodzielność indywidualną, kształcił zarazem w narodzie chęć i praktykę samorządu; pozwolił mu pod skorupą zewnętrznego ucisku, na wewnątrz pozostać *sobą*... Czyż przeszkadza podobne zapatrywanie na ów zasadniczy i podstawny czynnik przeszłości polskiej wybuchnąć choćby nawet, gdzie i ile razy tego potrzeba, gniewem i oburzeniem, ale gniewem i oburzeniem *miłości* przeciw jego spaczeniu, skoszlawieniu, nadużyciu i sfałszowaniu? Czyż pojęcia *gminowładztwa* i *anarchii* miałyby być synonimami a czyż dzieje narodów starożytnych nie wskazują przykładów, że gminowładztwa w razach gorącej potrzeby i niebezpieczeństwa umiały abdykować na rzecz różnej nazwy i rozmaitych tytułów prawnych dyktatur? Uznanie tedy wagi i zasługi pierwiastku gminowładczego w przebiegu dziejów naszych nie potrzebuje mieć nic wspólnego ani z nowomodnym republikanizmem XIX wieku, ani być przeszkodą w potępieniu bądź to ludzi, bądź czynów sterczących smutniepomnikowo przykładami zdrożnego nadużycia swobody gminowładczej z ojczyzną krzywdą. Cokolwiekbądź przecież i jakkolwiekbądź mogą być w tym względzie zapatrywania, pozostanie pierwiastek gminowładczy czynnikiem godnym rozgrzać i zainteresować dziejopisarską wyobraźnię i dziejopisarskie pióro a stworzony na *jego* podstawie obraz całości dziejów polskich, nie potrzebowałby zaiste grzeszyć nieprawdą historycznego oblicza. Chodzi naturalnie tylko o dojrzałe naukowo uzasadnienie i przeprowadzenie podobnej tezy a tu nasuwa się ze względu na nasz przedmiot pytanie, o ile Moraczewski w swych dziewięciotomowych *Dziejach Rzeczypospolitej Polskiej* zadanie podobne rozwiązać potrafił. Chowając sobie ocenienie metody dziejopisarskiej i wartości naukowej jego dzieła na później, pozwalamy sobie w przedmiocie kierującej niem zasadniczej myśli wypowiedzieć

zdanie, iż pod *tym* względem *wczytano i umówiono* w Moraczewskiego więcej, aniżeli się z jego książki, trzymając się jój gołosłownych twierdzeń i orzeczeń, na prawdę *doczytać* można. Współczesna i późniejsza krytyka, jaka nad jego dziełem wyrosła i dotąd się tradycyjnie utrzymuje, polega, jeżeli się mocno nie mylimy w przeważnej części na zbyt bliskiej znajomości osoby autora i pojęć politycznych, jakie wyznawał. Współczesnej krytyce, czy to pisanėj, czy objawiającój się ustnie ze strony opinii publicznej, nie mogło się pomieścić w głowie, aby Moraczewski związany ściśle ze stronnictwem ruchu, chodzący blisko konspiratorów i konspiracyi, mający z powodu swoich przekonań politycznych opinię republikanina, mógł być w historii czem innym, jeżeli nie republikaninem i to republikaninem odszukującym w przeinaczonej przez się przeszłości polskiej stwierdzenia swego politycznego ideału. Przekonanie podobne zakorzeniwszy się bardziej może jeszcze w opinię publiczną, aniżeli w drukowane krytyki, przypięło się nieoderwalnie osoby Moraczewskiego jako historyka i uczyniło zeń jakiegoś wybudającego doktrynera szkoły republikanckiej. Jakże się tymczasem owa opinia ma do istotnej rzeczywistości? Niezaprzeczenie jest Moraczewski w swych zapatrywaniach przeciwnikiem Raczyńskiego i Łukaszewicza; niewątpliwie jest politycznie republikaninem, ale jestże istotnie owym doktrynerem teoryi republikańskiej w zapatrywaniu się na *przeszość polską*? Ostrożny i powściągliwy w życiu publicznem, jest Moraczewski równie ostrożnym i powściągliwym w stawianiu jakichbądź kategorycznych doktryn i teoryi na polu dziejowém a będąc niewątpliwym czcicielem pierwiastku gminowładztwa szlacheckiego, wyznaje ową część w ciągu swego dzieła ostrożnie, raczej biernie, aniżeli wyraźnie i stanowczo. Już za Piastów i Jagiellonów wprawdzie wskazuje na prawo elekcyjne szlachty, jako dowód jej gminowładczych rządów w epoce *poprzedzającej* niewątpliwą datę wybieralności królów. Tam, gdzieby Łukaszewicz i Raczyński byli niezawodnie stanęli po stronie królewskiej, staje Moraczewski jak n. p. w opisie wojny kokoszej za

Zygmunta I, rokoszu Zebrzydowskiego za Zygmunta III, rokoszu Lubomirskiego za Jana Kazimierza, po stronie przeciwnej. Podobnie ma się rzecz, ile razy mu przyjdzie skreślać jakibądź zatarg możnowładztwa magnackiego z gminowładztwem szlacheckiem. W opowiadaniu dziejów reformy religijnej walczy i to stanowczo sympatjami swemi za reformą, przeciw prześladowczości reakcyi katolickiej. Owo stanowisko gminowładcze jest jednakże traktowane w sposób tak przedmiotowy, tak beznamiętny, tak widocznie pozbawiony wszelkiej intencji jakiegobądź na czytelnika nacisku, że trudno dopatrzeć się doktrynera usiłującego śmiało postawić i przeprowadzić swą tezę. Przeciwnie, powiedzielibyśmy, że jego historyczno-polityczna teoria rozwodnia się i rozczynia raczej w unikającym wyraźnie sformułowanych konkluzyi opowiadaniu. Jak zaś dalekim jest Moraczewski od przypisywanej mu przez powierchowną krytykę myśli i chęci sympatyzowania ze zdrożnościami i wybrykami gminowładztwa szlacheckiego, niechaj posłuży za dowód sąd jego n. p. o szlacheie ulatniającej się z obozu Jana Kazimierza podczas wyprawy Beresteckiej; niechaj posłuży dalej jego zdanie o *liberum veto* z powodu zerwania sejmku z roku 1652 przez Sicińskiego. O pierwszej mówi jak następuje: „Tymczasem w obozie polskim nie jest też spokojnie i nie ma tam poświęcenia życia za dobro pospolite, tylko *privata* (sic) na jaw się okazuje i szlachta, żeby zniw w domu dopilnować, przypomina natarczywie o prawie z roku 1573, ale przewrotnie przez siebie wykładanem, że nad dwie niedziele w pospolitem ruszeniu zostawać nie potrzebuje. Wreszcie powiada, „szkoda krwi szlacheckiej, lepiej nająć Niemca, co za pieniądze daje gardło“... O smutnej pamięci czynie Sicińskiego odzywa się dosłownie, jak następuje: „Jakkolwiek i dawniej zrywano sejmy, to jednakże nie w skutek oddalenia się jednego posła. Prawda, że dbano o to, aby nikt nie protestował przeciw ważności dalszych obrad, lecz jedynie z tej przyczyny, że poseł coby to mógł uczynić, snadnoby stanął na boku, ściągnął do siebie przeciwników większości i mógłby

się stać powodem do konfederacji, rozdziwienia Rzeczypospolitej i wojny domowej. Starano się więc zawsze upartego przejednaniem do zgody z drugimi nakłonić i w izbie zatrzymać. Ta właśnie obawa rozdziwienia szlachty i skwapliwe chodzenie wszystkich rozsądnych około udobruchania jednego krnąbrnego głupca albo niegodziwca przenoszącego swój interes nad popolity, w wieku, w którym ludzie świeccy wychowania jezuitckiego zrzekli się wszelkiego prawa do myślenia na monopol Jezuitów, wyrodziła w końcu przekonanie, że postłowi każdemu służy prawo tamowania obrad. I tym sposobem przez dążenie do zgody przesadzone, otworzono dopiero wrota najwyższej niezgody. Sam w sobie postępek Sycińskiego był wypadkiem małej wagi, ale że dał początek zrywania sejmów przez *liberum veto* (niepozwalam), czy to w interesie panów, czy królów, stał się następstwami swemi bardzo głośnym. Czyli zaś zasługuje aby na niego *kłaść* tak wielką wagę, jak kładą zwykle *historicy*, to rzecz bardzo wątpliwa. W jedności bowiem obyczajów, bez zepsucia się, Polaków, bez wygórowanego sobkostwa, byłby król mógł z senatem i bez sejmu rząd jak najlepiej prowadzić, a nawet rozpisane podatki byłyby się dały pościagać, byle tylko na wojnę i rzeczywiste potrzeby. Tak bywało nieraz dawniej i dobrze się działo, bo prawność obywatelska była i będzie zawsze głębszą i mocniejszą podstawą państw, niż krój instytucji, niż zachwalony u innych narodów najsztuczniejszy organizm władz i całego rządu. Ale wiek XVII w całej Europie nienawidził cnoty, a w przewrotności nad inne wygórował. Nie *liberum veto*, lubo samo przez się niedorzeczne, ale podłość za nie się kryjąca, która z byle czego umie sobie robić zasłonę i wytrych złodziejski, w nie się opatrzwszy pędziła naród polski z drugimi po drogach nieprawości. Inne w tym czasie narody europejskie jako *despotyczne* (sic) miały za pierwiastek żywotny *postrach*, inne jako monarchiczne żyły *honorem*, to jest ukwieconym egoizmem klasy wyższej w społeczeństwie i mogły się bardzo dobrze obywać bez cnoty, ale Polska jako rzeczpospolita (w znaczeniu

państwa) stojąca tylko na *cnocie*, zwątlawszy cnotę, odrazu sam drzeń swego drzewa zarażała zgnilizną i pruchnieć poczęła; nie powiemy, że do samego korzenia tkwiącego głęboko na spodzie i mającego siłę do puszczenia jeszcze zieleńszych latorośli, niż inne państwa, ale to pewne, że odmłodzi się dopiero po spruchnieniu wszystkiego co bujało do góry“ Niechaj ta zawila i niezręczna próba stylistyki Moraczewskiego obejmująca ważną część jego historyczno-politycznego wyznania wiary, będzie odpowiedzią tym wszystkim co zeń robić gotowi zwolennika *Liberum veto* i jakichbądź wybryków wybujałości szlacheckiego gminowładztwa. Doktryneryzm republikancko-gminowładczy byłby tedy najmniejszym z pewnością grzechem Moraczewskiego jako historyka. Co do nas, zarzucilibyśmy mu, pozostawiając nietkniętą *zasadę*, ważne błędy i usterki *wykonania*. Pierwszy tom *Dziejów Rzeczypospolitej*, obejmujący dzieje polskie aż do roku 1386, jest już napisany po *Historji polskiej* Röppla w zbiorze Heerena i Ukerta, miał więc bardzo naśladowania godny wzór, którego, powiedzmy z góry, nie dosięga pod względem krytyczności i naukowej wartości. W pierwszym tym tomie nie widać ani badawczego oka, ani oryginalności poglądów, ani śladu jakichś samodzielnie podjętych studyów i poszukiwań. Jestto proste zużytkowanie i streszczenie znanych do dziejów owęj epoki źródeł bez ożywienia ich i rozświecenia własnym rzutem światła. Strona artystycznego opracowania i język pozostawiają również bardzo wiele do życzenia. Moraczewski nie objawia, w tym pierwszym przynajmniej dzieła swego tomie, tyle ważnego w sztuce dziejopisarskiej przymiotu, umiejętności grupowania wypadków. Wszystko tu, jak w kronice średniowiecznej lub na obrazie bizantyńskiej szkoły bez perspektywy i na jedynym planie, rzecz opowiadana bezbarwnym, pozbawionym siły i jędrności stylem. W dodatku stworzył sobie Moraczewski dziwaczną ortografię i afektowaną prostoty język, który go i w następnych nie odstąpił tomach. Nie w *zasady* tedy, lecz w *wykonanie* Moraczewskiego miała prawo i powód uderzyć krytyka. Uderzyła jednakże

w łamach *Orędownika* równie namiętnie, jak nieudolnie ze strony Łukaszewicza i Wacława Aleksandra Maciejowskiego w *zasadę* właśnie, w podrzędnej dalej wagi okoliczność, że autor zaniedbał zaopatrzyć dzieło swe w *przypiski*... Takim był obejmujący historią Piastów *pierwszy* tom dzieła Moraczewskiego *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*. Sumiennosc krytyczna nakazuje przeciez stwierdzic, ze po takim poczatku nastepne tomy podnosza sie, w porownaniu z pierwszym przynajmniej, bardzo znacznie w naukowej i artystycznej wartosci. Nie przedsiębierze wprawdzie do epoki Jagiellońskiej, od której drugi tom zaczyna, jakichbądź samodzielnych poszukiwań, nie bada zagranicznych czy krajowych archiwów. Za to jednakże staje się *odtąd* jego historia sumiennem i umiejętnem streszczeniem wszelkich drukowanych materiałów na podstawie przedewszystkiem Długosza. Odtąd też to aż do końca dzieła, to jest aż do jego dziewiątego tomu obejmującego dzieje Jana Kazimierza, utrzymuje się autor na zyskaną dokładnem zbadaniem wskazanych co dopiero źródeł i nabytą, pisarską rutyną, wysokości. Nie jest to, powtarzamy raz jeszcze, historyk dzisiejszej szkoły i nowej metody, któryby nie poprzestając na znanych materiałach, starał się rozszerzyć swój widokrąg własnymi i samodzielnymi poszukiwaniami. Jestto przeciwnie pisarz zestawiający znany i gotowy materiał a zdążający w podobnej pracy rączy i ochoczy ku spełnianiu postawionego sobie zadania: skreślenia na obszerne rozmiary *całości* historii polskiej. W dążeniu do tego celu pisze dzieje Jagiellonów, Henryka Walezego, Stefana Batorego, Wazów, przewyższające naukową wartością i sztuką opracowania nieskończenie dzieje Piastów. Dzieło jego ma tem większą w obec społeczności naszej zasługę, iż aż do jego wystąpienia historyografia polska dzieła podobnej objętości, ogarniającego tak znaczny obszar przeszłości naszej dziejowej nie posiadała. Jakikolwiek tedy ze stanowiska dzisiejszego postępu nauki dziejowej być mogą niedomagania *Dziejów* Moraczewskiego, pozostaną przeciez one dziełem wielkiej, wszelkiego uznania godnej zasługi. Zresztą,

jak późniejsze ich tomy, jak dzieje Jagiellonów, Henryka, Stefana i Wazów mają niezaprzeczoną naukową wartość, tak znów na korzystniejsze jeszcze i dodatniejsze nawet pośród nich wyróżnienie, zasługuje osobno w roku 1851 wydane dzieło jego *Polska w złotym wieku*, summa i to wielce zaszczytna summa wiedzy, nauki, badawczości historycznej i zdolności opowiadawczej, na jaką się autor w ciągu długiego swego zawodu pisarskiego mógł zdobyć. W barwnym tym zwyczajów, obyczajów prawodawstwa publicznego, cywilnego, ruchu umysłowego obrazie społeczeństwa polskiego z XV, XVI i XVII wieku, kruszy autor więzy jakie sobie samowolnie nakłada w historii politycznej teje samej epoki. Staje się swobodniejszym i samodzielniejszym; odzyskuje zdolność opowiadawczą, pewną wolność ruchów wraz z talentem grupowania; stwarza, słowem, rzecz, która daje najlepsze z wszystkiego co o tej epoce pod *tym* względem dotąd pisano wyobrażenie, o stanie obyczajowym, moralnym i politycznym wieku Jagiellonów . . . By i o tem nie zapomnieć pozostanie *styl* Moraczewskiego najujemniejszą, pono stroną jego dziejopisarskiego zawodu a pod *tym* względem miałyby wiele bardzo do pozazdroszczenia przeciwnikowi swemu Łukaszewiczowi. Przytoczyliśmy próbkę jego stylu wyżej. Nie ma tam niby grzechów przeciw czystości języka, ani przeciw wymaganiom jego gramatyki. Mimo to robi on wrażenie stąpania jakoby w powiciach; brak mu swobody i potoczności, brak jakoby odpowiedniej przedmiotowi, tyle nieodzownej mu męskiej siły i poważnego nastroju. Mimo to, mimo wszystkich niedomagań pozostanie Moraczewski historykiem wysokiej zasługi, jako pierwszy po Naruszewiczu, który na podobne jemu, obszerne rozmiary podjął a w znacznej części i przeprowadził trudny do wykonania pomysł opracowania całości dziejów Polski. Co zaś nie najmniej ważna, potrafił zainteresować niemi publiczność polską, rozpowszechnić pomiędzy nią znajomość przeszłości narodowej, wywołać krytykę i krytyki, które znów w rezultacie obróciły się na rzecz rozszerzenia koła zajmujących się i trudniących

o czystymi dziejami. Nie najgorszym pono dowodem wartości naukowej i użyteczności wystąpienia Moraczewskiego pozostanie, iż wielu pisarzy, nie wyjmując przedewszystkiem takich, co zasadniczo zajmują odmienne niybo stanowisko, przy rozmaitych sposobnościach i w najrozmaitszych pracach bardzo obficie zgotowaną przezeń strawą się karmią... Po za obrębem dziewiciotomowych *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*, zasługują jeszcze na uwagę wspomniane już wyżej przez nas, wydane w dwóch grubych tomach *Starożytności Polskie*, w których wszystkie prawie lepsze, ważniejsze i obszerniejsze artykuły są pióra Moraczewskiego i dla tego też zapewnie, na ten raz zaś bez słusznego powodu, wywołały „jako objaw i produkt nieporządnego pospolitego ruszenia“ zjadliwą wycieczkę ze strony Łukaszcwicza w *Orędowniku*. Z mniejszych prac historycznej treści Moraczewskiego zapisać nam jeszcze przychodzi dzieje polskie dla ludu wydane w r. 1850 w Poznaniu pod tytułem *Opowiadanie gospodarza Jędrzeja, jakato dawniej była Polska*, pracę, która nie miała czasu wyrzucić odpowiedniego swęj dążności i wartości wpływu, ponieważ się zbyt prędko spotkała z prokuratorem i konfiskatą; następnie *Opis pierwszego zjazdu słowiańskiego w Pradze r. 1848*, rzecz sucha, raczej wartości statystycznej, aniżeli historycznej i politycznej; wreszcie *Wypadki poznańskieroku 1848*, w których autor sam miał żywy udział. Dziełko to, traktujące znane i pamiętne wszystkim świeże naówczas dzieje teraźniejszości, dzisiaj już rzadkość bibliograficzna, bo skonfiskowane również swego czasu na rekwizycję prokuratorską, sprawiało poniekąd dziwaczne wrażenie przez sprzeczność staroświeckiej formy zastosowanej do wypadków dnia dzisiejszego. Gdy autor, posługując się dykcją kronik Bielskiego czy Strykowskiego, opowiada, jak wszystkie obozy polskie zebrały się razem „u *Miłostawia*“, lub gdy mówi, że Mierosławskiemu zbywało po spotkaniu Sokołowskiem „potrzebnego strzeliwa“, mogłoby się zdawać zaiste, że to rzecz „o jakiej potrzebie króla Stefana z Gdańszczany pod Tczewem“ lub „o przewagach króla JM. Jana Kazimierza

przeciw Chmielnickiemu pod Beresteczkiem.“ Moraczewski lubował się przecież w łączeniu podobnych przeciwieństw i cieszył się nawet, gdy mu je wytykano. Po za tymi reprezentantami dwóch przeciwnych sobie szkół historycznych, nie przedstawia dziedzina historii w ówczesnej całości literatury poznańskiej, zbyt obfitego obrazu. Starajmy się jednakże zebrać tu i streścić sporadyczne jej pojawy. Jeżeli, jakoby przychodząc szkole republikańskiej w sukurs, zasłużona tyle później swemi wydawnictwami w Poznaniu księgarnia Żupańskiego, przypomina po raz pierwszy od roku 1831 na gruncie krajowym imię Joachima Lelewela, wydając w roku 1844 w sporym tomie jego *Rozbiory dzieł*, odpowiada znów szkoła monarchiczna wydana w Lesznie w roku 1841 nakładem księgarni Günthera *Małą Encyklopedyą polską* Stanisława Platera. Ukazujące się to w kilkunastu poszytach niezaprzeczonej zkadłinań użyteczności i wartości naukowej dziełko, stoi najzupełniej na gruncie zasady monarchicznej, na podstawie nienawiści do gminowładztwa szlacheckiego, posuwając się w tym kierunku niekiedy dalej, aniżeli dopuszczać by były powinny prawda i sprawiedliwość historyczna. Doczekano się też entuzjastycznej pochwały ze strony Łukaszewicza w zestawieniu i porównaniu ze *Starożytnościami polskimi* Moraczewskiego... Przepomnieć-że dalej datujące się z tejże samej epoki próby popularnej historii polskiej dla ludu, próby stojące zasadniczo na podstawie szkoły, której daliśmy miano *republikańskiej*? Do nich zaliczyć należy niudaną, afektowaną, przedrzeźniającą nielitościwie język polski w intencji uczynienia go popularnym książeczkę Julii Wojkowskiej, *Dzieje polskie od Lecha do Jadwigi*, rzecz dzisiaj najdoskonalej zapomnianą; następnie owe świetne talentem opowiadania i pięknnością języka, rozpowszechnione w tylokrotnych wydaniach, po raz pierwszy ogłoszone w Poznaniu roku 1845 *Wieczory pod Lipą Grzegorza z pod Racławic* Lucyana Siemieńskiego? Jestto z pewnością najświetniejszy specymen popularnego wykładu historii dla ludu, na jaki się którabadź z literatur europejskich zdobyć potrafiła...

Warunkujący w owej epoce wszelkie objawy umysłowego życia narodowego antagonizm między *postępem* a *konserwatyzmem*, przenosi się i odbija i na próbach *historii literatury*, na jakich także Poznańskiemu wówczas nie zbywa. Jeżeli, jak już wiadomo, Edward Dembowski wydaje w r. 1844 w Poznaniu swe *Piśmiennictwo polskie w zarysie*, rzecz pospiesznie, gorączkowo i dorywczo wykonaną, z dążnością aż do ostatecznej przesady demokratyczno-postępową, napisał i ogłosił poprzednio ze stanowiska czysto i wyłącznie naukowego w Lesznie roku 1838, znany nam jako jeden z twórców *Przyjaciela Ludu* profesor Jan Popliński, pod skromnym i niepokaźnym tytułem *Wypisów polskich, części drugiej, Historię prozy polskiej z wyimkami*, która pozostanie jednym z najcenniejszych podręczników dziejów naszego piśmiennictwa a zasługuje doprawdy, by prędzej czy później była wydobyta, szczególnie dla użytku dojrzałszej młodzieży, z dawnego zapomnienia w ponownym jakim wydaniu. Po za owemi wydawnictwami i samodzielnymi pracami historycznymi *obozów* partyjnych a przynajmniej osobistości któreby się do nich zaliczyć i zaklasyfikować dały, ileżto jeszcze naówczas w Poznańskiem pojawia się szacownych publikacji treści dziejowej, które słuszność i faktyczna prawda pod podobne sztandary wtlaczać nie pozwalają! Zaliczmy do nich, nie mówiąc o rozpoczynającym się naówczas przez księgarnie Żupańskiego i Stefańskiego na przemian wydawnictwie dzieł Lelewela, *Tablice synchronistyczne do historii polskiej* niewiadomego autora, wydane w r. 1845 przez Żupańskiego, *Wiadomości o Konfederacji Barskiej* Kaczkowskiego wydane przez tę samą księgarnię w roku 1843, *Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce* doktora Ludwika Gąsiorowskiego, wzrosłe od roku 1839 do 1856 w objętość czterech poważnych tomów; przekład *Dziejów polskich* Jana Długosza przez Gustawa Bornemanna, rozpoczęty w Lesznie r. 1840 nakładem Księgarni Günthera, przerwany z powodu zbyt rychłego zgonu zacnego tłumacza; *Obraz wieku panowania Zygmunta III* Franciszka Siarczyńskiego w no-

wem wydaniu księgarni Kamieńskiego z roku 1843; zajmujące, wydane w roku 1845 z rękopismów Biblioteki Kurnickiej przez Lucyana Siemieńskiego. *Pamiętniki o Samuelu Zborowskim* . . . Postępując w podobnym wyliczaniu ukazujących się naówczas w Poznańskim wydawnictw treści historycznej, popadlibyśmy naszym opowiadaniem w *to* właśnie, czego unikać pragniemy. Rzecz nasza stałaby się katalogiem, kiedy zadaniem jej streszczenie rezultatów, odtworzenie zbiorowego, umysłowego i literackiego oblicza epoki. Niechaj to, cośmy powiedzieli i mimochodem wyliczyli, będzie dowodem wszechstronnego, rozbudzonego życia ówczesnego w Poznańskim i na polu *dziejowem* . . .

V.

Niechaj dowodem tegoż samego spostrzeżenia, niechaj stwierdzeniem prawdy o odzywającej się *wszechstronności* owego życia będzie interes, jaki się odzywa naówczas właśnie, jak nigdy poprzednio, jak nigdy później, pomiędzy uniwersytecką młodzieżą mianowicie i pośród czasopiśmiennictwa poznańskiego dla *nauk filozoficznych*. Zagłębianie się w świat abstrakcyi, Faustowe poszukiwania niedoścignionój, filozoficznej prawdy, nie było nigdy właściwością polskiego ducha. Ztąd też to nie może się literatura polska poszczycić imieniem, z którejmy się wiązała sława stworzenia osobnego systemu filozoficznego. Grunt polski nie sprzyjał przyjęciu się i wzrostowi filozoficznych nauk. Za *dawnej* Polski przeszkadzał im system jezuickiego wychowania; za *porozbiorowój* Polski nie pozostawiał im czasu gorączkowy stan życia narodowego, codzienna potrzeba liczenia się z jego twardą praktyką. Myśliciele dwóch narodów cywilizowanego świata, które się zdobyły na stworzenie osobnych systemów filozoficznych, Greków w starożytności, Niemców w czasach nowszych, znajdowali w tradycjach dziejowych swego otoczenia, w okolicznościach zewnętrznych, wśród których żyli,

w humanitarnych celach, jakie sobie złożyli, owego Sokratesowego, niedostrzegalnego, ale dosłyszalnego ducha, który im podszeptywał pracę i drogi myśli, darzył spokojem i równowagą potrzebną do snucia ideałów ogarniających *całą ludzkość*. Inaczej działo się i dzieje z narodem wskazanym ciężkimi trudami codziennego położenia na obowiązek ciągłego pamiętania *o sobie*. Głębia polska nie sprzyjała tedy raz jeszcze, naukom filozoficznym a literatura polska nie wskazuje osobnego filozoficznego systemu. Uderzającym przecież pozostanie pojawem, pojawem świadczącym dziwnie o rozbudzonej może gorączkowo nieco *w każdej* dziedzinie ducha żywotności polskiej po roku 1831, iż choć na krótko i przemijająco budzi się pośród społeczeństwa polskiego interes dla filozofii i filozoficznych nauk. Dość przypomnieć sobie pod tym względem ówczesną młodzież polską na uniwersytetach niemieckich, owo gorączkowe zajęcie się i przejęcie teoryami Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, owe dysputy prowadzące często do krwawych zatargów, owo grupowanie się na uniwersytecie berlińskim jednych pod sztandarem wykładającego logikę Arystotelesową, Trendelenburga, drugich pod deklamatorskim przewodnictwem popularyzującego logikę Heglowską, Micheleta. Wspominając sobie te czasy, uprzytomniając sobie ich spory na polu teorii zwodzone, choć dla tego niemniej zacięte, spoglądając na anegdotycznego owéj epoki młodzieńca, który w zapale filozoficznym posunął się tak daleko, iż stawiony pod zarzutem zbrodni stanu przed sąd berliński, chciał powagą filozofii Lutra i St. Simona przekonywać trybunał o swéj niewinności, przychodzimy wobec *dzisiajszej* dla tego wszystkiego obojętności, do dziwnie Akibowych zastanowień nad znikomością wszelkich spraw i rzeczy ludzkich. Cokolwiekbądź tedy rodzi się, prawda, iż przez bardzo krótki czas tylko na podobnym gruncie interes pewnéj części przynajmniej społeczeństwa polskiego dla nauk filozoficznych, ale, co dla nas rzeczą główną, zapytajmy sumienia, serca i ducha owéj epoki: jakie tenże interes, dostawszy się w *medium* polskie przybiera

kształty? Pojaw rozrzuwający i charakterystyczny równocześnie jak bliżej uzasadnić i wykazać będziemy się starali. Mniejsza, że akademicy berlińscy, wrocławscy czy królewieccy, idąc za chorągwią, czy to Gansów, Trendelenburgów i Micheletów, czy Branissów lub Rosenkranzów zwodzą, abstrakcyjne spory o pojęcie „*der Ichheit*,” o prawdy czy fałsze skrajnej lewicy czy skrajnej prawicy Heglowskiej szkoły. *Głębsi* myśliciele owiej epoki, ludzie mający chęć i poczuwający się do zdolności *tworzenia i budowania* na tem polu, objawiają siłę i żywotność ducha narodowego przez wyobrażającą się w nich wszystkich razem, bez jakiejś zmowy i planu ułożonego z góry, intencją przetłumaczenia z natury rzeczy kosmopolitycznej nauki, jaką jest filozofia, na rzecz, cześć i potrzebę *polską*. Systemy filozoficzne znają tylko ludzkość, nie znają narodów. Myśliciele polscy mają przedewszystkiem, a cześć niechaj im za to będzie, na pierwszym planie własny naród; *przez* dopiero dążą do rozwiązania wielkich humanitarnych zagadnień. W literaturze polskiej po roku 1831, jeżeli pominiemy ścieśnione i stłumione kleszczami cenzury rossyjskiej próby filozofii katolickiej Eleonory Ziemięckiej, *Obraz myśli mojej* lub inne *Studia filozoficzne Floryana Bochwica* pojawiają się naówczas dla swobodnego traktowania przedmiotów treści filozoficznej *dwa* przedewszystkiem ogniska: *emigracya* i *Poznańskie*. Mamy w emigracyi katolickiego filozofa Ludwika Królikowskiego, autora *Polski Chrystusowej*, mamy Antoniego Bukatego, mamy wielkiego choć paradoksalnego niekiedy myśliciela w Hoene-Wrońskim, Poznańczyku, nawiasowo powiedziałwszy, rodem, obcym Poznańskiemu i miejscowej i jego literaturze działalnością naukową, W Poznańskiem i jego ówczesnej literaturze streszcza się reprezentacya filozofii i nauk filozoficznych do trzech głównie osobistości: Bronisława Ferdynanda Trentowskiego, Karola Libelta i Augusta Cieszkowskiego. Wiadomy zawód naukowy pierwszego. Wyszedłszy po roku 1831 z kraju, zatrzymywał się w Niemczech oddał się studjom filozoficznym, zyskał następnie, pisząc początkowo po niemiecku, stanowisko docenta w fakultecie filo-

filozoficznym uniwersytetu Freiburskiego w Badeńskim. Ruch naukowy i literacki w kraju oddziaływa nań, na obudzenie jego naukowej działalności w kierunku i języku ojczystym a po roku 1840 widzimy Trentowskiego współpracownikiem czasopism głównie poznańskich, między innymi *Roku i Orędownika* razem, tudzież drukującego cały szereg większych dzieł treści filozoficznej w otwierającym naówczas wszystkim objawom ducha i pracy polskiej gościnnie przybytek Poznaniu. W *Orędowniku* ogłasza częściowo ustępy swego dzieła *Demonomanii czyli nauka nadziemskiej mądrości*, rzecz, przypominającą raczej treścią i konkluzjami chorobliwą *Jasnovidzącą z Prevorstu* Justyna Kenera, aniżeli studyum będące stwierdzeniem lub wynikiem jakiegobądź problemu filozoficznego. Wdzięczniejszy przedmiot przeznaczył Trentowski dla *Roku*, zamieszczając w nim obszerną rozprawę o Hoene-Wrońskim, jako wyrazie polsko-francuzkiego Messyanizmu. Nie zastanawiając się bliżej nad innymi jego, licznymi w czasopismach poznańskich zamieszczonymi pracami, z pośród których studyum w *Roku*: *O stosunku filozofii do religii*, godzące obie, występujące przeciw *hierologii*, jako chorobliwej stronie drugiej, na szczególną zasługuje uwagę, — wspomnijmy i przypomnijmy zapomniane już dzisiaj tak doskonale obszerniejsze jego prace na polu filozoficznym. Rozpoczyna poważny ich szereg wydana w Poznaniu roku 1842 *Chowanna czyli system pedagogiki narodowej*; w tymże samym roku, również w Poznaniu, wychodzi jego *Stosunek filozofii do cybernetyki czyli sztuki rządzenia narodem*; we dwa lata później *Myślini czyli całokształt loiki narodowej*, w roku 1845 wreszcie w osobnej książce, drukowana poprzednio ustępami w *Orędowniku*, *Demonomania czyli Nauka nadziemskiej mądrości*. Podrzednej wagi w naszym historycznym szkicu kwestya, o ile Trentowski we wszystkich tych pracach jest samodzielny, o ile użytkowuje tylko naukowe zdobytki filozofii niemieckiej, o ile to, co się stara zbudować samodzielnie, wytrzymać może krytykę. Jeżeli *Myślini*

otwiera rzeczywistość nowe horyzonty filozoficznej myśli i posuwa naukę dalej, niepodobna nam w *Chowannie* nie widzieć dziwactw i paradoxów, z którychby zapewne ojciec, matka i mąż polski w swojej praktycznej *chowannie* dzieci, w sztuce kierowania domem i rodziną, korzystać nie mogli i nie chcieli. Również schodzi *Stosunek filozofii do cybernetyki* na dość słabą próbę idealizowania monarchiczno-konstytucyjnej formy rządu, jako Ludwiko-Filipowego *juste-millieu*, pośród niebezpieczeństwa despotyzmu z jednej, anarchii, jaką autor upatruje w republikańskiej formie rządu z drugiej strony. W dodatku zaś, co najlepsza, burzy przecież autor ideał rąk własnych, przypuszczając możliwość i zastrzegając narodowi prawo wypowiedzenia posłuszeństwa monarsze. Wojujący w swój książce zacięcie przeciw republikańskiej anarchii, polemizujący w niej nie bez cierpkoci i kwasu z emigracją, autor, przychodzi drogą jakiejś dziwacznej konsekwencji do usankcjonowania w swym systemie filozoficzno-politycznym, w Rzeczypospolitej *Platona swego* autoramentu, czegoś, co z prawem konfederacji i *liberum veto* dawniej Polski w bardzo bliskim pozostaje pokrewieństwie. Powtarzamy więc raz jeszcze, że system, czyli ściślej powiedziawszy, pomysły filozoficzne Trentowskiego są bardzo różnej a często i bardzo problematycznej wartości. Czego natomiast pozostaną świetnem od początku do końca stwierdzeniem, to powyższego spostrzeżenia: o dążności naszych ówczesnych filozofów stworzenia Polsce i narodowi polskiemu osobnego systemu filozoficznego, uczynienia przedmiotu z natury rzeczy kosmopolitycznego, *narodowym*. Wszystko czego Trentowski dotknie, wyjąwszy może studjum o *Demonomanii*, nosi, mimo i wśród wszystkich dywagacji jego często paradoxalnego i niekoniecznie ściśłego w ostatecznych konkluzjach umysłu, wskazaną wyżej cechę. *Myślini*, czyli logika ma być logiką *narodową* w przeciwstawieniu czy uzupełnieniu logiki filozofii greckiej i niemieckiej, z gruntem jakim bądź *narodowym* nic wspólnego nie mającej. Jego *Chowanna* czyli sztuka wychowania zwraca się w swych założeniach i konclu-

zyach do wychowania, do urządzenia domu i rodziny *polskiej*. Jego *Cybernetyka* czyli sztuka rządzenia państwem, jakkolwiek mająca pretensję być rodzajem kodexu filozoficzno-politycznego dla całej społeczności ucywilizowanego świata, zwraca się mimowolnie, mimowiednie może nawet tak dalece za każdym krokiem do stosunków i rzeczy narodowych, że nie uważa nawet za rzecz niegodną traktatu tak wysoce filozoficznej treści, wchodzić w polemikę z emigracją, zarzucać jej, że mimo tyle i tak głośnej roboty piórem, ustami i propagandą polityczną, nie zdołała stworzyć Polsce ani znakomitego wodza, ani wielkiego męża stanu... Tyle o Trentowskim, głośniejszym w epoce, której szkic niniejszem skreślamy i wido-cześniejszym w czasopiśmiennictwie poznańskim, aniżeli w ja-kiejś bądź innej części kraju, aniżeli pośród jakiegobądź in-nego odłamu tyle rozrzuconej na wszystkie strony wówczas społeczności polskiej... Tenże sam pojaw uderza nas w drugim z trzech wspomnianych wyżej, reprezentujących naówczas w Poznańskim literaturę i nauki filozoficzne mężów, znanym nam już jako publicyście, obywatelu, profesorze *Karolu Libelcie*. Wolnoż wypowiedzieć tutaj przekonanie, że Libelt publicysta, obywatel i niezrównany popularyzator nauki zdaje nam się przewyższać Libelta jako męża nauki, że Libelt w swój *Dziewicy Orleańskiej*, w swój *Estetyce czyli umniectwie pięknem* nie jest zupełnie oryginalnym, że zaś najważniejsze, najobszerniejsze i najsamodzielniejsze z wszystkich dzieł jego, wydana w Poznaniu r. 1845 *Filozofia i Krytyka*, wychodząc, jak sam powiada, z podstawy zdobytej przez filozofię nie-miecką, po jej barkach dopiero, jeżeli tak wolno powiedzieć, sięga do wyższych szczebli rozwoju myśli filozoficznej? „Fi-lozofia rozumu“, mówi Libelt, „nasamprzód się pojawiła światu i począwszy od filozofii greckiej, przez średnie wieki i nowsze czasy aż do Hegla, uprawiana była sama niwa rozu-mowa. Nie dziwny się, że dwa tysiące lat było tej pracy. Jak w niezmierzonej światów światło promienne, ubiegające czterdzieści tysięcy mil na sekundę, potrzebuje tysiąc lat, aby

z oddalonych słońc do nas doszło; tak w niezmierzonej mądrości Boga, której odblask w rozumie ludzkim płonie, nie-skończone są granice tego światła i *eony* lat, ani ludzkość cała wyczerpnąć go nie potrafią. Filozofia kształtów i czynów nie wylania się zatem z objęć rozumu, ani przestaje rozświetlać jego okolice, bo tylko o światło jego pochodni potrafi dalej kroczyć, bezęń nie widziałyby nie przed sobą i nie poznawała nic. Filozofia nowa, nie przestając być filozofią rozumu, wypiera się tylko jego jednostronności; zaprzecza detychczasowej filozofii niemieckiej, aby duch był *samą* tylko potęgą rozumu a *samo* myślenie całą jego wypełniało istotę; twierdzi, że wyobraźnia i wola równorodnymi i równowładnymi są potęgami duchowymi i że, jak dotąd była filozofia rozumu tak być powinna także filozofia wyobraźni i filozofia woli.“ Owa „*filozofia wyobraźni*“ jest tedy w systemie krytyczno-filozoficznym Libelta nowym szczeblem postępu nauki filozoficznej, nowym jej zdobytkiem, sięgającym po za granice „*filozofii rozumu*“ Hegla, ale, co więcej, a w *tem* właśnie streszcza się główna myśl *polskiego* badacza, jest zdobytkiem *myśli narodowej polskiej*, znamionującej nim obecność swą na polu filozoficznym. Libelt nazwawszy z góry swą *Filozofię i Krytykę* „częścią organiczną, częścią krytycznie opracowanymi pomysłami do filozofii słowiańskiej a w szczególności polskiej,“ przychodzi do następnego zdania, nie pozostawiającego żadnej wątpliwości co do ostatecznych jego filozoficznych konkluzji : „Formy pierwotne są oczom światem niewidzialnym, który najprzód pracą wyobraźni ludowej staje się widzialnym i przechodzi w formy pochodne. Umiejętne i doskonalsze tego świata kształty rozwinięły się przez oświatę w późniejszych wiekach, ale rozwinięły się z form ludowych i po dziś dzień to życie pracowne młodzieńczej zawsze wyobraźni ludowej, nieustająca jest form pochodną krynicą. Masy ludu są jak gór pokłady, w których się nieustannie czyste źródła tworzą a z nich dopiero nabierają wód strumienie oświaty, zanim się szerokim potokiem po narodach wyleją. Uderzyło niejednego, żeśmy początki

filozofii a raczej jej pierwiastki do pojęć i wyobrażeń ludu odnosili. Na tem miejscu pokazuje się tego twierdzenia naszego prawdziwość. Filozofia jest także tylko jedną z form pochodnych a jako taka nie może mieć swego źródła indziej, jak w umysłowości ludu. Kto przyjmuje to źródło filozofii, musi zarazem przyjąć narodowy charakter filozofii. Ale nie dla tego filozofia jest narodowa, że raz u tego, drugi raz u innego uprawioną jest narodu, niby rzeka, która wody swoje z jednego kraju w drugi przenosi, nie mająca z narodowością tych krain nic wspólnego, tak podobno pojmowano filozofię grecką, germańską itd., lecz dla tego, że filozofia, przechodząc od narodu do narodu, ujmuje się w pierwiastki pojęć jego ludowych, które właśnie do nowego jej stanowiska przystają. Ideał prawdy, (idea Hegłowska), będący formą pierwotną, staje się w tej obłoczy narodowej formą pochodną i nie będzie nigdy samym *absolutem*, samym duchem bezwzględnym, jak u Hegla, ale zawsze względnością, zawsze ludzkością a nigdy bóstwem. Widzimy tu wyraźnie, że właśnie ta obłocz narodowa przedziela filozofię naszą umniczą od panteizmu Hegłowskiego. Powiedziano w oceniu pierwszej części *Filozofii i Krytyki*, że wyobrażenia ludowe wszędzie są te same a zatem z nich różnica pierwiastków filozoficznych wypłynąć nie może. Lecz kto przypuszcza różnicę plemienną ludów, musi przypuścić różne narodowości; a że narodowość nadaje charakter, piętno, koloryt wszystkim jednego narodu wyrobom ducha, więc i wyroby myśli i wyobraźni jego muszą nosić na sobie osobne piętno, następnie narodowo się wyróżniać i dawać możność narodowych pierwiastków filozofii. Kto utrzymuje, że wyobrażenia ludowe wszędzie są te same, znosi między ludami narodowość, wyłącza nieumiejętne massy ludu od społeczeństwa naród stanowiącego, uważa je za jednorodną masę a samą, chyba oświatę pewnego kraju bierze za naród i tylko te cząstki oświecone jako różne narody pojmuje. Przed krytyką utrzymywanie takie się nie ostoi. Nasze zdanie jest zupełnie tamtemu przeciwne.

Tylko w massach ludowych widzimy rzeczywiste, plemienne, narodowe ich różnice a w oświeconych klasach niejaką już tych narodowości amalgamację i zacieranie się znamion plemiennonarodowych. Narodowość leży naprzód w plemienności a potem dopiero w oświacie. Narodowość plemienna w ludzie jest więc wyższa, płodniejsza, wyrazistsza, niżeli w oświeconych klasach, z czego wypada, że i w pojęciach i wyobrażeniach jego musi być wyraziste, żywe i płodne tejsze narodowości znamię. A gdy tak jest, muszą znajdować się w ludzie pierwiastki narodowe wszystkich form pochodnych a temsamem i narodowej filozofii...“ Myśl tę, stanowiącą konkluzję *Filozofii i Krytyki*, rozprawadza Libelt i uzasadnia bliżej w studyum potrąconem już przez nas wyżej, noszącem tytuł *Charakterystyka filozofii słowiańskiej*. W rozprawie téj przeczy autor, aby filozofia miała zawsze i wszędzie charakter kosmopolityczny, aby nie mogła być narodową, ponieważ każdy naród odpowiednio do swych dziejowych, klimatycznych, temperamentowych, sercowych i umysłowych warunków, inaczej sobie wyobraża prawdę i rozmaitemi do odkrycia jej i zbadania dąży drogami. Jeżeli u Greków jedną z owych dróg jest rozum połączony z wyobraźnią, jeżeli u Niemców jest nią wyłącznie rozum, staje się nią u narodów słowiańskich, przede wszystkim zaś u polskiego, w naczelnym i pierwszym rzędzie *głęboka uczuciowość*. „Mickiewicz twierdzi,“ pisze Libelt, „że co dzisiaj tradycję słowiańską czyni najbardziej szacowną, to, że pozostała nieskażoną, kiedy inne fałszowano ciągle. Słowianie zachowali czystą tradycję pierwotną, prostackie uczucie Boga i świętego składu tego nie roztrwonili na zdrożne roboty imaginacy i rozumu, nie popuścili zbytecznie cugli tym władzom.“ Nie można nie przyznać słuszności tym spostrzeżeniom, ogłaszany z katedry paryskiej i oraz nie przekonać się, że wśród ludu naszego najczystsze, pierwotne, narodowe znajduje się pojęcie praw duchowych, na których tle rozwinąć się musi polska filozofia. Dość spojrzeć i nam uczonym w siebie, cośmy zarody tego narodowego pierwiastku zaczerpnęli w mło-

dziuchnych latach niewinności naszej, od piastunek służebnych i współkolegów, bliżej ludu stojących; dość choć krótkiego pobytu wśród ludu, aby się i o tej prawdzie przekonać, którą także Mickiewicz w drugoletnim kursie rozwijał, że głównym dogmatem, na którym polega narodowość polska szczególnie a w ogólności narodowość słowiańska, jest wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy. Lud nasz przechowuje u siebie wiarę w bezpośredni stosunek świata ziemskiego ze światem duchów, które go jako opiekuńcze istoty otaczają. I kto tę wiarę wyssał z mlekiem, temu żadna mądrość świata z serca jej nie wytrąci. Sam ją stokroć odpychać będzie jako niezgodną z rozumem, ale stokroć znowu ona się w głębi jego ducha odezwie.“ Choćby wystawiając się na niebezpieczeństwo przedłużenia może nieco naszego szkicu po nad przeznaczone mu początkowo rozmiary, w przeświadczeniu przeciw konieczności przedstawienia postaci Libelta jako filozofa narodowego w całej pełni należnego mu światła, przytoczmy jeszcze jego *dekalogon*, jak go sam nazywa, „przyszłej filozofii słowiańskiej, wypływający z pierwszego głównego przykazania, to jest wiary w bezpośredni związek widomego i niewidomego świata.“

Filozofii słowiańskiej znamiona będą następujące:

1. Pierwiastek jej nie musi zrywać tej jedności świata widocznego ze światem niewidomym, ale i owszem położyć ten związek dwóch światów za zasadę.
2. Musi odrzucić samowładztwo rozumu i na równi z nim położyć wewnętrzne bezpośrednio pochwycenie prawdy, mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym.
3. Musi duchowym pojawom swoim dać wyobrażalność, to jest pojmnawać ducha jako ukształtowaną indywidualność, jako osobę,
4. Istotą ducha musi być żywot — czyn — rzeczywistość.
5. Wszelki *dualizm*, jako taki, zniesiony. Złe ustępuje przed dobrem, ciemność przed światłem. Ród ludzki wyniesiony do godności i szczęśliwości przez urzeczywieszczenie piękna, prawdy i dobra w świecie rzeczy-

- wistym. Natura zhołdowana i uszlachetniona przez ducha ludzkiego.
6. Wszelkie dobro materialne pochodzi od Boga, nie od ludzi. W tem leży uszlachetnienie materji, oraz przeobrażenie własności prywatnej na lennictwo boskie, które przejął ród ludzki. Zaslugami nie tylko pracy, ale i żywota nabywa człowiek prawa do tej lenności.
 7. Braterstwo wszystkich członków narodu polega na jedności myśli Boskiej, którą naród, jako osobna narodowość reprezentuje; równość społeczna czyli hierarchia na możności zasług pojedynczych osób w realizowaniu owej myśli.
 8. Władza jest to myśl Boża, uosobiona, by mogła być twórczą, wyjść z siebie i urzeczywiszczać się. Naród jest wcieloną wiedzą Bożą, zatem najwyższą i jedyną władzą i tę władzę przelewa na jednostki wolą swoją. Jednostki władzy są czynownicy woli Bożej, najwyższą jednostką, najwyższym czynnikiem. Niema innego charakteru władzy nad wykonawczość myśli Bożej czyli posłannictwa narodowego. Ponieważ ta myśl Boża dysze w każdym członku narodu, ztąd uległość władzy naturalna i oburzenie koniecznie, gdy władza nie działa w myśli Bożej.
 9. Religia Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim stosunku ze światem niewidomym a bliżej religia katolicka zniżająca samowładztwo rozumu, przypuszczająca obok niego wewnętrzny, bezpośredni pogląd ducha, jest religią słowiańską. Wszakże będzie to religia w zgodzie z filozofią, a więc religia postępu, temsamem różna od dotychczasowego, na opokę stwardłego katolicyzmu.
 10. Umiejętność a w szczególności filozofia była dotąd *scholastyczna*, to jest że nie wyszła po za szkołę; odtąd powinna być *popularną*, tj. ludową, kojarząc się myślą Bożą, która jest w ludzie i rozwijając takową przez

czyn. Od czynu, od wielkiego czynu zacząć się musi filozofia słowiańska.“

Otóż wyznanie wiary filozoficznej Libelta, otóż warunki istnienia, otóż przyszłościowe zdobytki filozofii polsko-słowiańskiej. Czegóż zaś dowodzi, czegóż jest stwierdzeniem ze względu na tezę postawioną przez nas z początku niniejszego rozdziału? Otóż, że szlachetny ten umysł, że zacne to serce na całym obszarze swych prac i pomysłów filozoficznych, czy to odzywając się z katedry prelekcyjnej, czy to kreśląc *Filozofię i Krytykę*, czy mówiąc o sztuce w *Estetyce czyli Umnictwie pięknem*, czy wnosząc podwaliny przyszłej filozofii słowiańskiej w *Charakterystyce filozofii słowiańskiej*, czy rzucając w r. 1847 z po za krat więzienia na Moabicie publiczności polskiej swą *Dziewicę Orleańską*, ma wiecznie przytomnem i obecnem oku, sercu i myśli swojej to, co jest dlań ideałem w pomnikowej rozprawie *O miłości Ojczyzny...*

Wspomnieliśmy jako trzeciego z rzędu w szeregu reprezentantów filozoficznej literatury owéj epoki, jedynie z nich wszystkich do dziś dnia żyjącego *Augusta Cieszkowskiego*. Gdyby wartość jakiegobądź pisarza nie zależała od tego, co napisał, lecz *ile* napisał, zajmowałby August Cieszkowski szczupłe bardzo w annalach *naszej* literatury miejsce. Przed przybyciem w Poznańskie, przed osiedleniem się tamże, stał się głośnym w uczonym świecie jako autor wspomnianego już wyżej przez nas, znakomitego dzieła ekonomiczno-politycznego w języku francuzkim *Du crédit et de la circulation*, jako autor dalej historyzoficznych *Prolegomenów* w języku niemieckim, nie wspominając o pracach treści polityczno-filozoficznej. W literaturze ojczystej świeci tylko jako autor fragmentu *Ojciec nasz*, wydanego po raz pierwszy w r. 1848, następnie jako autor rozprawy *O drogach ducha w Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*. A przecież ten *fragment* właśnie zaręcza mu w literaturze filozoficzno-narodowej stanowisko niespożytego znaczenia, jak zaręcza niespożytą sławę nieznanemu z imienia mistrzowi wspa-

niały posąg Venus Milo, choćby nawet w swem okaleczeniu. Co zarazem uderza i zastanawia w *Ojcie nasz* to dziwna jego, chyba mistyczna, nieodgadniona, spójnią pokrewnych duchów dająca się wytłumaczyć harmonia jego z pomysłami i dążnościami obu poprzednich filozofów narodowych. Trentowski stanowi jakoby ich pierwszy szczebel, drugim jest Libelt; kopułą ich i uwieńczeniem Cieszkowski w swoim *Ojcie nasz*. Jak już zauważyliśmy wyżej, wysnuwa autor z codziennej modlitwy całego chrześcijańskiego świata wspaniałą system historyozoficzny, który zastanawiając się nad charakterem i znaczeniem przebieżonej dotychczas przez ludzkość w dziejowym jej pochodzie przestrzeni, który rozpatrując się w jej walkach, kłopotach i nędzach a stwierdzając prawdę dotychczasowego *niepełnienia* się jeszcze ostatnich próśb owej modlitwy „o przyjście Królestwa Bożego na ziemię i spełnienie na nią Bożej woli,“ ma tę niezmierną, w porównaniu z dotychczasowymi systemami historyozoficznymi zasługę, iż nie zatrzymując się na *przeszłości*, wydobywa z niej poglądy daleko sięgające w *przyszłość*. Charakterystyczna ta różnica systemu historyozoficznego naszego Emersona, jak go Mickiewicz nazywał z wysokości katedry paryskiej, uderzyła między innymi świeżo jeszcze teraz jednego z najświetniejszych publicystów niemieckich Konstantego Frantza, w znakomitem pod wielu względami dziele: *O Federalizmie jako przewodniej zasadzie polityki*. Gdzież przecież i w czym, zapytalibyśmy, upatruje autor rozwiązanie problemu przyszłości ludzkiej, gdzie, w czym i w kim szuka rękojmi urzeczywistnienia „*Królestwa Bożego*,“ „*woli Twojej*,“ owego filozoficznego *bożostanu* na ziemi? W odpowiedzi na to zapytanie sięga autor, jakoby w skromności narodowej sromającej się rzucić światu w oczy własną, apodyktycznie sformułowaną prawdą, po znaczące, charakterystyczne w niemieckim myślicielu orzeczenie Herdera w jego pięknych *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit*, o owę dysharmonii obszaru terytorjalnego zajmowanego przez Słowian z obszarem wypełnio-

nym dotąd przez nich w dziejach kultury i rozwoju świata wraz z przepowiednią, że dzięki spoczywającym na dnie ich duszy przymiotom, *czekają* jeszcze na niespełnione przez się dziejowe zadanie. Zbrojny w przymierze niemieckiego myśliciela, przychodzi Cieszkowski pod koniec swojego *Ojcie nasz* do szczytnie sformułowanej konkluzji, iż opatrzność dziejowa *Słowian* właśnie obierze sobie za wykonawców swoich przyszyłych względem ludzkości zamiarów, że *im* dostanie się chwała być pośrednikami owego spełnienia „*Twojej woli*“ i „*przyjścia Królestwa Twojego*“ na ziemię. Na tem urywa się i kończy *Ojcie nasz*, pozostawiając żal, iż wielki rzucony problem czeka napróżno dotąd uzasadnienia i rozprawienia, nie pozabawiając nas przecie nadziei, że autor znajdzie jeszcze dość sił, czasu i dobrej woli, by powiedzieć ostatnie słowo tak świetnie, tak zaciekawiająco rozpoczętej tezy... W zestawieniu z Trentowskim i Libeltem, jakąż nam, pytamy dalej, *Ojcie nasz* przedstawia harmonijną całość? *Trentowski* radby stworzyć system filozoficzny dla narodu polskiego; *Libelt* widzi warunki stworzenia podobnego systemu filozofii narodowej w ludzie polskim, jako w bogatej kopalni zawierającej nieprzebrane a nie-tnięte dotąd pokłady drogiego kruszcu; *Cieszkowski* wznosi nowy system historyzoficzny, w którym się wieńcząco i kopułowo, jak powiedzieliśmy wyżej, świetna i szczytna rola ziemskiego zbawienia ludzkości ma spełnić przez lud słowiański i polski. Wywijając się niniejszem wyłącznie z zadania sprawozdawcy historycznego, charakteryzujemy tylko i skreśliłyśmy w *zewnątrznych* objawach i dążeniach pomniki ówczesnej działalności literackiej na polu filozoficznym, nie zapuszczając się, nie mając powodu zapuszczania się w ich wartość ze stanowiska filozoficznej krytyki. Systemy filozoficzne są, jeźliby przyszło dać ich definicyę, drogoskazami wzniesionemi przez ludzi wzniosłego umysłu i serca w dążeniu do prawdy, w dziedzinie sztuki myślenia z jednej, w dziedzinie chęci uszczęśliwienia ludzkości z drugiej strony. Że *prawda* zdobywana w podobnym pochodzie *częściowo*, nie będzie nią

do końca dziejów ludzkości *całkowicie* nigdy, najlepszym dowodem *ilość* i *rozmaitość* systemów filozoficznych. Czy więc trzech wspomnianych wyżej, występujących w epoce naszego opowiadania na widowni poznańskiej ku niespożytemu jój zaszczytowi myślicieli narodowych, zdobyło poszukiwaną *prawdę*, czy zdobyło część jój przynajmniej, nie naszą rzeczą, rozstrzygać. Co natomiast pozostanie pewnikiem, co pozostanie ich czią, a zasługą całego usposobienia, całego charakteru ówczesnej chwili, to, że w tak kosmopolitycznej na pozór dziedzinie, jaką przedstawia filozofia, dopatrzili mimowolnie, mimowiednie może nawet, siłą nieprzewyciężonej moralnej konieczności, obowiązku i sposobności razem oddania czci: własnej *idei narodowej*. Raz jeszcze: cześć im za to! Byli w gronie uczonych i filozofów reszty świata, jak owi żołnierze polscy, którym się Francuzi patrząc na błoto, słomiane chaty, mosty i drogi polskie, wydziwić nie mogli: z kąd taki kraj kochać, z kąd zań daleko, aż tam gdzieś nad Renem, Dunajem i Padem, ubijać się i ginąć można. Legionista polski odpowiedział Francuzowi po Galileuszowemu: *A przecież ten kraj kocham!* Filozofia *poliska* owój epoki, znajdująca przybytek w Poznańskim, odpowiada również przez usta Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego całemu szeregowi swych kosmopolitycznych siostrzyc: *Szukam ideału straconej ojczyzny!*

VI.

Poezya i belletrystyka uchodzą w powszechnem, utrwalo-nem ogólnie przekonaniu za działy literatury, które nigdy, od niepamiętnych czasów, nie kwitnęły na wielkopolskiej niwie. Czy słusznie, możnaby wątpić. Wszakże Klonowicz jest dzieckiem tej ziemi, wszak bogoboyny Kasper Miaskowski urodził się i spoczywa zaledwie o kilka mil od saméjże stolicy, wszakże Elżbieta Drużbacka pochodzi ze szlacheckiej rodziny, zagnieżdżonej od niepamiętnych czasów na poznańskim gruncie, wszakżeż wspomniany wyżej przez nas Marcin Molski jest Po-

znaczykiem, krew z krwi, kość z kości. Prawda, że Poznańskie nie szczyli się *wielkimi* postaciami na polu poezji, że nie ma swego Mickiewicza, swego Słowackiego czy Krasińskiego, że nie ma choćby nawet swego Pola i Zaleskiego. Pozostało mu przecież dość miejsca dla mniej głośniejszych a przecież godnych wspomnienia i zaszczytnie w dziejach poezji narodowej zapisanych imion. Zbierzmy tedy i streśmy, co w epoce będącej przedmiotem naszego opowiadania na tem polu zebrać i streścić jest zadaniem i obowiązkiem historycznego sprawozdawcy. Rzecz naszą możemy od r. 1831 dopiero z tem lepszym rozpocząć prawem, że próby poezji Molskich czy Szumskich, że podobne próby pojawiające się ze strony bezimiennych lub nie zasługujących na ocalenie od niepamięci w *Mrówce* czy w *Weteranie Poznańskim*, potrąciliśmy już wyżej.... Początek podobny tem naturalniejszy, że jeżeli w której dziedzinie literatury, to z pewnością, na polu poezji wrażenie wypadków roku 1831 donośnem i charakterystycznem a zarazem i używającym odbiło się echem. Wstrząśnienie roku 1831 staje się nową erą i nowem natchnieniem poezji polskiej: Mickiewicz *Pana Tadeusza*, czwartej części *Dziadów*, *Matki Polki* i *Reduty Ordoña*, Słowacki, Krasiński, Pol są jego niezaprzeczenie bezpośredniemi dziećmi z ducha. Poznańskie dostarcza również do téj plejady po r. 1831 młodzieńczy, zbyt rychło zgasły talent. Mówimy tu o Stefanie Garczyńskim. Urodzony z zamożnej, zacnej rodziny województwa Poznańskiego w roku 1806, uczeń szkół Poznańskich, później uniwersytetu berlińskiego, później jeszcze żołnierz powstania r. 1831, następnie związany jako wychodźca do Szwajcaryi i Francyi, stunkiem najściślej przyjaźni z Mickiewiczem, zmarły w skutek piersiowej choroby w Awinionie r. 1833, jest w swoim głównym poemacie, jaki po nim pozostał, *Wacława Dziejach*, poetą nową, porewolucyjną szkoły, natchnionym wrażeniami katastrofy, jaka Polskę co dopiero dotknęła. Utwór jego znamionujący gorące, patryotyczne serce, odslania zarazem poetę-myśliciela sięgającego do najwyższych zagadnień narodowego

bytu. Jeżeli *Wacława Dzieje* stanowią z jednej strony jakoby jasnowidzące przeczucie nie istniejącej *naówczas jeszcze Nieboskiej Komedyi*, ale ograniczającej się na grunt polski, jeżeli z jednej strony przedstawiają uwodziciela, rodzaj Pankracego nie kosmopolitycznego, jakim jest Pankracy Krasieńskiego, lecz Pankracego polskiego zwyciężonego siłą idei narodowej przemieszkującej bczwiednie a przecież, by się za daną chwilą obudzić, w sercu polskiego ludu, przedstawiają z drugiej młodego, czującego próżnię w życiu, istnie Bajronowego Manfreda, ale znów Manfreda polskiej gleby odzyskującego równowagę, odnajdującego samego siebie, dzięki moralnej interwencji zbawczej myśli narodowej w wewnętrzne walki i niepokoje jego duchowej istoty:

Uczul, że ma ojczyznę, wspomniał że Polakiem . . .
 Tak słowo w dobrej ludziom powiedziane chwili,
 Jak trąba archanioła, stworzy ich, czem byli.

Wyniesienie idei narodowej do wysokości wielkiego, umoralniającego i uszlachetniającego ducha ludzkiego a przede wszystkim *polskiego* pierwiastku, postawienie jęj w ten sposób na stanowisku jakoby równouprawnienia obok idei religijnej, otóż zasadnicza, podstawna myśl *Wacława Dziejów* . . . Cokolwiekbyć przecież i przy wszelkiem uznaniu, do jakiego wobec wiosennej, tyle zapowiadającej na przyszłość postaci Garczyńskiego więcej może, niż wobec kogobądź innego skłonni jesteśmy, niepodobna zaprzeczyć, że był to świetny meteor tylko, co wystrzeliwszy z wielkopolskiej gleby, zgasnął nad brzegiem śródziemnego morza, nie zyskawszy, nie poszukawszy nawet prawa obywatelstwa w literaturze miejscowej, poznańskiej. Z innej strony przedstawia nam się pod każdym względem postać tak znanego w literaturze naszej, tak sympatycznego i popularnego razem *drugiego* z rzędu owej epoki poety, generała *Franciszka Morawskiego*. Choć starszy znacznie wiekiem, jest przecież generał Morawski datą zamieszkania

swego w Poznaniu, datą wystąpienia w *miejscowej* jego literaturze młodszym od pojawienia się imienia Garczyńskiego na widokregu zbiorowej naszej literatury. Generałem wojsk polskich garnizonującym aż do wybuchu listopadowego w Lublinie, nie całkiem odpowiednio zdolnościom i skłonnościom swoim ministrem wojny w czasie powstania, wygnańcem w Wołogdzie aż do roku 1834, przybywa w tym roku dopiero Franciszek Morawski w Poznańskie strony, osiada nad granicą szląską we wsi Luboni, nie omieszkując wkrótce zaznaczyć faktu swęj obecności w *miejscowej* literaturze, jak go poprzednio znać w Warszawie tak wdzięcznemi, tyle bezstronnego, olimpijskiego spokoju przy pewnej dozie niewinnej ironii znamionującemi *Klasykami i Romantykami polskimi*. Mówiąc o generale Morawskim jako o poecie, mówiąc o jego stanowisku w miejscowem piśmiennictwie poznańskiem, poczuwamy się poprzednio do obowiązku natchnionego przekonaniem zastrzeżenia, a to z powodu odzywającej się od niejkiego czasu ze strony niektórych krytyków i pisarzy (n. p. profesora Tarnowskiego, Lucyana Siemieńskiego w jego *Portretach literackich*) tendencji zwiększania roli i znaczenia generała Morawskiego w ówczesnej literaturze polskiej wogóle, poznańskiej w szczególności, nieco po nad rozmiary tego, *co i jak* w rzeczywistości było. Jako obywatel pozostaje i trzyma się generał Morawski na zupełnem uboczku ówczesnego życia publicznego w Poznaniu. Nie dziwić mu się. Złamane katastrofą polityczną nadzieje, dotknięte do głębi wstrząśnieniami moralnemi dusze szukają wypoczynku i wytchnienia w zamknięciu własnego wnętrza, nie czując się często ani skłonniemi, ani zdolnemi do uczestniczenia w nowych życia narodowego i publicznego formach, które im są obce a w których się znaleźć nie umieją. Nie szukając dalej, mamy pod tym względem najlepszy przykład na osobie Kościuszki a wspomnienie samo choćby tylko *tego* imienia niechaj będzie dowodem, że zapisując co do osoby generała Morawskiego powyższe spostrzeżenie, nie myślimy mu zeń czynić jakiegobądź zarzutu. Potroszę jak z życiem obywa-

telskiem ma się rzecz *mutatis mutandis* z wpływowością i znaczeniem jego literacko-poetyckiej działalności na współczesną literaturę własnego zakątka. Nie dziwny się i temu a samo odświeżenie pamięci chwili wystąpienia w *Poznańskim* generała Morawskiego, prawdę naszego spostrzeżenia bez trudu wytłumaczy. W jakąż to chwilę, zapytajmy, trafia fakt wstąpienia Morawskiego na widownię literatury poznańskiej? W chwilę najszczytniejszego, najwznioślejszego rozbudzenia polskiego ducha, w chwilę nadnaturalnego poezji polskiej nastroju wywołanego sprzecznie uderzającymi po siebie wrażeniami najwyższej rozkołysanych nadziei, krwawo raniących, ale i magnetycznie rozdrażniających serce i umysł klęsk, męczeństw i prześladowań narodowych. W epoce, kiedy Mickiewicz już był rzucił narodowi problem rozwiązania jego losów w *Konradzie Wallenrodzie* a Krasieński odpowiedział w *Irydionie*, że krzywdy narodów nie mszczą ludzie, lecz Nemezis dziejowa; w epoce kiedy inny Konrad, Konrad Mickiewiczowych *Dziadów*, zanosi przed tron Przedwiecznego skargę o krzywdy Polski, kiedy ksiądz Piotr ma apokaliptyczne widzenie jój przyszłych kolei a *Komedia Nieboska* przedstawia w zachwycie podobnego jasnowidzenia obraz walk społecznych, jakie ludzkość czekają, a które zagodzić i ukoić może tylko chrześcijańska idea; w epoce, w której poezja polska sięga tak niebotycznych szczytów, *wzniosłości* tego rodzaju, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo upadku w sąsiadującą z nią tak blisko *śmieszność*: — w takiej, mówimy epoce, jakże trudno dotrzymać z nią, w orlim locie talentowi, którego główną zasługą, którego naczelnym przymiotem pozostanie tylko pewien wdzięk treści obok niezaprzeczonej piękności formy. Prosta ta prawda stanowi odpowiedź na pytanie o stopień i możność *wpływowości* generała Morawskiego na ówczesną społeczność i ówczesną literaturę poznańską. Gdzież ówczesna społeczność, a nadewszystko *młodzież* krajowa wogóle, poznańska w szczególności, drżąca z gniewu i entuzjazmu pod wpływem czwartéj części *Dziadów*, dekla-

mująca *Wiersz do Matki Polki*, marząca messyjanicznie z Kra-
sińskim, miała w swem duchowem wnętrzu miejsce do dania
przystępu wrażeniom skromnej, po ziemi stąpającej poezji
Morawskiego! Czy to niezrównane *Bajki*, czy to jego urocz
ballady, legendy, gawędy czy to wyborne przekłady arcydzieł
literatury zagranicznej, potrzebowały czasu, potrzebowały hi-
stori, by im ze stanowiska zdrowo zastanawiającej się kry-
tyki, dobrego smaku i uczucia sprawiedliwości, przeznaczyć
w hierarchii Parnasu polskiego należne miejsce, by zastósować
do nich prawdę *sum cuique*, oddać, co im się rzeczywiście
należy. We *współczesnej* natomiast literaturze poznańskiej po-
zostają równie na uboczu, jak stoi na niem w życiu publicznem
sam autor a pod względem wpływowości nie mogą się natu-
ralnie mierzyć *Giermek* czy *Święty Izidor Oracz* z *Matką*
Polką lub *Zgonem Sowińskiego*, ani *Wizyta w Sąsiedztwo*
lub *Brzoza Gryżyńska* z *Pieśniami Janusza*. Czyż jednakże
podobna prawda przeszkadzałaby miała zasłudze i uznaniu
wartości Morawskiego w dziedzinie naszej poetyckiej litera-
tury? Z pewnością *nie* a w głębokiem przeświadczeniu tej
drugiej prawdy, pospieszmy z całym dlań uznaniem, *ale* w obrębie
granic, jakie mu się według naszego uważania rzeczy należą,
a jakie słuszność historyczna i krytyczna wspólnie zakreslają.
Pominąwszy nawet poetyczną i estetyczną wartość utworów
Morawskiego, należy mu się ze stanowiska *dziejowego* ocenienia
literatury poznańskiej owęj epoki wdzięczność i uznanie za
istnie obywatelską na *tem* polu gotowość przychodzenia jej
w pomoc pięknem swem piórem. Miejsce jego pobytu, piękna
posiadłość Lubonia, znajduje się jeżeli nie w pobliżu, to przy-
najmniej w nie wielkiej odległości od Leszna, miejsca wyda-
wnictwa *Przyjaciela Ludu*. Otóż wybiera sobie Morawski to
właśnie pismo za rodzaj jakoby organu dla *swojej* czynności
literackiej i tutaj to zamieszcza od czasu do czasu a wcale nie
rzadko, swe wdzięczne, rzewne, pociągające treścią, piękne
formą i językiem utwory. Wspomniana przez nas co dopiero
wyżej, przystrojona w szatę legendy ludowa gadka o *Gryżyn-*

skiej *Brzozie*, *Izydor św. Oracz*, ballada *Giermek* mająca za przedmiot uczczenie młodzieńca, co odcięciem własnej nogi uwolnił z więzów tatarskich skutego razem z sobą hetmana; owa urocza gawęda *Wizyta w sąsiedztwo*, rozpoczynająca się rzewną inwokacją wieku ojców, by się skończyć humorystycznym, z życia wiernie zdjętym obrazem dwóch wásali-stangretów wynoszących się chyłkiem do karczmy po za plecami uczującego swoją drogą we dworze państwa; prześliczny przekład Bajronowego *Więźnia Chillonu*, nie wymieniając wielu, bardzo wielu innych utworów pióra Morawskiego, wszystko to pojawiało się w leszczyńskim *Przyjacielu Ludu*, stanowiło ozdobę i okrasę poetyckiej części zacnego tego czasopisma. Otóż scharakteryzowana kilku słowy, bo w pobieżnym szkicu naszym być inaczéj nie może, owa *obywatelska*, jeżeli tak wolno powiedzieć, skrętność Morawskiego na polu literatury miejscowej. Co się zaś tyczy poetyckiej wartości jego utworów, wystarczy je nazwać, by je przypomnieć a przypomniawszy, ocenić. Forma tu prześliczna, treść stroni od prądów i namiętności czasowych, nie ma z niemi nic wspólnego, trzyma się pola bardzo od nich odległego, szuka przedmiotowo piękna dla piękna a w tem jeden z głównych powodów, dla czego o *wpływie* Morawskiego poezji na żyjącą gorączkowo społeczność a żywiącą się nie mniej gorączkowo i namiętnie Mickiewiczem, Krasieńskim, Słowackim, *Pieśniami Janusza*, mowy być nie może; dla czego trzeba było pewnego upływu czasu i reflexyjnego zastanowienia historyczno-krytycznego sądu, aby w zupełnym, *zbiorowym* obrazie literatury poetyckiej polskiej w ciągu pierwszej połowy XIX wieku, późniejszemu autorowi *Domu mojego dziadka* przeznaczyć stanowisko, jakie mu się bez względu na wrażenia i namiętności chwili należy. Mimo zasadniczo przestrzeganej abstynencyi w dotykaniu swą muzą burz i dolegliwości chwili, przemówił zeń *raz* przecieź wyjątkowo weteran wojsk narodowych, oburzony widokiem znęcającego się nad zwyciężonym a bezbronnym narodem wroga, przemówił zaś z pewnością, bez ubliżenia treści we *formie*, w której był mi-

strzem, w *bajce*. Już zamieszkały w Poznańskiem (w r. 1841) zdołał generał Morawski, dzięki łopocie cenzury rossyjskiej, w znowie z zacnym redaktorem *Gazety Warszawskiej*, Antonim Lésznowskim, w *jéj* łamach właśnie, pod samemże okiem Paskiewiczza przemycić swój słynny, zadziwiający i elektryzujący publiczność Królestwa wiersz *Wisła i Zima*, który godny stokrotnego przypomnienia, niechaj i w naszym szkicu znajdzie miejsce:

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
 W twarde ścigwszy lody,
 Ciemnyła się sroga zima,
 Że je w swoich więzach trzyma.
 Patrzcie wołała, patrzcie dumne wały,
 Coście w tój śmiesznój wolności bujały,
 W jakich jesteście okowach!
 Oto was każdy przychodzić
 Depce, rąbie codzień,
 I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
 A wy cóż na to? Ani naruknąć śmiecie,
 Takie to was jarzmo gniecie,
 Tak to zima włada!
 Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
 Tak jój z pod Tatrów, na swój urnie wsparta,
 Stara Wisła odpowiada:
 Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
 Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem,
 Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
 Tam twoja władza nie sięga.
 Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
 Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie;
 Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
 W przepaść gór tych nawiała,
 Same mi kiedyś pomogą
 Zrzucić twoję przemoc srogą.
 Dmij wige, dmij groźny z twemi Akwilony,
 Ścinaj, krępuj hurt ścieśniony;
 Spieszając wiosny nie zatrzymasz w pędzie.
 Pójdziesz, zkrąd przyszała, Wisła Wisła będzie!

Teraz wypada nam zatrzymać się nieco w naszym opowiadaniu a rozpocząć dalszy ciąg od następnego, objaśniającego nawiasu.

Wspomniani przez nas co dopiero obaj wielkopolscy poeci, Garczyński i Mórawski odznaczają się i wyróżniają tą właściwością, iż *pierwszy*, powierzając się prądom chwili w najszczytniejszym i najoddatniejszym ich kierunku, nie należał ściśle biorąc, do literatury poznańskiej; że zaś *drugi*, należąc do niej, pozostał obcym jej moralnym i politycznym czynnikiem. Dzięki tej prawdzie, zajmują obaj poeci wyjątkowe stanowisko a zasługują tem więcej na podobne wyróżnienie, że, jak będzie naszym staraniem wykazać niżej, ówczesna poezya poznańska czyli lepiej powiedziawszy, ówczesna poezya w *Poznańskiem*; przedstawia wiernie ten sam obraz, co inne gałęzie literatury współczesnej. Jeżeli publicystyka, jeżeli historia, jeżeli filozofia nawet staje się mimowolnie może nieuniknionem odzwierciedleniem ówczesnych cierpień, nadziei i dążeń społeczno-politycznych duszy i serca narodowego, cóż naturalniejszego, jak że i *poezya*, jak że i ten najbezpośredniejszy wyraz uczucia i wyobraźni narodowej, zbiorowo nie innemi na zewnątrz wytryskuje objawami? *Polska i postęp*, *Polska*, przedmiot nieutulonego żalu i bólu w przeszłości, przedmiot żywych, nie zamierających nadziei na przyszłość, kultu religijno-narodowego w terażniejszości; *postęp* i jego idee, jako najskuteczniejsza dźwignia użyczenia mas ludowych dla idei narodowej, otóż podstawna melodia ogromnej większości ówczesnej poezyi polskiej wogóle, poezyi w *Poznańskiem* w szczególności, co naturalnie nie przeszkadza, że melodia owa, przerabiana na najrozmaitsze wariacje, mogła odpowiednio do talentu, uzdolnienia i usposobienia osobistego kompozytorów wydawać raz arcydzieła w rodzaju *Pieśni o Ziemi naszej* Wincentego Pola, inny raz dziwolagi w rodzaju *Matki Bohaterki* Norberta Bredkrajca lub dywagacyi Piotra Dahlmanna w *Tygodniku Literackim*; co nie przeszkadza dalej jeszcze, że podstawny ten akkord milknął niekiedy, by ustępować miejsca powszedniemu liryzmowi, opiewającemu

kochanki, naturę, własne rozkosze i cierpienia. Chwilowe te wytechnienia i wypoczynkowe uprawianie innego pola nie odbiera przecież ówczesnej poezji polskiej podstawnego jej, przeważnie *politycznego* charakteru a rozpatrując się w ówczesnych jej objawach w Poznańskim, znajdziemy się podobnie, jak we wszystkich innych gałęziach literatury, w konieczności rozklasyfikowania jej według różnicy ówczesnych odcieni politycznych, na odcień *zachowawczy* z jednej, na odcień *postępowy* z drugiej strony. W klasyfikacji podobnej na polu *poezji* ta tylko w porównaniu z innymi gałęziami literatury przedstawi się z natury rzeczy wypływająca różnica, że kiedy kierunek *ruchu* i *postępu* przemawia i w dziedzinie poezji temż samymi prawie co w publicystyce dźwiękami, wyrazami i pojęciami, *konserwatyzm* nie charakteryzuje się tu może jako idea polityczna a tem mniej jako dążność polemiczna, ale raczej jako idea bezwzględnego, poetycznego piękna stroniącego od prądów i namiętności chwili. Na wielkiej swej widowni przedstawia poezya polska charakterystyczny pod tym względem wyjątek w owej wspaniałej zamianie słów między Słowackim a Kraśińskim, wyzywle pierwszego znajdującym odpowiedź w *Psalmach Przyszłości* drugiego. Skromna widownia ubocza poznańskiego nie dostarcza podobnego widowiska. Morawski, po za nim w pewnym odstępnie wspomnieni przez nas wyżej Jaśkowski i Konstanty Zakrzewski jako współpracownicy *Przyjaciela Ludu* lub *Tygodnika Literackiego*, reprezentują, zamykając się, jak co dopiero powiedziano, w dziedzinie piękna element zachowawczy poezji poznańskiej, nie wypowiadając, nie myśląc wypowiadać wojny swej koleżance obozu postępowego. Morawskiego muzę scharakteryzowaliśmy już wyżej. Rozjemczy, przedmiotowy, niewinnie ironiczny autor *Klasyków i Romantyków* z epoki przedrewolucyjnej, nie miał ani chęci, ani myśli zabierać ponownie głosu i wystąpić z aktem poetyckiej interwencji wśród ówczesnej walki między *konserwatyzmem* a *postępem*. Równie mało znany i zapomniany dzi-

siaj, jak wysoko uzdolniony i na ocalenie od niepamięci zasługujący, mało płodny, co prawda, jako pisarz Jaśkowski wolał w pięknej swej *Balladzie jakich wiele* lub *Pajazzo*, kreślić zbroczenia, bóle, walki wewnętrzne duszy i serca ludzkiego, aniżeli zstępować na arenę poezji politycznej. Zamieszczony jego w *Tygodniku Literackim* z r. 1839 wiersz *Do Poetów*, rodzaj wezwania, aby młodzi poeci nasi, rzuciwszy sztuczne rozpaczę, śpiewali raczej wiarę, nadzieję i miłość, wiersz upamiętniony gromką odprawą Edmunda Wasilewskiego, dotyczył raczej dziedziny estetycznej, aniżeli politycznej. *Konserwatywny* tedy, jak nazwać go sobie w niedostatku odpowiedniejszego może wyrazu pozwoliliśmy, odcień ówczesnej poezji poznańskiej, nie przedstawia żadnego pierwiastku politycznego, żadnego śladu jakiejś intencji polemicznej. Inaczej ma się rzecz z poezją i reprezentantami jej kierunku *postępowego*. Tutaj to spotykamy się w pierwszym rzędzie i na samym wstępie z imieniem pełnego nadziei i prawdziwego talentu młodzieńca, uznanego w swym talencie, wydobytego na jaw z ukrycia, rzecz szczególna, właśnie przez generała Morawskiego, właśnie przez wyznawcę kierunku i zasad wręcz przeciwnych tak w literaturze, jak w życiu publicznem dążnościom, jakim zahodziwał jego młodzieńczy klient. Mówimy tu o *Ryszardzie Berwińskim*, wówczas, około roku 1840, uczniu szkół leszczyńskich, później nieco uniwersytetu Wrocławskiego. Zasługą, powtarzamy, generała Morawskiego było poznanie się na tym młodym talencie, było wydobyć go z ukrycia, wprowadzenie w związek z publicystyką. Czyż obok tej zasługi przypisać mu winę, że równocześnie nie zdołał wejść wpoić przekonania, jak dalece warunkami prawdziwego, choćby nawet na polu poezji powodzenia, są wytrwałość w pracy i prozaiczny porządek codziennego życia? Nie zapuszczając się w rozbiór tej ważniejszej może dla osoby młodego poety, aniżeli dla ocenienia tego, co napisał kwestyi, poświęćmy kilka słów wartości, stanowisku i dążności jego utworów. Młody, liczący około dwudziestu lat (urodzony w roku 1819) zaledwie Ryszard Ber-

wiński wstępuje w zawód literacki po raz pierwszy przez wydane r. 1840 we Wrocławiu *Powieści Wielkopolskie*, zawierające fantastyczne opowiadanie pod tytułem *Bogunka na Gople*, gadkę ludową *O dwunastu rozbójnikach*, wreszcie pomniejsze, liryczne utwory, autora. W cztery lata później wydaje w dwóch tomikach *Poezye*, pierwszy w Poznaniu, drugi z powodów cenzuralnych w Brukselli. *Całość* dopiero, powiedzielibyśmy, tych trzech publikacji daje pojęcie o talencie, ale też i o dążności Berwińskiego, jako wyznawcy wskazanego przez nas wyżej kierunku. *Powieści Wielkopolskie* wraz z wszystkim, co ich niekoniecznie odpowiadający treści tytuł pokrywa, stanowią, wierszem czy prozą, udatną próbę językową, w której wśród połysków rzeczywistej iskry poetycznej niekiedy, jakiejś *tendencji* dopatrzyćby się trudno. To samo, z małemi, nie dość wyraźnie sformułowanemi wyjątkami, dałoby się powiedzieć o wydanym w Poznaniu, pierwszym tomie *Poezyi*. Jestto zbiór pięknych pod względem formy, dziwnie jednostajnych pod względem treści, erotycznych poezyi, w których ciągle powtarzającą się, nużącą, zwrotkę stanowią skarga na zdradę kochanki, uderzające w dwudziestokilkuletnim poecie zwątpienie o świecie i ludziach, jakaś nieutulona rozpacz, Wertherowski „*Weltschmerz*“, którego, powiedzmy raz jeszcze, monotonię wynagradza piękny język i niezaprzeczonej zdolności poetycznego obrazowania. Pod koniec tegoż samego tomiku *Poezyi* figuruje pamiętny w zawodzie literackim autora, dwupieśniowy poemat pod tytułem *Don Juan Poznański*, (który tak wady, jak przymioty lirycznych utworów Berwińskiego, w mocno spotęgowanym obejmuje stopniu. Forma jest tu rzutką, śmiałą, wykończoną i poprawną mimo swej śmiałości. Trudno zapewnie, wyrwijąc na chybi-trafi ze stron *Don Juana Poznańskiego*, tuż niżej przytoczonym zarzucić cośkolwiek pod względem formy, jak zdolności komicznego obrazowania:

„Juan chce pisać; łokieć na stole
A czoło oparł na dłoni,

I oko w niebie utkwil sokole
 I za natchnieniem w lot goni;
 Goni, a goniąc przygryza pióra,
 A przygryzając pierś nadyma,
 Nakoniec zacznie: *O ty, kłótra* —
 Zacznie i nagle się wstrzymał, duma i myśli,
 A gdy się dobrze namyślił,
 Spojrzał, raz jeszcze rozważył ściślej,
 I co napisał, przekreślił!

Co przecież, obok tego spotęgowanego przymiotu *formy*, nazwalibyśmy z przeciwnej strony spotęgowaną wadą, jeżeli nie zdrożnością tego niedokończonego, zrozumiałego tylko znawcom osobistych przygód i kolei autora poematu, to zwątpienie przeradzające się w przykry po upływie lat tylu dziś jeszcze dla czytelnika cynizm. Mniejsza już, że młody naówczas bardzo jeszcze poeta nie zawahał się przed ośmieszeniem i wyszydzeniem miłosnego stosunku, który kodeks pewnej rycerskości męskiej zawsze dyskrecją osłaniać nakazuje. Cóż za to powiemy, gdy pod widocznym wrażeniem *Grobu Agamemnona* Słowackiego odzywa się nie o grzesznych i błędnych wodzach może, ale o ofiarnych i walecznych żołnierzach roku 1831:

„Brawo ci, brawo.
 O narodowy nasz wieszczu!
 Krzykną rycerze co pod Warszawą
 Przez dni trzy stali na deszczu
 Bomb i granatów, a dnia czwartego
 Skończyli według zwyczaju
 Szlachecko-polsko-narodowego,
 Bo nie skończyli dla kraju!
 A było ich tam sto razy tyle,
 Co owych synów Hellady,
 Którzy... lecz o tem niech Termopile
 Świadczą, kto poszedł w ich ślady?
 Kto? z naszych żaden! Rzecz oczywista,
 Że *wszystkich* szkoda, lecz gdyby
 W tylu tysiącach choć tylko trzysta

Było walecznych, mogliby...
 Prawda lecz choćby polegli wreszcie
 I wszyscy poszli do gazet,
 Byłoby w Polsce najmniej wsi dwieście
 I dusz bez panów kilkaset.
 A brzydko umierać, gdy pięknie żyjem
 Z cudzych darmochołów i danin,
 • Żyj więc motłochu! Lecz *cirpe diem!*
 Nauczał pewien Rzymianin!

Otóż wybryk historycznego fałszu i moralnego cynizmu razem, bo Poznańskie na wszystkich polach bitew roku 1831 z pewnością hojną daninę krwi ojczyźnie spłacało a jego, jak całej Polski *ówczesna* szlachta, „darmochoy i daniny chłopskie“ chętnie na ołtarzu ojczyzny złożyć była gotową. Owe *darmochoy i daniny* Don Juana Poznańskiego trącają przecież w nie dość pożałowania godny dla talentu i wartości utworów autora sposób o fałszywy akkord brzmiący dopiero doniośle i z całą zrozumiałością w drugim, bez cenzury wydanym tomiku jego poezji. Fałszywym tym akkordem i to całej *ówczesnej postępowej* poezji, pojawiającym się nie tylko w samym Berwińskim, odnajdującym się nie tylko dalej w tak skromnie w parnasowej hierarchii figurujących osobistościach, jakimi byli np. *Tygodnikowi* poeci: Piotr Dahlmann i Julia Wojkowska, lecz co więcej zastanowienia godna, pokutującym niekiedy i w *ówczesnych* utworach Lucyana Siemieńskiego nawet, jest — niewczesna *ludomania*. Któż z ludzi rozsądku i serca polskiego chciałby zaprzeczać ludowi Polski osobistego równouprawnienia i prawa swobodnej własności? Ale byłóż słusznie i sprawiedliwie wytaczać z powodu niewoli ludu proces *ówczesnej* właśnie generacji szlacheckiej, która spętana sama, miała sobie przez rządy obce poczytywaną za czynzbrodni stanu niemal każdą próbę, każde prawodawcze usiłowanie zdjęcia niewoli z ludu? A przecież czy to demokratyczna publicystyka emigracji, czy to poezya postępową, przedstawiają wiernie i konsekwentnie w najrozmaitszych odmianach owego szlachcica ciemną i wyzyskiwaczem uciśnionego „*chama*.“

Berwiński jest pod tym względem wiernym uczniem i wyznawcą owęj szkoły a pesymista wogóle, zwraca swe nadzieje przyszłości do chłopca polskiego, „chłopa“ wyraźnie, deptanego dziesiątą i gniesionego przez szlachtę. Podstawna myśl tawraca u niego i powtarza się w tysiącznych, jak powiedziano, odmianach. Czy to w *Myszej Wieży*, czy w *Mogile Kościuszki*, czy w *Częstochowie*, czy w *Marszu w Przyszłość*, czy w *Ostatniej spowiedzi*, brzmi ciągle różnemi waryacyami. Poeta kocha Polskę i tęskni za nią, ale kocha ją nienawiścią do strupieszalego według siebie żywiołu szlachty, widzi zbawienie w spontaniczności i samodzielności ludu, zapominając, że choćby pod Racławicami nawet przykładu abdykującego z herbów i przywilejów szlachcica, ale *szlachcica* przecież Kościuszki było trzeba, by pociągnąć za sobą walecznych Bartoszków! W przepomnieniu powtarzającej się téj wiernie w dziejach naszych poroźbiórowych prawdy, woła Berwiński:

Jak tu straszno, tu nas dręcą,
Pełno łez i skarg!
Pod żelazną kark obręcą
Purpurową zaszedł tęczę
Niegdyś wolny kark;
A tam ziemia obiecana
Bez tyrana i bez pana,
Pod zarządem Bożym,
Czeka nas za morzem
Krwi!

Za czerwonym morzem!
Jak tu straszno! Nagi, bosi
Gromadzi się lud;
W polach świecą białe stosy
Naszych kości. Dzikie głosy
Krzyczą zewsząd: *głód!*
A tam ziemia obiecana,
Z burzanami po kolana,

Z chlebem, solą, zbożem,
Czeka nas za morzem
Krwii!
Za czerwonym morzem!

Tu chce zniszczyć ród człowieczy
Faraonów moc;
A aniołów, ani mieczy
Bóg nie zsyła ku odsieczy,
Choć prosim dzień noc!
Więc gdy stary Bóg nie słucha,
Pomódlmy się do obucha,
Uścisknijmy noże,
I dalej za morze
Krwii!
Za czerwone morze!

Podobnie w innem miejscu:

Znam was, o znam was, was dumnych i świętych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych;
Znam Cyncynatów, w dwumiesięcznej wojnie
Okrytych głośnie sławą bohaterów,
A od pół wieku zajętych spokojnie
Pędzeniem wódki i robieniem serów.
Znam wojowników pożądlivych boju,
Co posiwiawszy na zbytkach pokoju,
Z bliźnami wieku i marszem na czole
Trupem pijackie zaścielają pole.
Znam ich, ach, znam ich, znam obywateli
Prawych ojczyzny synów — po kądzieli,
Co ku nauce zdumionemu światu
Gotowi rzec się dla przyszłego państwa
Nietylko herbów, lecz nawet poddaństwa. —
Znam wielkich ludzi małego powiatu!
Znam i te wreszcie ostatnie filary
Tej słynnej w dziejach staropolskiej wiary;
Znam was Fenixów wzrosłych na popiele
Zgliszczów ojczystych; znam was przyjaciele
Młodości mojej, was, w których się chowa
Godność i duma nasza narodowa;

Znam was pełniących trudny obowiązek,
 Mistrzów balowych, rycerzy podwiązek!
 Znam was i gardzę, lecz tak wami gardzę,
 Że każde słowo i wszystkie gorycze,
 Które mi plunąć mógłbym wam w oblicze,
 Że wołają raczej przymrzeć na mój wardze!

Otóż to anatemy rzucane na wyższe warstwy społeczności polskiej, otóż to Pankracowe idealizowanie ludu, fałszywy akkord poezji postępowej płynący ze źródła źle pojętej miłości ojczyzny z jednej, ogólnych prądów czasu z drugiej strony. Zbłąkanie tem więcej pożałowania godne, że, jak powyżej a bardziej może jeszcze poniżej przytoczone próby, przekonywają, Berwiński miał prawdziwą iskrę talentu poetycznego obok formy pełnej siły i wykończenia. Dość pod tym względem przypomnieć sobie wspaniałą wiersz *Mysza Wieża* będący także oskarżeniem ciemniczków ludu, winowajców upadku ojczyzny, kończący się zaklęciem Piasta „o zdrową radę prostego rozumu kmiecego.“ Poeta zaczyna:

O ziemię moja! Ty, coś dawniej była
 Kolebką wolnych, dziś wolnych mogiła.
 Ja syn pośmiertnej twój grobowej chwały,
 Pytam się ciebie: i gdzież się podziały
 Dni twoje wielkie, gdzie ręka, co wskaże
 Świetności twojej zwałone ołtarze?

Obrazując następnie *Myszę Wieżę* jako pozostały szczątek popielowych zbrodni tronu, ciągnie dalej:

Próżno szukałem skromnej Piasta chatki,
 I szczątku niema! A wieża Popiela
 Dziś jeszcze dumą pod obłoki strzela,
 I zapłakałem, że na grobie matki
 Win tylko starych pozostały świadki.
 Jedna nam przecież jest jeszcze pociecha:
 Patrzej, ta stara pochylona strzecha . . .
 Kto wie, czy nie tam jest Piasta przybytek?
 A owa chata, którą mech porasta,
 Nędzny przytułek dzisiejszego Piasta,

O czemu mówi? Oto czas oskarża
 Jako tyrańca, starego zbrodniarza,
 A ulegając twardej losów fali
 Na dni dzisiejsze i przeszłe się żali!
 Żali się biedna! A przecież w tej chatce
 Bóg wielką radcę stariej zdarzy matce,
 Że znowu wyjdzie z niej zbawienie nasze,
 I biodra mieczem Chrobrego opasze!

Niemniej pełnym siły i piękności jest ustęp jakoby tęsknym pesymizmem tętnącego wiersza *Wawel i Kraków*:

Dawniej, gdyś była panią miast tysiąca,
 Nad wszystkie wzniosła, wszystkim królująca,
 Gdy liczne ludy i wielkie dwa morza
 Hołd swój składały u twego podnóża;
 Wtedy niejeden z dumnych władców świata
 O twoją rękę zuchwały się kusić,
 Zdolny do ślubów zwycięstwem przymusić;
 Miecz doświadczony brał sobie za swata
 I tak przychodził w miłosne zaloty,
 Przez krew i ogień i miecze i groty!

Kto był zdolny wznieść się do wysokości podobnego nastroju, kto umiał odzywać się podobnym językiem, miał zapewne prawo liczyć na stanowisko i przyszłość w literaturze ojczyźnej, zasługuje na uznanie swego talentu mimo jego obłądów a choćby w nich nawet. Nie jesteśmy zbyt skłonni wierzyć w rzeczywistość wszelkich pesymizmów, rozpaczy, tęsknot a nadewszystko skrajnych politycznych teorii młodych poetów. Są to nocne widziadła i zmory pierzchające z nastaniem dziennej światłości. Prawdziwy talent poetyczny, dojrzewając, byłby się z nimi bez żalu i trudu pożegnał. Nie mamy obawy, ani wątpliwości, że doza i rodzaj talentu Berwińskiego starczyły aż nadto, by w późniejszym jego zawodzie pisarskim podobny wywołać powstanie a autora namaścić na prawdziwie znakomitego, narodowego poetę. Na nieszczęście przecież stał się Berwiński *wieszczem*

samemu sobie i swojemu zawódowi literackiemu, mówiąc w *Don Juanie*:

*Skończyłem jednak patryotycznie.
Skończyłem czysto po polsku,
Bo nie skończyłem!

Istotnie, urywa się i kończy autorski zawód Berwińskiego na powyżej wspomnianych, tyle obiecujących próbach. Muza młodego poety milknie od roku 1844, odzywa się raz po raz, zaledwie dostrzegalnie, sporadycznie, w odcinkach tego i owego z czasopism. Później ukazuje się dwutomowe, niesmacznej a niewyczerpującej uczoności dzieło pod tytułem: *Studia o literaturze ludowej*, plód jakoby innego pióra. Później jeszcze, — ale o tem później przemilczmy lepiej, jako nie należącemu do literatury. Gdy zapytamy o przyczyny złamania i zwichnięcia tego niezaprzeczenie wielkiego talentu w samych nieledwie, tak świetnych początkach jego występu na widok publiczny, znajdziemy je częścią w dotyczącej go krytyce, częścią i to przeważną, częścią, w usposobieniu osobistem młodego poety. Łukaszewicz, którego oko nie mogło przy źdźbłe uczucia sprawiedliwości i zdrowego sądu literackiego, nie dostrzedz, obok i mimo tylu zбочeń, w Berwińskim warunków i przymiotów prawdziwego poety, poszedł za głosem ciasnej profesorskiej zawiści i polemicznej namiętności. Zamiast dojrzałe, wyrozumiałe, z miłością starszego i wytrawnego w zawodzie literackim człowieka skarcić w Berwińskim, co w nim uczciwie do skarcenia było, jego sztuczne pesymizmy i zwątpienia, jego cynizmy obyczajowe i narodowe, wyniósł wszystkie te wady i obłądy do spotęgowanego nad słusność i wartość stopnia, nie zostawił ani jednego słowa dla przymiotów i stron dodatnich, rzucił się wreszcie z istnie Ugolinowym głodem na osobę młodego pisarza, znęcając się w *Orędowniku*, jak już powiedziano, nad jego frakiem, rękawiczkami, sposobem noszenia włosów. Poważne, surowe choćby, ale bratnią czy ojcowską miłością, natchnione słowo krytyki, byłoby może Berwińskiego

sprowadziło na zdrowsze tory a co najważniejsza, obdarzyło ochotą i energią *pracy*. Czyż mylimy się, przypuszczając, że obelżywe i szydercze inwektywy Łukaszewicza, wywołujące, jak zwykle w takich razach, śmiech spektatorów, śmiech bolesny dla chłostanego, mogły zrazić i zniechęcić młodego pisarza? Nie myślimy dla tego uniewiniać całkiem jego samego. Podobny talent powinien być we własnej swój świadomości i poczuciu zaczerpnąć siły, odwagi i energii do pracy w zawodzie, jaki mu łaska Opatrzności tak niewątpliwie wskazała. Niestety, Nieszczęściem przecież daru talentu *poezyi* właśnie pozostanie, że z nim łączy się pretensya nadzwyczajności i wyjątkowości. *Inne* zdolności zaostrzają zmysł pracy; uzdolnienie poetyczne wymaga kontroli troskliwego wychowania i zdrowej podstawy prozaicznego przy wrażliwem sercu i bujnej wyobraźni charakteru, by zbiegający się Pegaz nie strzaskał wozu życia, jaki każdemu ze śmiertelników ciągnąć przychodzi, by razem z nim nie strzaskał i nie złamał siebie samego. Sens moralny tego obrazu niechaj tłumaczy owo zerwanie poetycznej struny tak wiele zapowiadającego pisarza, jakim był Berwiński, niechaj dalej tłumaczy późniejsze jego, nie mające już nic wspólnego z literaturą narodową, koleje....

Po imionach Garczyńskiego, Morawskiego, Berwińskiego, nakazuje nam dokładność historyczna udzielić miejsca w naszym szkicu dwóm imionom wielkopolskim, wstępującym wówczas także w szranki poetyckie a wstępującym w nie pod sztandarem falangi postępowej. Mówimy tu o dwóch współpracownikach epoki upadku *Tygodnika literackiego*: Julii Wojkowskiej i Piotrze Dahlmannie. Julia Wojkowska, żona redaktora *Tygodnika Literackiego*, autorka nie bez pewnego uzdolnienia, ale za to bez owego nie tylko koniecznego „korabiowi na rozbujających fluktach“ niezbędnego ballastu, ballastu tyle potrzebnego w każdym położeniu życia, zdrowego zastanowienia i równowagi, odzywa się raz po raz naówczas w łamach swego pisma z mniej lub więcej udatną skargą ubóstwa na bogactwo, udręczonego zawsze chłopca na dręczącego wiecznie szlachcica.

Piotr Dahlmann wyższy może nieco talentem, choć nie bierzmy tego uznania w zbyt wysokiem i zbyt korzystnem dla autora znaczeniu, należy politycznie i społecznie do téj saméj szkoły a jest jednym z poetyckich filarów tegoż samego pisma. Za młodych bardzo lat żołnierz powstania roku 1831, niedokończony uczeń filologii Wrocławskiego uniwersytetu, długi czas „bemoostes Haupt“ (omeszała głowa), jak Niemcy nazywają tegoż uniwersytetu, następnie nauczyciel prywatny po różnych domach W. Księstwa Poznańskiego, wystąpił po raz pierwszy na pole literackie, wydając roku 1841 we Wrocławiu pięcioaktową tragedję, *Marynę Mniszchównę i poezye* pomniejsze. W *Marynie Mniszchównie* złożył dowód najzupełniejszej nieudolności na poetę dramatycznego a czytając jego utwór, mamy wszelkie prawo dziwić się, jak pisarz, któremu się udawały niekiedy próby poezyi lirycznój, nie posiadał dość zmysłu własnéj krytyki, by *Marynę Mniszchównę* napisać, by, co gorsza, napisawszy ją, w świat puszczać. Język trzynasto-zgłoskowym wierszem wlokącego się dramatu, niewyroblony i niepoprawny do wysokiego stopnia. O jakiejbądź postępującej akcji niema żadnej mowy: czeże, długie, deklamacyjne dyalogi, drama stworzony prawdą historyczną, zmarnowany i popsuty doszczętnie fantazją poety. Maryna, przedmiot licytacyjnego targu dwóch miłości, Pożarskiego wodza wojsk carskich i Zaruckiego hetmana Kozaków, ginie, wzgardziwszy pierwszym, z rąk drugiego, który zabijając ją a potem siebie samego, chroni obojga od hańby i katuszy śmierci, przeznaczonój im przez Pożarskiego. Jakimże jednak cudem Zarucki zabity już poprzednio przez udającego popa Jezuitę Bazylego, zmartwychwstaje po śmierci, by po podobnem zmartwychwstaniu zabijać Marynę a w dodatku sam skończyć samobójstwem, tego nie tłumaczy nam już Dahlmannowy dramat.. Rzecz szczególna, że autorowi podobnego dziwolągu dramatycznego, niezdolnego wytrzymać sądu najpobłażliwszój choćby krytyki, udawały się niekiedy, jak już zauważyliśmy wyżej, próby liryczne. Cechowała je pewna rzetelność i prostota płynąca widocznie z serca i uczucia. Do ta-

kich zaliczylibyśmy *Wspomnienie domu rodzicielskiego*, do takich dalej rzewny wiersz *Sierota*, zaczynający się od słów:

Nie mam ojca, nie mam matki,
Już lat siedm, jak śpią w grobie,
Nie mam nigdzie własnej chatki,
Wszędzie smutno w każdej dobie.
Dawniej gdym się obudziła,
Droga mama mnie pieściła,
Czule Kasię swą ścisnęła,
Drżąc, do piersi przytulała!

Również nie jest bez pewnej świeżości i siły jego *Pieśń Oсадників* witających wolną ziemię Ameryki:

Witaj ziemio obiecana,
Gdzie nieznanie imię pana,
Gdzie wolności zagrzmi głos;
A ty kraju zkąd płyniemy,
Zkąd łyż same wywozimy,
Czemuż znosisz srogi los?
Tu, wśród dębów i jaworów,
Wśród nietkniętych jeszcze borów,
Pierwszą cześć odbierze Bóg,
Nikt tu jeszcze się nie modlił,
Nikt tu jeszcze się nie spodlił,
Grzech nie przeszedł za ten próg!

Po wydaniu *Maryny Mniszchówny i poezyj pomniejszych* wychodzi Dahlmann, jak już wyżej nadmieniliśmy, na współpracownika *Tygodnika Literackiego*, upadając od dnia do dnia niżej jako talent i człowiek, popadając coraz więcej w fałszywą ludomanię i religijne obrazoburstwo, wśród czego giną i nikną wszelkie ślady zdolności, jaką do pewnego stopnia był z natury obdarzony. Umiera zapomniany, w upadku moralnym, w nędzy materialnej, w Poznaniu, z jesienią roku 1847. . . . Nie nadaremno powiedział Napoleon prawdę o bliskim sąsiedowaniu wzniosłości ze śmiesznością, tragiki z komiką. Pamiętni z jednej strony téj prawdy, z drugiej troskliwi, ile się da,

o dokładność i zupełność historyczną, naszego szkicu, wspomnijmy obok owych poważniejszych objawów rodzimej poezyi poznańskiej, tuż obok wzmianki o tragice :prześladującej jęj reprezentantów, dziwactwa i śmieszności nadarzające się w tej samęj dziedzinie. Wszakżeż i Tersites doczekał się nieśmiertelności, choćby przez razy odbierane z rąk Iliadowych bohaterów. Zapiszmy tedy w poczcie owej *dziwolężnej* poezyi poznańskiej, nazwisko Antoniego Krzyżanowskiego i jego pięcioaktowej tragedyi *Dagiskana* z godłem odpowiadającym dziwnie prawdziwie treści: *Tragedya powinna wzbudzać trwogę i politowanie*, owego słynnego *Dagiskana*, który, wyśmiany przez krytykę za pierwszem ukazaniem się swoim w r. 1842, zmartwychwstał następnie roku 1850 w drugim wydaniu jedyńie tylko ze zmianą wszystkich imion własnych jako *Zawida*. Zapiszmy dalej w podobnym poczcie ultrapostępowy dramat *Matkę Bohaterkę* i ultrapostępowe poezye Norberta Bredkrajca z tą, ocalającą, przecież dla pocziwego zkadinađ autora pamięci wzmianką, że przed śmiercią poznał się sam abnegacyjnie na wartości swoich utworów, a znaczną część majątku przeznaczył testamentowo na konkursową nagrodę dla najlepszego utworu dramatycznego polskiego. Na tym zapisku zamykając cykl większych, mniejszych i najmniejszych poezyi poznańskiej reprezentantów, zrodzonych na wielkopolskiej ziemi, moglibyśmy rzecz samą, o poznańskiej poezyi owęj epoki zakończyć, gdyby nie wzgląd i pamięć na fakt, iż w gościnę jakoby do literatury *poznańskiej* zajeżdżają, naówczas pisarze z innych stron kraju o znanych dobrze, świetnych nierzadko w annalach jego duchowego i literackiego życia imionach. Nie można dość często przypominać, że *dwa* tylko naówczas istnieją centralne ogniska, około których myśl narodowa przytulić i rozgrzać, z pod których z jakąkolwiek swobodą, odezwać się może: *Emigracya* i *Poznańskie*. Poeci ówcześni polscy, jak ów Mickiewiczowy słowik, co „wylata z ogniem zajętego gmachu, by przysiąść na dachu, a gdy dachy runą, uciec w lasy i brzmiącą pieśnią, nad zgliszczą i groby nucić podróznym piosenkę żaloby,“ chronią się z utworami swemi w *Poznańskie*

i z tutajszego w świat je puszczają przytuliska. Belwederczyk Seweryn Goszczyński drukuje po raz pierwszy w roku 1842 w Poznaniu fantastyczną swą powieść *Król Zamczyska*. Wincenty Pol wydaje również tutaj po raz pierwszy r. 1843 swoją sławną *Pieśń o ziemi naszej*, owo arcydzieło, czy to spoetyzowanej geografii naszego kraju, czy też jego zgeografizowanej poezyi. Nie wspominając o ulotnych poezjach zamieszczanych przez pisarzy *nie* poznańskiego rodowodu, w licznych naówczas poznańskich czasopismach, niepodobna natomiast pominąć milczeniem *trzech* z pośród nich, co przez żywszy i regularny udział zyskali prawo obywatelstwa w ówczesnej literaturze poznańskiej. Mamy tu na myśli Lucyana Siemieńskiego, Edmunda Wasilewskiego i Franciszka Żyglińskiego, wszystkich trzech, jeżeli się mamy trzymać powyższej naszej klasyfikacji, wyznawców *naówczas* postępowej w dziedzinie poezyi szkoły. O Lucyanie Siemieńskim wspomnieliśmy już wyżej; mówiliśmy o jego dwuletnim pobycie w gościnnym domu Miłosławskim Seweryna Mielżyńskiego, o jego żywym udziale w literaturze, mianowicie czasopiśmiennictwie poznańskim. Jako poeta występuje Siemieński, jak już także wspomniano wyżej, z zamieszczonym w *Orędowniku* przekładem dziewiątej księgi *Odyssei*, nadto z wydanym w Poznaniu r. 1844 tomikiem *Poezji* i fantazją dramatyczną *Świtezianką*. Poezycy owe były zbiorem różnych wierszy pozamieszczanych poprzednio w najrozmaitszych czasopismach poznańskich, mianowicie w *Dzienniku Domowym* i *Orędowniku*. Popelnimyż zbyt ciężki występ przeciw pamięci autora, jeżeli wypowiedzieć pozwolimy sobie zdanie, iż Siemieński jako tłumacz *Odyssei*, iż Siemieński jako prozaik, jako autor *Wieczorów pod lipą*, udatnych mniejszych powieści, później wydanych *Portretów Literackich*, góruje bardzo znacznie nad Siemieńskim, jako oryginalnym poetą? Argumentu do wyrzeczenia podobnego zdania dostarczają nam właśnie owe wydane roku 1844 w Poznaniu poezycy, które, choćby nawet *Trąby w Dnieprze*, choćby *Samuel Zborowski*, choćby przyjęty gościnnie przez różne nasze chrestomatie *Napierski*,

choćby wszystkie owe dumy i tęsknoty czarnomorsko-kozackie, nie wznoszą się po nad poziom mierności. Nadaremno szukać w nich wyższego nastroju poetycznego; myśl poety, zkądiną przecież ani mistyka, ani Ossyanowej mglistości marzyciela, ginie i gubi się często w zagadce, w zagadce pod względem treści, mętności pod względem formy. Formę i język jego *prozy* wolimy również. Szukajmy np. w wierszu *Przystuga*, mającym za przedmiot wojskową egzekucję skazańca, choćby i w poezji przecież niezbędnego umotywowania, zkąd się bierze, jak się dzieje, że komuś, co się z delikwentem „znał dzieckiem w domu, potem w szkole w związku bratnim“

„Teraz każą mu dla sromu
Jego *katem* być ostatnim.“

a że

Osiem strzałów poszło stroną,
Mój dziewiąty skończył męki.“

Wiersze, jak np. *Czy już wiosna?* lub *Zima i lato*, by nie wyliczać innych, zostawiają czytelnika pod wrażeniem takiéjże saméj enigmatyczności. Gdy poeta pierwszy wiersz kończy strofą:

Jest wiosna, bo jest miłość;
Rozpowiecie, bo zawitość,
Pierwéj krąży sok pod korą,
Nim wystrzeli maju wiankiem;
Zgaduj czuciem, a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem,

czujemy się pod ciężarem nierozwiązanego pytania, czy owa wiosna nastąpiła istotnie i co autor chce mieć „*ową swoją wiosną*.“ Posłuchajmy w całości innego wiersza: *Zima i lato*:

I.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
 Posępno, głucho, jakby wśród truny ;
 Ponocne mary wyją w zamieci,
 Matka ukradkiem do boru leci.
 Samotna chatka stoi tam w borze ;
 Puka : Otwórzcie ! Oj, nie otworzę.
 Ofukła wróżka, niedobra jędza
 A matka : Syna los mię przypędza !
 Losów nie zmienisz, jakiebądź padną
 Nie siłą woli, nie sztuką żadną,
 Już policzone lata, dni, mgnienia,
 Wiem, co go czeka, z ksiąg przeznaczenia,
 Cóż tajemnica słów wróżki znaczy ?
 Matka dłoń łamie.... Krzyk sów, puhaczy,
 Ze starych zwalisk coś złego wróży...
 I mary jęczą w śnieżystej burzy...

II.

Słoneczkiem letniem gorą niebiosy,
 Z błoni wesole wstają odgłosy ;
 Skacze, co żywie, muszki, motyle,
 I cyprys wesół, choć na mogile !
 Jeden tam młodzian chmurne miał czoło,
 Jakby w zakłęte wpisany koło...
 Unikał słońca, biegał w puszczy ciemnie
 Starca o rady pytać tajemnie.
 Starzec miał długą, pod sam pas brodę,
 W oku gwiazd blaski, w czole pogodę
 Niech cię zła wróżba, synu, nie trwoży,
 Idź — drogę życia wskaże duch Boży ;
 A z wzorem prostym i wolą silną
 Zyszcześ szczęśliwość tutaj niemylną.
 I po tych słowach rozwiął się w parę,
 Lecz słowa starca natchnęły wiarę.
 — Niech los nasyla męki, łzy, bole,
 Znam drogi pańskie, w piersi mam wolę.
 Odtąd polubił jasne niebiosy,
 Świat mu się wdzięczył i w kropli rosy.

etycznej Poznańskiego żywym i wytrwałym udziałem współpracowniczym w jego czasopiśmiennictwie. Jakże mówiąc o ówczesnej poezji poznańskiej zapomnieć pełnego talentu i ognia poetycznego, zbyt rychło zgasłego piewey *Katedry na Wawelu*, uroczych *Krakowiaków*, pieśni, dumań, *Edmunda Wasilewskiego*? Zapomnieć go tem mniej wolno, że większa część jego poezyi, które z r. 1873 doczekały się świadczącej, jak na *nasze* stosunki, o ich popularności i wartości liczby *pięciu* wydań, oglądała po raz pierwszy światło dzienne w czasopismach poznańskich, mianowicie w *Tygodniku Literackim* a w *Poznańskim* przedewszystkiem nieporównanem cieszyła się powodzeniem. Wszystkie te utwory przenika świąty ogień wysoko rozbudzonego poetycznego uczucia; forma i język, jakżeż wiernie dotrzymują równego kroku treści! Co zaś dla nas pozostanie *najbardziej* stroną poezyi Wasilewskiego, to, że same znają także *bardziej* tylko stroną ówczesnej poezyi *postępowej*, że śpiewają w każdym wierszu, w każdym niemal słowie, gorącą miłość ojczyzny wraz z pragnieniem czynu dla niej, nie znając ujemnej jej strony, nienawiści i zawiści społecznej. Tam:

Kmita na widok wroga
Skamieniał znowu u proga.

Tam:

Na widok krzywych szabli, co zdołają grobowiec,
Wnuk ich wzdrycha, drży najezdnik, ukłeka wędrowiec.

Tam wzywają się

„bracia orły do śmiałego lotu“

a

Niech każdy z nas
Wierzy, że wzrośnie ten liść;
Niech się nie wzdryga, gdy przyjdzie czas
Z życiem i szablą iść!

Tam odpowiadając Jańskowskiemu na jego wiersz *Do poetów* w *Tygodniku literackim* poznańskim, woła Wasilewski:

Ja lubię was, poeci! chociaż wasze lutnie
 Trącone łzami, brzęczą ponuro i smutnie.....
 ...Choć łza pada z powieki, jako ukrop wrząca,
 Targa się dusza z bólu swobody pragnąca;
 Ale z łez, jak z popiołów może iskra błysnąć,
 Możem zabrznieć weselem i świat ten ućcisnąć.
 Lecz dziś jak serce stroić na weselne tony,
 Kiedy w około bez końca, brzmią pogrzebne dzwony?

Otóż, co znajdujemy w poezjach Wasilewskiego, jako ówczesnego współobywatela-poety Poznańskiego. Nadaremno za to szukalibyśmy w nich owęj zbląkanego postępu struny, któraby brzmiała fałszywym akordem sztucznie wywoływanej waśni między rozmaitemi warstwami społeczeństwa narodowego. Nagrodą Wasilewskiego starcząca mu za najpiękniejszy wieniec na zbyt rychłym, niestety, grobie pozostanie, iż był swego czasu ulubionym, ukochanym, najpopularniejszym poetą młodzieży poznańskiej. Ileż to z jego ognistych a rzewnych razem utworów pojawia się dziś jeszcze w pamiątkowo po domach polskich w Poznańskim przechowywanych, ręką dziewięć polskich spisanych zbiorach poezyi! Jakaż majówka, jakież liczniejsze zebranie młodzieży szkolnej polskiej w Poznańskim byłoby się mogło odbyć, by na niem nie była miała zabrznieć dziarska pieśń:

Wesoło żeglujmy, wesoło!
 Po życia burzliwym potoku;
 Jak orły w gradowym obłoku,
 Choć wichry, pioruny wokoło,
 Wesoło żeglujmy, wesoło!

lub rzewna, tęskna nuta:

Łódka moja, łódka! suwaj po głębinie,
 Moja ty kobile, w tobie życie płynie!

W tobie życie płynie, tak miło i prędko,
Jak ta złota rybka, co goni za wędką!

Edmund Wasilewski pozostanie ze swemi poezjami, ze swym elektryzującym szlachetnie i dodatnio wpływem jednym z najpiękniejszych wspomnień młodości starszej już także dzisiaj generacji społeczeństwa poznańskiego, które nie chcą go zabierać rodzinnemu Krakowu ma przecież powód szczyć się, iż wśród niego rozpoczynał tak piękny, tak wiele zapowiadający, tak prędko wśród jesieni zwiędłych nadziei narodowych kończący się zawód... Obok Wasilewskiego pozostawmy miejsce zacnemu jego, skromniejszemu talentem i obfitością działalności literackiej przyjacielowi, również Krakowianinowi, *Franciszkowi Żyglińskiemu*. I on, podobnie jak Wasilewski, uczestniczy żywo i często w czasopiśmiennictwie poznańskim z owej epoki, mianowicie spotykamy się z jego imieniem co chwila w łamach *Tygodnika Literackiego* i *Dziennika Domowego*. Zebrał on porozrzucane utwory swe poetyczne w całość i wydał je w Poznaniu roku 1844, pod tytułem: *Dumki i Fantazye*. Żygliński nie jest poetą, ani zbyt śmiałego polotu, ani zbyt szerokiego widokręgu. Cechuje przecież jego, monotonię, prawda, nieco brzmiącą muzę niezaprzeczony akcent głębokości uczucia, miłości ojczyzny i polskiego ludu, podobnie, jak we Wasilewskim bez owego pankracowo-herostrackiego zamachu odzywającego się w innych zwolennikach tegoż samego zkądinąd, co on, kierunku. Miłość ojczyzny, miłość natury, rzewność uczucia, piękność języka, otóż krótko streszczona cecha poezji Żyglińskiego, z których, kto poznał jedną, zna wszystkie. Czy to *Życzenie* czy *Polot do Braci*, czy *Dumka*, czy *Biedny i Błogi*, jakże to wszystko podobne sobie, jak wyraża tęsknotę „za znikłymi w obczyźnie braciszkami,“ jak pragnie i spodziewa się ich powrotu, jakże cześci tego, co

Za dobro ludu ciężkie poniósł trudy,
I cały żywot oddał mu w postugę.

Posłuchajmy jego *Wróżby Topolki o Bratkach*:

Ojczyste drzewo moje, duch mój cię rozumie,
 Tyle rzewnych podźwiewków słyszę w twoim szumie,
 Czy wietrzyk od zachodu naszeptał ci wieści,
 Bo każdy listek tęskno w mem uchu szeleści!
 Tęskno! bo porożynne wiatr uniósł gdzieś kwiatki
 Z świętego łona ziemi oderwane Bratki.
 Ze złotych niw ojczystych rozwiane po świecie.
 O kiedyż nam wietrzyku bratnie zwiejesz kwiecie!
 Wiatr ucichł, z listków tylko spadła kropla rosy,
 Topolce łzę spólcucia zesłały niebiosy,
 Drzewko lube! wietrzyku, pytałeś o kwiatki
 Ojczyste srogą burzą w dal porwane bratki,
 A on ci smutne wieści szeptał o ich doli.
 To jakbyś serce miało, płaczesz mimowoli,
 Opowiedz mi Topolko, czy ujrzym przywiane
 Z dalekich stron ojczystych Bratki ukochane.
 Błogosławię ci drzewko! twój liść szepnął mile,
 Że z bratkami z zachodu wrócą swobód chwile!

Otóż nuta, na którą brzmiały wszystkie prawie liryczne utwory Franciszka Żyglińskiego a brzmiały długo i harmonijnie do społeczności poznańskiej z łamów ówczesnego jej czasopiśmiennictwa, aż biedny poeta poszedł złożyć młodą głowę obok starszego przyjaciela Wasilewskiego... Cykl ten poetów z innych stron Polski, uczestniczących w literaturze poznańskiej owej epoki, zakończmy wzmianką nazwiska *Romana Zmorskiego*; później autora poematu *Wieża siedmiu wodzów* i znakomitego tłumacza pieśni serbskich, naówczas pretensjonalnego nieco, rozpoczynającego w *Tygodniku literackim* zawód literacki młodzieńca, rozpoczynającego go zaś wiernie w polemiczno-ludowym duchu *Tygodnikowej* redakcyi.

Stanęliśmy u krańców naszego dziejowego szkicu poezyj poznańskiej z epoki poprzedzającej wypadki roku 1848. Stając się u nich, nie możemy bez uczucia serdecznego bólu spojrzeć na przebieżoną naszym opowiadaniem przestrzeń, rzucić okiem bez żalu i ściśnienia serca na hekatombę kryjącą we

wspólnej gościnie wszystkie niemal wyliczone przez nas co dopiero imiona. Wasilewski kończy żywot ubogo, w kłopotcie o chleb powszedni, w ponuręj owej, smutnéj jesieni 1846 roku, na granicznym jakoby kopcu między zgrozą rzezi galicyjskiej a faktem zagłady ostatniego szczątka niepodległości Polski w Rzeczypospolitej Krakowskiej. Wkrótce przedtem, czy wkrótce potem, mniejsza o to, pojawiło się w gazetach poznańskich lakoniczne doniesienie, „że znany i z poezyi malarz Franciszek Żygliński zakończył życie w jednym ze szpitali krakowskich...“ W jesieni 1847 roku umarł podobnie, także „w jednym z lazaretów“, ale poznańskich, Piotr Dahlmann w nędzy materyalnej, w upadku moralnym, przyjęty z istnie samarytańskim miłosierdziem przez gminę grecką, miasta Poznania na *jéj* cmentarz, ponieważ żaden z miejscowych cmentarzy katolickich schronienia ciała jego dać nie chciał... Berwiński jest naówczas mieszkańcem więzień austriackich i pruskich, później znika w dalekiej, przepadłej tułaczce... Otóż to dziwna fatalność prześladowająca reprezentantów *poezyi poznańskiej*, burza zmiatająca ich tragicznie jednego po drugim, wśród rozpoczętego, wśród niedokończonego, niespełnionego w niczem i nigdy zawodu.... Czyż zabrakło im samym może zbawczego owego pierwiastku, co ocala z toni jako człowieka i Polaka Garczyńskiego *Wacława*, czy też, co podobniejsza do prawdy, odzwierciadla się w tragice tych rozbitków ojczystej nawy ogrom tragiki dotykającej cały naród? Wśród zwyczajnych stosunków, wśród społeczeństwa cieszącego się normalnością bytu, byłby niejeden z nich ku chwale i czci własnej, ku szczytowi narodowemu, wyrósł na ozdobę literatury swego kraju. W nieszczęsnych warunkach *naszego* narodowego istnienia, przedstawiają tylko daremne zapasy rwącego się do pieśni i czynu talentu z nieubłaganą, wrogą fatalnością. Grom druzgocący gmach ojczystej budowy, nie okazał się łaskawszym dla jego mieszkańców....

VII.

— *Powieść* obszerniejszych rozmiarów najszczuplejsze w ówczesnej literaturze poznańskiej zajmuje miejsce. Kiedy Litwa i Ruś mają swego Kraszewskiego, Henryka Rzewuskiego, Michała Grabowskiego; kiedy Królestwo cieszy się najobficiej wtedy właśnie płodami powieściopisarskiego talentu, jakim był Korzeniowski; kiedy emigracja szczyci się, nie przeczuwając w żołnierzu Wołyńców Różyckiego renegata, powieściopisarzem w rodzaju Michała Czajkowskiego, nie wydaje, zabsorbowana poważniejszymi rzeczami, *miejscowa* literatura poznańska, żadnego większego, powieściopisarskiego talentu. Wielkopolanka rodem, Paulina z Lauczów Wilkońska, poczciwa chęć i zacna dążność pisarska wogóle, powieściopisarska w szczególności, przebywa naówczas w Warszawie i zasila za ledwie od czasu do czasu jaką mniejszych rozmiarów pracą, czasopiśmiennictwo rodzinnego zakątka. Powieść *poważniejszej* objętości jest naówczas w Poznaniu i w Poznańskim niepraktykowaną, prawie rzadkością. Czasem pojawi się wprawdzie podobny utwór, ale czyż ma rzeczywiście powieściową wartość? — Michał Czajkowski, ognisty autor *Wernyhory* i *Kirdźalego*, uदारował w r. 1841 Poznań najślabszą i najbledszą z wszystkich prac swoich, jakie kiedykolwiek napisał, obyczajową, współczesną powieścią *Anną*. Wyższą, choć nie powieściową, ale raczej opisową wartość mają wydane w Poznaniu 1844 r. pięciotomowe wrażenia wędrówek po różnych krajach Europy, Łucyi z książąt Gedroyców Rautenstrauchowej, pod tytułem *Miasta, Góry i Doliny*. Równocześnie nadesłał bezimienny autor z emigracji tendencyjną powieść *Dwa Światy*, by ją wydać w osobnej książce a w niej skarżyć się w duchu owęj chwili na ucisk ludu przez nie chcącą się ciągle jeszcze poprawić szlachtę.... Podjęte o wiele rychlej, bo już w roku 1836 przez poznańską księgarnię Scherka, podtrzymywane przez niejaki czas wydawnictwo *Magazynu powieści dla dzieci*, nie ocali Poznania i Poznańskiego od zarzutu beotyizmu w dziedzinie powieściopisarskiej, jak go odeń

nie uwalnia ani wydana tu w roku 1843 Dominika Magnuszewskiego *Niewiasta polska w trzech wiekach*, ani historyczno-powieściowe próby wspomnianego już wyżej młodego wychodźcy z Królestwa Polskiego, Radeckiego, piszącego pod pseudonimem *Ja... Ka... Ra...* Co natomiast, jak to już także wyżej we właściwym pozwoliliśmy sobie nadmienić miejscu, kwitnie naówczas w Poznańskim bardzo bujnie, żywnie i barwnie, to owa mniejsza, powieściowa literatura i to we wszystkich wspomnianych wyżej przez nas czasopismach, z wyjątkiem jedyne go, poważnego *Roku* i *Przeglądu Poznańskiego*. Pierwszeństwo pod tym względem należy się pięknym powieściowym utworom Lucjana Siemieńskiego drukowanym głównie w *Dzienniku Domowym*, po części w *Tygodniku Literackim*, zebranych następnie, jak już powiedziano wyżej, w całość i wydanych w dwutomowym zbiorze pod tytułem *Muzameritu* czyli *Powieści przy świetle księżycy*. Obok Siemieńskiego widać także w czasopiśmienniczej powieści poznańskiej Seweryna Goszczyńskiego, którego utwór *Oda* między innymi przedstawia w jaskrawych, właściwych autorowi *Zamku Kaniewskiego* barwach walkę łamiącego się w Polsce za pierwszych Piastów chrześcijaństwa ze starem pogaństwem. Mniejsze te utwory Seweryna Goszczyńskiego zostały podobnie zebrane w całość i wydane w 1844 roku w Poznaniu pod tytułem *Pięciu Powieści*. Spotykamy się nadto w *Dzienniku Domowym* z powieściowymi utworami znanego swego czasu w literaturze warszawskiej Bohdana Dziekońskiego i Bibianny Moraczewskiej. Wspomniana co dopiero autorka, której talent nie wyrównał później pierwszym owym próbom na polu powieści obyczajowej *większych* rozmiarów, zamieściła w *Dzienniku Domowym* kilka mniejszych powiastek historycznej treści, jak np. *Ojciec Cyryll professem* lub *Przygoda z życia generała Madalińskiego*, odznaczających się prawdziwie powieściopisarską wartością. I te powieści wyszły w r. 1844 w Poznaniu w osobnym zbiorze, pod tytułem *Czterech Powieści*. Jeżeli zapytamy o charakterystyczną, cechę ubogie j owej stósunkowo li-

teratury ówczesnej powieściowej w Poznańskim, przyjdzie nam odpowiedzieć, że i ona poszła się ukłasyfikować według panujących naówczas różnic, namiętności i prądów partyjnych. *Tygodnik Literacki i Dziennik Domowy* ściągnął żywioły *postępowe*; *Orełdownik* pozyskał dla siebie piszącego pod pseudonimem Edwarda Tarszy Michała Grabowskiego i Michała Czajkowskiego, który rozpoczynając swój udział powieściopisarSKI w czasopiśmiennictwie poznańskim od zamieszczonej i podziwianej w *Tygodniku Literackim Czerwonej Sukienki*, przejął następnie jako zwolennik księcia Adama Czartoryjskiego a poróżniwszy się z Wojtkowskim, penaty swe do czasopisma Łukaszewicza. Podobnie, jak mówiąc o *poezyi* poznańskiej, wspomnieliśmy o jej śmiesznościach i dziwolągach, tak i tu wypadnie nam uczynić wzmiankę o powieściowo-obyczajowej dywagacji, której sam *pomysł* nie był może nietrafnym wśród okoliczności, w jakich się Poznańskie naówczas znajdowało, gdyby tylko *wykonanie* było lepiej autorowi dopisało. Mamy tu na myśli satyryczno-powieściowy obrazek znanego niestety później z mniej niewinnych publikacji Eugeniusza Brezy, pod charakteryzującym dostatecznie treść tytułem *Babie lato Panny Dziubińskiej*. Była to wydana w samejże chwili najgorętszego żaru wrzących namiętności politycznych, r. 1841, satyra na stósunki i ludzi w Poznańskim. W charakterystyce stronnictw, w uchwyceniu podobieństwa ówczesnych wpływowych postaci, było tam nieco dowcipu i trafnego oka. Aby z podobnej próby uczynić Arystofanową satyrę w powieściowej formie, nie starczyło autorowi przecież pisarskiego talentu... Zgrzeszylibyśmy niedokładnością, gdybyśmy poświęcając tych kilka słów wzmianki tak ubogiemu, jak widzimy, naówczas powieściopisarstwu poznańskiemu, mieli przepomnieć o pięknym, pamięci i uwagi godnym utworze, który ukazuje się w ostatnich właśnie roku pierwszej połowy bieżącego stulecia, w Lesznie 1849 roku, umyślnie jakoby ku ocaleniu czci *powieści* poznańskiej w epoce, która na wszystkich innych polach literatury o tak wiele była bogatszą. Utworem owym jest piękna,

nie nadaremno *narodową* nazwana na tytule, powieść *Wczoraj* Karoliny z Wodzickich Mycielskiej. Powieściowy utwór *tego* rodzaju i *tej* dążności mogła pomyśleć tylko szlachetna wyobraźnia, wykonać tylko zacne i patryotycznie bijące serce. Widownią jej kraj i emigracya po katastrofie 1831 roku, tłem nieustająca mimo klęsk, narażająca na Sybir i stryczek moskiewski praca dla kraju, wszystko, dadajmy, z miarą prawdziwego artyzmu, nie dopuszczającą ani niesmacznej jaskrawości pod względem rzeczy, ani popadania w cześć deklamacyjność pod względem formy. Ow stryj bohaterki powieści pokutujący na Sybirze za udział w powstaniu 1831 roku; owi dwaj bracia ubiegający się o jej rękę, pierwszy, by zakończyć życie w więzieniu moskiewskiem, drugi, by w chwili otrzymania ręki oddawna ukochanej, posłuchać tajemniczego rozkazu dalszej dla kraju, katakumbowej roboty, rozkazu, który go od pozyskanego co dopiero szczęścia dzieli na długo może, jeżeli nie na zawsze, otóż to tło, otóż postacie, których wprowadzenie w życie i akcyja daje powieści *Wczoraj* słuszne prawo nosić miano powieści *polskiej* a zarazem zaręcza jej bez względu na szlachetną dążność, wysoką artystyczną, wartość. Ostatnia to na krańcu traktowanej przez nas epoki literatury *powieść, ostatni* dalej literacki utwór, jaki na *ostatniej* stronnicy opowiadania naszego *O literaturze poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia* zapisujemy.

Stanęliśmy u końca naszego zadania.

Stanąwszy u niego, spoczniemy na chwilę i obróćmy się na przebieżoną drogę.

Jakże daleka przestrzeń lat, jakże ogromny przestwór politycznych i wojennych wypadków, moralnych przemian i duchowych wstrząśnień od wkroczenia feldmarszałka Möllendorfa na ziemię wielkopolską aż do ponurych dni lutowych 1846 r. aż do wiosennych pogodą i nadzieją dni marcowych 1848 roku, których mety opowiadanie nasze dobiega!

Cóż pytamy, po bezmyśli Pruss Południowych, po ele-

ktrycznem wstrząśnieniu wojen napoleońskich, po wypoczynku pierwszych piętnastu lat istnienia W. Księztwa Poznańskiego, nadaje w następnych kilkunastu latach tej krańcowej naszego kraju pięćdziesiąt ziem tyle wyższe nad terytorjalny jej obszar znaczenie, cóż stanowi sens moralny umysłowego jej życia i literatury?

Praca i myśl za resztę skazanej na ponurą niewolę i grobowe milczenie Polski.

Wyjątkowe to, trudne, ale nieporównanie zaszczytne stanowisko Poznańskiego trwa do roku 1846. Chronologiczna okolica tej pamiętnej daty, ona sama, znaczą chwilę stanowiącej przemiany w owym moralno-duchowym naczelnictwie Poznańskiego nad resztą Polski.

Powoli, jeden po drugim, znikają wielcy i mali aktorowie ówczesnej poznańskiej sceny rzeczywistości.

Edward Raczyński kończy samobójstwem w Styczniu 1845 roku.

Karol Marcinkowski umiera w Listopadzie 1846 r.

Karol Libelt więźniem od Lutego 1846 r.

Edward Dembowski legnie równocześnie na Podgórzu Krakowskim.

Ryszard Berwiński równocześnie pokutnikiem w Wiśniczu.

Piotr Dahlmann umiera 1847 w lazarecie poznańskim.

Franciszek Żygliński 1846 w szpitalu krakowskim.

Edmund Wasilewski pospiesza za nim w Listopadzie 1846 roku.

Lucyan Siemieński równocześnie chwilowo tułaczem bez dachu, po uwięzieniu Seweryna Mielżyńskiego.

Ogromna większość obywatelstwa, ogromna większość inteligencji poznańskiej zaludnia od Lutego 1846 więzienia Poznania, Sonnenburga, Berlina, by w rok później stanąć przed szrankami sądowymi w roli oskarżonych.

Widownia życia i ruchu poznańskiego znajduje się grun-
townie i czysto uprzątńioną, a jak widzimy z przytoczonych co
dopiero nazwisk, nie rozróżniała bezceremonialna miotła fatal-
ności między ówczesną *zachowawczością* a ówczesnym *postępem*.
Widownia poznańska była, powtarzamy raz jeszcze, *uprzątńioną*,
stała się gotową, na przyjęcie nowych aktorów, na odegranie
dramatu życia innego, skromniejszego charakteru, o miejsco-
wych barwach, o zamkniętej w obrębie domowych potrzeb dą-
żności. Dawne, świetne, z przed roku 1846 życie nie miało
już na niej zmartwychwstać, przeciwnie, poczyna gasnąć w zni-
kających powoli, jednym po drugim, czasopismach owej
epoki.

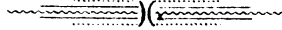
Rok, Orędownik, Tygodnik Literacki zamierają w roku
1846; *Przyjaciel Ludu* w roku 1849; *Dziennik Domowy*
w r. 1848; *Szkółka Niedzielna*, najwytrwalsza w swej ubogiej
skromności, w r. 1852.

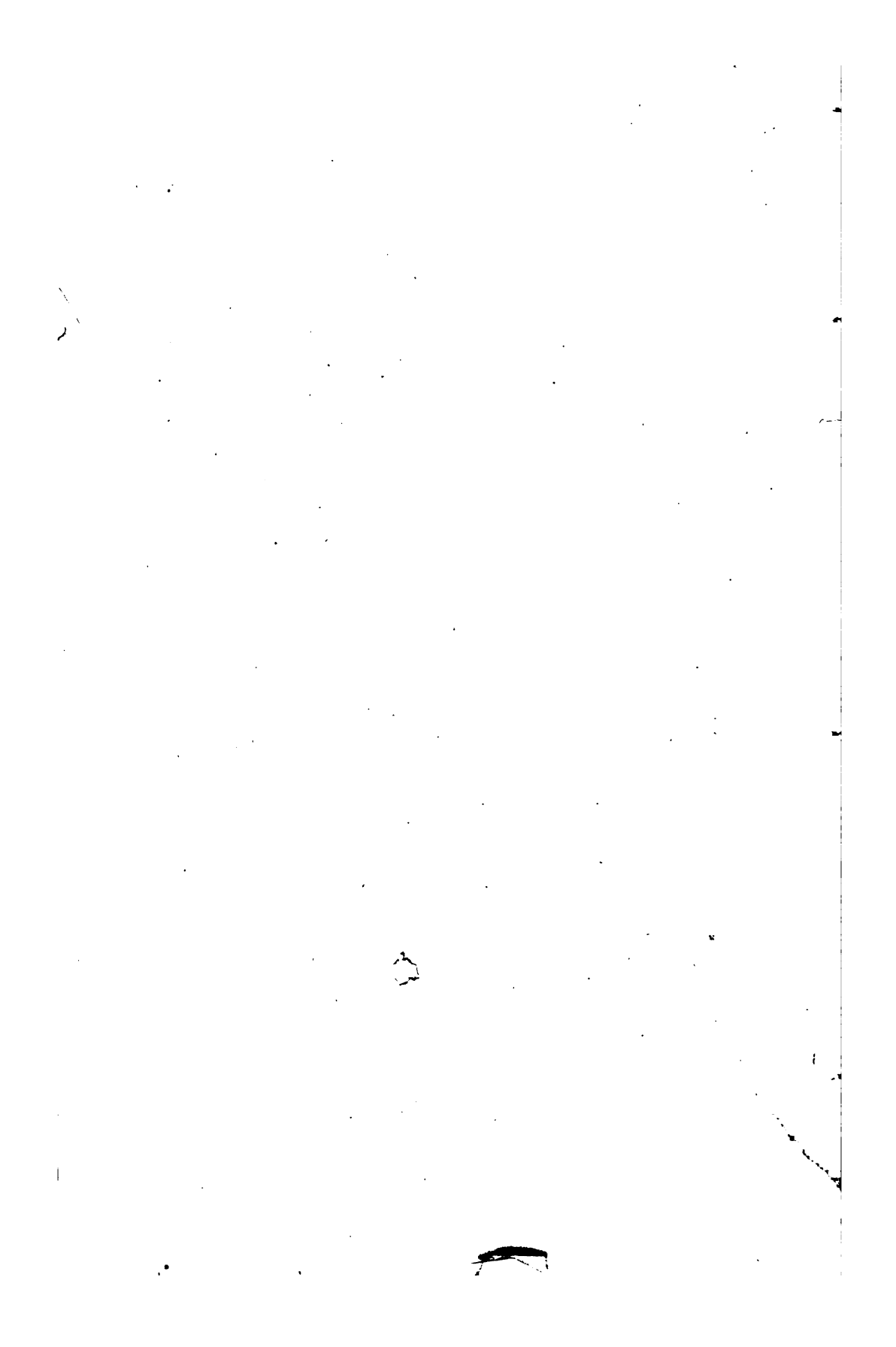
I tu, jak widzimy, miała fatalność, czy to dla ówczesnej
zachowawczości, czy dla ówczesnego *postępu*, równą kolejnej
zagłady miarę.

Zasnąć ze znużenia, uschnąć suchotniczo, zwiędnąć w wię-
ziennej kaźni, nie byłoby przecież, czuje się to mimowolnie,
finałem godnym *takiego* niegdyś ruchu, *podobnie* pulsującego
życia. Opatrzność, jakoby świadoma tej dziejowo-artystycznej
prawdy, postarała się *przeszłości poznańskiej* o stósowniejszą osta-
tnią, jej piątego aktu scenę.

Po smutnej, ponurój więzień i Szeli zimie roku 1846,
po bolesnych próbach i przejściach roku następnego, zwiastuje
się niezwykle wypogodzona, niezwykle piękna i rychła *wiosna*
ludów roku 1848. Pod jej to słonecznem niebem, wśród jej
to rozbudzonych i zawiedzionych na przemian nadziei, na mo-
gile waleczników ofiarnie stoczonej walki znajduje swój koniec,
spotyka swój graniczny kopiec epoka, której umysłowa i duchowa
strona była przedmiotem naszego opowiadania. *Jutro* owej
epoki wielce jej niepodobne. Nie przedstawia, jak ona, ani jej

rozbudzenia na zewnątrz, ani streszcza, ani streszczać w sobie może umysłowego i duchowego całego kraju życia na wewnątrz. W owego *jutra* dziedzinę wkraczać, nie jest już naszym zadaniem. Epoce zaś, której staraliśmy się skreślić duchowe oblicze, położmy jako pamiątkowy napis nasze: *et hoc quondam meminisse juvabit!*







~~2600~~ 20 81-



مجلد ۱۰۰

تاریخ اسلام